

Jacek Czajewski

WSPOMNIENIA
1939 – 1960
z lat wojny, okresu powojennego,
szkoły i studiów

TEMPUS FUGIT
Warszawa 2011

© Copyright by Jacek Czajewski 2011

ISBN 978 – 83 – 932598 – 0 – 9

TEMPUS FUGIT

Wydanie 1. Warszawa 2011

Projekt okładki – Jacek Czajewski

Opracowanie komputerowe okładki – Witold Czajewski

Druk: SOWA – Drukarnia cyfrowa, Sp. z o.o.

01-209 Warszawa, ul. Hrubieszowska 6a

WSTĘP

Coraz szybciej wykruszają się szeregi ludzi będących świadkami II Wojny Światowej i skomplikowanych polskich losów w pierwszych latach po jej zakończeniu. Historia przekazywana na zasadzie ustnej tradycji następnym pokoleniom dzieci i wnuków nie jest trwała, szczegóły bywają mylone, zacierają się. Słowo mówione, nawet zapisane na magnetycznych nośnikach, ma ograniczone szanse przeżycia, podczas gdy papiirusy przetrwały kilka tysięcy lat. Dlatego postanowiłem przenieść na papier moje wspomnienia przede wszystkim z lat wojny i okresu bezpośrednio po niej. Nie bez wpływu na tę decyzję była lektura wstrząsającej książki Normana Daviesa „Powstanie '44”, który ilustruje swoje dzieło m.in. relacjami świadków opisywanych wydarzeń. Moje wspomnienia są wspomnieniami dziecka i kilkulatniego, a w końcu kilkunastoletniego chłopca, ale można w nich odnaleźć niejedną, może mało istotną, lecz historyczną prawdę o tamtych latach, warunkach życia, ludziach i ich postawach. Oczywiście tekst ten nie ma wagi ścisłego, historycznego dokumentu, bo pamięć jest zawodna. Mogłem nieprecyzyjnie określić czas niektórych wydarzeń, ich opis jest z pewnością subiektywny i niepełny, ale zapewniam, że wszystko, co opisałem, rzeczywiście miało miejsce i nie ma tu żadnej fantazji.

Dalsze rozdziały są poświęcone okresowi, w którym uczęszczałem do szkoły podstawowej oraz średniej i studiowałem, czyli głównie latom pięćdziesiątym XX wieku, ale niektóre fragmenty dla zachowania całości omawianego zagadnienia wybiegają w czasy późniejsze. Chociaż w mojej pamięci zapisało się nieporównywalnie więcej przeżyć i wydarzeń tego okresu, starałem się skupić tylko na tych, które mogą pomóc w zilustrowaniu ogólnej społeczno-politycznej jego oceny. Wbrew tej zasadzie przytoczyłem jednak opisy z pewnością

mniej ważnych, ale mało lub prawie zupełnie nieznanymi przedsięwzięć, jak np. kowbojskie ranczo w Bieszczadach. W ograniczonym stopniu nawiązywałem też do fragmentów mego życiorysu związanych z żeglarskim hobby, które stało się prawie moim drugim zawodem, bo temu zagadnieniu poświęciłem osobne książki* i aneks. Świadomie pomiąłem też opis pięćdziesięcioletniego okresu mej pracy zawodowej, chociaż pewnie mógłby to być najbardziej interesujący i wartościowy fragment mych wspomnień. Jednak ta tematyka jest zbyt świeża i gdybym napisał całą prawdę, a kłamstwo i przemilczenie nie wchodziły przecież w rachubę, to wielu ludzi poczułoby się urażonymi i nie uniknąłbym procesów o zniesławienie. Dlatego zrezygnowałem, przynajmniej na razie, z opisywania tego okresu.

* Czajewski J.: Szkoła pod żaglami. Wyd. KAW, Szczecin 1988
Czajewski J.: Morskie opowieści. Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej, Warszawa 2000, Wyd. Wielki Błękit, Warszawa 2009

1. WOJNA

Urodziłem się w Warszawie 21.czerwca 1936 roku. Pierwsze zapamiętane przeze mnie fragmentaryczne obrazy z mego dzieciństwa, jak postacie rodziców, niani, służącej, praczki przy balii w kuchni, naszego psa, zabawki, wizytę z ojcem w cyrku itp., sięgają zimy 1938. Okres lata oraz jesieni 1939 r. pamiętam już nieźle. Jeden z pierwszych obrazów związanych z wojną, jaki utrwalił się w mej pamięci, przedstawia czynność „pomagania” przeze mnie w naklejaniu na prostokąty okiennych szyb pasków papieru krzyżujących się na kształt litery X. Miało to ograniczyć drgania szyb wywoływane wstrząsami od detonacji padających w pobliżu bomb i chronić przed pęknięciem. Pamiętam też jak mieszkający u nas (nie wiem dlaczego) kpt. Nelken, którego imienia nie pamiętam, wyruszając do swego pułku zakładał mundur i owijał nogi owijaczami. Nigdy nie dowiedzieliśmy się o jego dalszych losach, a należące do niego biurko i pozostawione rzeczy przechowywaliśmy aż do Powstania Warszawskiego. Późniejsze alarmy lotnicze, bombardowania, przed którymi chroniliśmy się w piwnicy, kolejki do podwórkowej pompy po wodę pamiętam już doskonale, ze szczegółami. Mieszkaliśmy wówczas przy ul. Leszno (obecnie Al. Solidarności) w kamienicy nr 57, przylegającej od strony zachodniej do gmachu sądów. Mój ojciec był prawnikiem i bywał tam często, zabierając mnie ze sobą. W pierwszych dniach wojny w gmachu sądów urządzono polowy szpital. Ranni zapełniali podłogi sądowych korytarzy, a specyficzny szpitalny zapach, czy raczej smród, czuję do dzisiaj.

Już po kapitulacji byłem świadkiem przykrego incydentu w naszym domu. Ojciec nie posłuchał polecenia niemieckich władz i nie oddał odbiornika radiowego. Wiedziała o tym moja była niania, która właśnie przestała u nas pracować i pewnego dnia pojawiła się z „narzeczonym” w mundurze niemieckiego oficera czy podoficera, który zażądał oddania mu odbiornika.

W zamian obiecał, że nie zawiadomi władz. Dostał nowoczesny, kosztowny odbiornik Telefunkena, więc opłacało mu się dotrzymać słowa.

Getto

Niemcy wkrótce po wkroczeniu do Warszawy zabrali się do organizowania getta dla ludności żydowskiej. Ulica Leszno, na której mieszkaliśmy, też miała się znaleźć w getcie, więc musieliśmy się przeprowadzić. Zanim to nastąpiło miało miejsce następujące zdarzenie. Późnym wieczorem, już po zamknięciu bramy, zajechał przed dom osobowy samochód z oficerami Gestapo oraz przykryta plandeką ciężarówka z ławkami, przystosowana do przewozu ludzi, zwana później potocznie „buda”. Niemcy, w zwykły u nich sposób, poczęli gwałtownie dobijać się do bramy, budząc wszystkich mieszkańców. Gdy dozorca otworzył bramę, wpadli do środka kierując się ku oficynom zamieszkiwanym w większości przez ludność żydowską. Po chwili wyprowadzili stamtąd młodego, ok. dwudziestoletniego, lamentującego chłopaka. Ten, zanim go wrzucono do „budy”, zobaczył stojącą na frontowym balkonie naszą rodzinę i krzyknął do mego ojca:

– Panie mecenasie, niech pan powie memu tacie, że jestem niewinny, nic nie zrobiłem, niech mnie wykupi!

A już nazajutrz rano, zanim mój i jego ojciec zdążyli cokolwiek postanowić w tej sprawie, młody człowiek powrócił do domu w mundurze żydowskiego policjanta.

Wkrótce po tym getto stało się faktem. Ogrodzono je drewnianym płotem, a my musieliśmy się wyprowadzić. Nawiasem mówiąc przeprowadzka ta uratowała nam życie, bo podczas jednego z alianckich nalotów w nasz dom trafiła bomba i pozostał po nim tylko stos gruzów. Nikt nie przeżył, oprócz tego policjanta, który w tym momencie był na służbie. Tak się złożyło, że na podwórko domu, do którego przeprowadziliśmy się, też spadła półtonowa bomba, ale na szczęście nie wybuchła.

Zanim ją zabrano leżała przez kilka godzin oglądana z zainteresowaniem przez dzieci i dorosłych.

Memu ojcu, prowadzącemu kancelarię prawną, zależało na tym, by znajdowała się ona jak najbliżej gmachu sądów, bo łatwiej trafiała do niej nieliczna w okresie wojny klientela. Dlatego wynajął lokal na kancelarię w oficynie budynku przy ul. Chłodnej 2, a mieszkanie we frontowej jego części. Gmach sądu leżał na granicy getta oraz aryjskiej części miasta i obsługiwał obie społeczności: polską i żydowską. Wnętrze gmachu było poprzdzielane, przejść między obiema częściami pilnowali polscy i żydowscy policjanci oraz niemieccy wartownicy. Mimo to dla mojego ojca, znającego doskonale ten gmach oraz mającego świetne kontakty z zatrudnionymi tam urzędnikami i woźnymi, przejście ze strony aryjskiej na żydowską i odwrotnie nie stanowiło żadnego problemu. Chodził więc do getta dość często zabierając na dodatek mnie ze sobą. Odwiedzał znajomych, zanosił paczki żywnościowe, coś im załatwiał. Trwało to chyba ok. roku. Później zastrzone kontrole, jak również zmiana konfiguracji getta przekreśliła możliwości tych kontaktów.

Niemal natychmiast po zorganizowaniu getta zgromadzonej w nim ludności poczęły zaglądać głód w oczy. Po żywność na aryjską stronę wyprawiały się dzieci. Otaczający getto początkowo drewniany parkan stanowił stosunkowo łatwą do przebycia zaporę. Dorośli podsadzali dzieci pomagając im wdrapać się na szczyt parkanu, skąd zeskakiwały lub zsuwały się po nim na aryjską stronę. Wracając przerzucały wyżebraną żywność przez parkan i wspinały się na niego po szczeblach utworzonych z dłoni czekających na nich rodziców, którzy wysuwali ręce przez szpary między deskami. Później drewniany parkan zastąpiono wysokim, ceglany murem z wbetonowanymi kawałkami szkła na szczycie. Przejście przez ten mur, zwłaszcza w drodze powrotnej, było dla dzieci niemożliwe. Pozostawała jedynie droga polegająca na przeciśnięciu się przez niezamurowaną przestrzeń rynsztoka, pozostawioną dla swobodnego przepływu deszczowej wody. Tamtędy precyzyjnie

mogły się tylko najmniejsze, najmłodsze, kilkuletnie dzieci – moi rówieśnicy – i to tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu niemieckiego wartownika czy granatowego policjanta, lub, gdy był policjant, ale nie chciał widzieć. Niemcom to się nie zdarzało.

Wkrótce zmieniono obszar getta włączając do niego również domy ulicy Chłodnej i znów trzeba było się wyprowadzić. Tym razem zamieszkaliśmy na ul. Elektorальной, w nieistniejącym dziś budynku, który sąsiadował z ówczesną i obecną placówką straży pożarnej. Z okien drugiego piętra mieliśmy widok na teren getta i znajdujący się teraz w nim dom przy Chłodnej 2, w którym znajdowało się nasze poprzednie mieszkanie. Wśród członków zajmującej go teraz żydowskiej rodziny był chłopiec w moim wieku, z którym komunikowaliśmy się wzajemnie przez okna na migi, ale te nasze kontakty ograniczały się do żartów bez żadnego poważnego znaczenia.

W okresie zastępowania drewnianego parkanu getta ceglanym murem, po zdemontowaniu odcinka parkanu, a przed postawieniem muru, kawałek granicy getta pozostawał nie ogrodzony. Pilnowali go niemieccy wartownicy. Jeden z pełniących tę służbę był znany z tego, że lubił sobie postrzelać do przechodzących, niczym nie osłoniętych na tym odcinku mieszkańców getta i nie było dnia, by nie zabił przynajmniej jednej osoby.

Warszawskie getto składało się w tym czasie z dwóch części: dużego i małego getta. Duże obejmowało mniej więcej teren dzisiejszego Muranowa, a małe – obszar wokół Pałacu Kultury i Nauki. Dzieliła je ulica Chłodna, której jezdnią była aryjska, a domy należały do obu części getta. Aby umożliwić komunikację ulicą między obu częściami getta wzdłuż łączącej je ulicy Żelaznej, na jej skrzyżowaniu z Chłodną ustawiono bramę, której skrzydła na przemian zamykały przejazd ulicą Żelazną umożliwiając komunikację wzdłuż ulicy Chłodnej, a drugi raz zamykały ulicę Chłodną otwierając szlak komunikacyjny Żydom wzdłuż ulicy Żelaznej. Tego przejścia pilnowali

Niemcy, granatowa polska policja oraz żydowscy policjanci. Tu też spotykaliśmy czasem tego żydowskiego policjanta – sąsiada z domu przy ul. Leszno 57. Wymienialiśmy z nim informacje typu „co słyhać?”, bo przekazywanie w tym miejscu jakichś listów czy paczek nie było możliwe ze względu na czujność Niemców. Dodatkowym ciągiem komunikacyjnym między obiema częściami getta był też drewniany wiadukt przerzucony nad ulicą Chłodną niedaleko jej skrzyżowania z Żelazną. Tu bardzo często toczyły się rozmowy między Żydami wędrującymi tym wiaduktem, a przechodzącymi pod nim mieszkańcami aryjskiej części Warszawy.

Później, po wywiezieniu dużej części mieszkańców getta do obozów koncentracyjnych, zlikwidowano małe getto oraz zmniejszono obszar dużego. Jego granicę przesunięto z ulicy Chłodnej na środek jezdni ul. Leszno, czyli obecnej Al. Solidarności. Gmach sądów i południowa strona Leszna znów stała się aryjską. Spełniając dążenia do umiejscowienia kancelarii prawnej ojca jak najbliżej gmachu sądów, przeprowadziliśmy się chyba w 1942 r. do 6-ciopokojowego mieszkania w przylegającym do gmachu sądów od jego wschodniej strony budynku przy ul. Leszno 51, a więc symetrycznie względem gmachu sądów położonego w stosunku do budynku Leszno 57, w którym mieszkaliśmy przed wojną. Domyślaliśmy się, że nasze obecne mieszkanie musiało należeć uprzednio do bogatej rodziny. Drzwi frontowe były zaopatrzone w kilka zamków i podpierane stalową sztabą. Drzwi kuchenne były dodatkowo okratowane. Podobno po wojnie zjawili się w tym lokalu jego byli właściciele lub ich spadkobiercy i po rozwaleniu pieca w stołowym pokoju wyciągnęli z niego pancerną kasetkę z kosztownościami. Ja natomiast zaraz po naszym wprowadzeniu się odziedziczyłem po nich porzuconą książkę Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Jak widać była to polskojęzyczna rodzina.

W 1943 r. Niemcy przystąpili do likwidacji getta. Zaczęli od wyprowadzenia zamieszkujących je Żydów. Wzdłuż ulicy Leszno ciągnął, eskortowany przez uzbrojonych wartowników,

tłum mężczyzn, kobiet, dzieci. Dźwigali walizki i tobołki z resztami nędznego dobytku, jaki zdołali ze sobą unieść, nieświadomi, że nie będzie im już potrzebny do dalszego życia, które miano im wkrótce odebrać w koncentracyjnych obozach. Patrzyliśmy na nich z okien naszego mieszkania, a moja mama w pewnej chwili zaczęła płakać. Zdziwiło to jedną z obecnych u nas sąsiadek, która wprawdzie współczuła Żydom, ale ich nie lubiła i reakcję mojej mamy uznała za przesadną.

– Zobaczysz pani – powiedziała mama – dziś oni, a jutro my.

Proroctwo to spełniło się rok później.

Następnym krokiem po wysiedleniu Żydów z getta było jego spalenie, rzecz jasna po uprzednim wywiezieniu stamtąd wszystkiego, co w nim pozostało, a mogło się przydać Trzeciej Rzeszy. W owym czasie sienkiewiczowski „Quo vadis” nie był jeszcze znaną mi lekturą, ale dziś mogę powiedzieć, że widok palącej się dzielnicy przypominał obraz pożaru Rzymu oglądany na późniejszych filmach. W odległości kilkunastu metrów od naszego domu płonęła cała, przeciwległa strona ulicy. Straż pożarna profilaktycznie polewała nasze domy wodą. Temperatura i tak bardzo upalnego dnia była tak wysoka, że zaokienny termometr o maksymalnym zakresie 40 czy 50⁰C byłby eksplodował, gdyby go ojciec nie odkręcił i nie włożył do miednicy z wodą w łazience.

Zanim jeszcze pożar rozgorzał na dobre z budynku naprzeciw naszego domu wyszła kilkudziesięcioosobowa grupa Żydów, którzy schowali się w ukrytym bunkrze i nie opuścili getta. Były wśród nich kobiety i dzieci. Żar i dym zmusiły ich do wyjścia. Niemcy wyprowadzili ich na ulicę przed budynkiem i zaczęli rewidować. Nagle jeden z Żydów wyciągnął pistolet i strzelił do Niemców, nikogo nie trafiając. Natychmiast go zastrzelono, a żołnierze całą grupę zapędzili pod nie rozwalony jeszcze w tym miejscu mur getta i rozstrzelali ze schmeiserów. Obserwowałem tę scenę z okien naszego mieszkania, przy czym nie widziałem rozstrzeliwanych, których zasłaniał mur getta, tylko rozstrzeliwujących. Jednym z nich był szofer

stojącej za murem ciężarówki. Robił to, choć nie musiał, ale wyszedł z szoferki, wyjął z kabury pistolet i strzelał opierając się o maskę silnika.

Zaraz po tym w sąsiednim budynku wykryto następną, ukrywającą się w bunkrze grupę ludzi. Tym razem Niemcy byli ostrożniejsi. Z budynku wyprowadzono tylko dwóch mężczyzn i zastrzelono, po czym wyprowadzono dwóch następnych. Ci na niemiecki rozkaz uchwycili ciała poprzedników za ręce i nogi, rozbujali i wrzucili przez nieistniejącą już wystawę do wnętrza płonącego sklepu. Następnie zastrzelono tych mężczyzn, wyprowadzono dwóch innych i historia się powtórzyła. Ile razy i czy były tam też kobiety oraz dzieci – nie wiem. Nie mogłem już na to patrzeć i odszedłem od okna.

Kości spalonych ciał dawały świadectwo tej tragedii jeszcze przez wiele dni, a właściwie nocy: fosforyzowały w ciemnościach. Wydawało się również, że w ruinach wypalonego, tzw. domu Nolfelda, stojącego naprzeciw naszych okien, ktoś przetrwał, albo przynajmniej odwiedzał je nocą, bo od czasu do czasu mieliśmy wrażenie, że widzimy w nocy nagle światełko przemieszczające się wzdłuż zachowanych po pożarze stropów budynku.

Granatowa policja

Takich granatowych policjantów, którzy odwracali się tyłem i udawali, że nie widzą wymykających się z getta żydowskich dzieci, była zdecydowana większość. Ale pamiętam jednego, który był szczególnie zawzięty. Gdy nie udało mu się zapobiec przejściu żydowskiego dziecka na aryjską stronę i dzieciak mu uciekł, ganiał go dzwoniąc nawet do mieszkań sąsiednich domów pytając, czy tu czasem nie schronił się mały uciekinier. Wielokrotnie dobijał się też do naszego mieszkania, do którego prawie codziennie przychodziły żydowskie dzieciaki, bo wiedziały, że moja mama nigdy nie odprawiła ich z pustymi rękami, choć i u nas się nie przelewało. Oczywiście stwierdzaliśmy, że nikogo nie było, a dzieciaki, które weszły frontowymi drzwiami, wychodziły kuchennymi. Gdy udało się

Niemcom lub temu policjantowi jednak złapać żydowskie dzieci, zabierano im worki z jedzeniem i wpuszczano z powrotem do getta przez rynsztokową dziurę w murze. Przeciśnięcie się przez nią nie było łatwe i trochę trwało, a przez cały czas tego trwania były bite policyjną pałą.

Kwestii postawy polskiej przedwojennej policji, zwanej granatową od koloru mundurów, w czasie niemieckiej okupacji warto poświęcić kilka uwag. Uprzedzam, że ich źródłem nie są żadne historyczne badania, ale wyłącznie moje obserwacje i relacje zasłyszane od świadków tamtych lat. Zacznę od przekazanej mi już wiele lat po wojnie relacji pierwszej żony mojego ojca, Henryki Czajewskiej, z którą rozstał się w zgodzie i przed poznaniem swej drugiej żony, czyli mojej mamy, co pozwalało na utrzymywanie wzajemnych, nieantagonistycznych relacji. Otóż p. Henryka była przed wojną sekretarką głównego komendanta warszawskiej policji. Opowiadała, że natychmiast po kapitulacji Warszawy komendant został wezwany do stawienia się przed oblicze rezydującego jeszcze gdzieś na przedmieściach miasta niemieckiego oficera, bodajże w stopniu generała. Komendant – w galowym mundurze, z orderami na piersi i krótką bronią przy pasie – przybył służbową limuzyną eskortowaną przez dwóch policjantów na motorach i zameldował się niemieckiemu generałowi. Ten podszedł, spoliczkował komendanta z lewej i prawej strony, zażądał zaprowadzenia spokoju w mieście i doprowadzenia głównych ulic do stanu umożliwiającego swobodny przejazd. Wyzaczył termin, w jakim ma to być zrobione, zapowiedział, że w razie jego niedotrzymania komendant zostanie rozstrzelany i machnął ręką w sposób jednoznacznie oznaczający koniec rozmowy, równoznaczny z niemieckim słowem „raus”, lub z rosyjskim „paszoł won”. Oczywiście niemieckie rozkazy zostały wykonane.

Myślę, że z niemieckiego punktu widzenia takie rozwiązanie – polegające na podporządkowaniu sobie polskiej policji, ale pozostawieniem jej na dawnym miejscu, z dotychczasowymi mundurami, bronią palną, organizacją i założeniem, że policja ma być apolityczna, służyć aktualnej władzy i utrzymywać

porządek – było słuszne. Próba zastąpienia fachowej polskiej policji niemiecką, bez znajomości miejscowego języka, ludzi, terenu i wrogo traktowaną, nie byłaby udana. Taki błąd popełnili komuniści wymieniając po wojnie fachowe policyjne kadry na, pożałujcie Boże, Milicję Obywatelską. Skutki tego odczuwamy do dzisiaj. Niestety, nie da się zaprzeczyć, że wielu przedwojennych policjantów zbyt gorliwie służyło okupantowi, ale wielu położyło też ogromne zasługi w konspiracyjnej walce i zasililo szeregi warszawskich powstańców. Jakie były proporcje tych służalczych i patriotycznych postaw, trudno mi powiedzieć, ale z pewnością wypadają korzystniej, niż przedstawiała to tendencyjnie powojenna propaganda. Pamiętajmy też, że i w okupowanej Polsce też była konieczność ochrony obywateli przed bandytami i złodziejami, a ten obowiązek granatowa policja spełniała. Przykładem takich jej działań, a jednocześnie wysokiego stopnia fachowości może świadczyć następujące wydarzenie. W 1943 czy 1944 roku włamano się do naszego mieszkania. Wezwany dzielnicowy obejrzał ślady włamania i powiedział:

– Włamano się przez okno przykuchennego pomieszczenia spiżarni. Okno zostało otwarte łomem, bez wybijania szyby. Tą techniką pracowali tylko X, Y i Z. Ten pierwszy zginął w 1939 roku, drugi siedzi w Oświęcimiu, zatem to jest ten trzeci.

Włamywacza aresztowano jeszcze tego samego dnia, a część łupu, którego nie zdążył sprzedać, policja zwróciła naza-jutrz.

Warto przypomnieć tu powojenne losy Henryki Czajewskiej. Zdając sobie sprawę z tego, co ją może spotkać w PRL za to, że przed wojną była urzędnikiem Polskiej Państwowej Policji, wyjechała po wojnie z Warszawy na tzw. Ziemię Odzyskane, w nadziei, że tam nie będą jej szukać. Ale popełniła błąd, bo znów podjęła pracę na dość rzucającym się w oczy stanowisku sekretarki burmistrza jakiegoś niedużego miasta, Legnicy czy Głogowa, dokładnie nie pamiętam. Po kilku latach została aresztowana. Postawiono jej zarzut szpiegostwa, a konkretnie współpracy z byłym mężem, czyli moim ojcem, który według

prokuratora miał być pułkownikiem amerykańskiego wywiadu i rezydować w Niemczech Zachodnich. To, że mój ojciec nie żył od 1945 r., co udowodniła obrona przedstawiając przesłane przez moją mamę świadectwo zgonu ojca, nie uchroniła p. Henryki od wyroku skazującego na 10 lat więzienia. Przesiedziała ok. 5 lat.

Szkoła

W 1942 r rozpocząłem moją szkolną edukację w renomowanej, prywatnej szkole im. Mikołaja Reja. Mieściła się ona na rogu ulic Świętokrzyskiej i Jasnej, gdzie teraz jest gmach Poczty Głównej. Miałem wówczas 6 lat plus 2 miesiące. Wychowawcą i jedynym nauczycielem pierwszej klasy, jeśli nie liczyć księdza – katechety, był Gustaw Ferster, wspaniały Człowiek, przez duże C, gorący polski patriota, który mimo niemieckiego pochodzenia odmówił podpisania volkslisty. Nasza klasa liczyła zaledwie czterech uczniów. Oprócz mnie był Tadeusz Łojek, Ireneusz Głuchowski i czwarty uczeń, którego imienia ani nazwiska nie zapamiętałem. Tadeusz był synem majora WP, zamordowanego w Katyniu i młodszym bratem Jerzego – znanego po wojnie historyka i pisarza, opozycjonisty nękanego przez komunistyczne władze. Tadeusz skończył później medycynę, ale też parał się literaturą pisując m.in. teksty dla awangardowego, studenckiego kabaretu „Stodoła”. Brał też udział w „Solidarnościowej” opozycji. Z nim oraz z Irkiem Głuchowskim spotkaliśmy się po wojnie znów w jednej szkole. Była to też początkowo prywatna, później upaństwowiona po 5 latach, szkoła Wojciecha Górskiego. Jednak Tadeusz uczęszczał już wtedy o jedną klasę wyżej od nas. W wyniku tułaczki po Powstaniu Warszawskim wszyscy mieliśmy rok przerwy w nauce, ale gdy my z Irkiem wznowiliśmy po wojnie naukę od klasy trzeciej, Tadeusza przyjęto do czwartej. Zawdzięczał to swoim zdolnościom i wiedzy. Jej wysoki poziom można było zresztą zauważyć już w pierwszej klasie, kiedy rzadko bywał na lekcjach, bo właściwie nie musiał przychodzić do szkoły; zasób jego wiadomości znacznie przewyższał zakres wymagań pierw-

szej klasy. Ze mną było znacznie gorzej. Idąc do szkoły nie znałem nawet jednej litery i pamiętam jak po 3 miesiącach nauki, profesor Ferster – prywatnie dobry znajomy mych rodziców – podczas wizyty w naszym domu powiedział, że wątpi, czy kiedykolwiek zdołam nauczyć się czytać i pisać. Jakoś jednak zdaliśmy wszyscy do drugiej klasy, ale władze niemieckie szkołę zamknęły. Profesor Ferster zaproponował kontynuowanie nauki na tajnych kompletach. Rodzice uczniów, w tym również moi, wyrazili zgodę. Do naszej czwórki dołączyło jeszcze kilku nowych uczniów i w ten sposób rok szkolny 1943/44 zastał mnie w roli drugoklasisty konspiracyjnej szkoły.

Lekcje odbywały się początkowo w służbowym mieszkaniu naczelnego ogrodnika Saskiego Ogrodu. Mieściło się ono w niewielkim pawilonie, który stał mniej więcej w tym miejscu, gdzie obecnie rozciągają się ogromne trawniki oddzielone od Saskiego Ogrodu tramwajowymi torami. Nazwisko naszych gospodarzy, których syn uczył się razem z nami, uleciało mi z pamięci. Po pewnym czasie przygarnęli nas rodzice innego ucznia, państwo Kinowie, mieszkający wówczas w będącej ich własnością, a nieistniejącej już dziś kilkupiętrowej kamienicy, która przylegała od północnej strony do wstawionego później powstańczymi walkami gmachu PASTY przy ulicy Zielnej. Czy ta zmiana lokalu była spowodowana wydarzeniem, o którym opowiem, czy wynikała a rutynowych zasad konspiracji, trudno mi powiedzieć. Nie jestem też pewien kolejności zdarzeń – być może najpierw uczyliśmy się na ul. Zielnej, a potem w Saskim Ogrodzie, ale jest to bez znaczenia dla opisywanych dalej wydarzeń.

Od pierwszej lekcji wpajano nam zasady konspiracji. Klasę wolno było opuszczać po lekcjach tylko pojedynczo, nikomu nie można było mówić, gdzie rzeczywiście się uczymy, musieliśmy znać na pamięć nazwę i adres jakiejś legalnej szkoły i w razie potrzeby podawać, że jesteśmy jej uczniami. W żadnym wypadku, nawet gdyby nas bito, nie wolno było wyjawiać nazwisk kolegów. Mimo tych nauk nie mogliśmy przyzwyczaić się do wielu nietypowych sytuacji, jakie przynosiła konspiracyjna rzeczywistość, np. do księdza-katechety, który

nie nosił rzucającej się w oczy sutanny. Kiedyś, podczas lekcji gimnastyki prowadzonej w parku, profesor Ferster zrobił nam kilka zdjęć.

– Kiedy dostaniemy zdjęcia? Czy jutro? – pytaliśmy jeden przez drugiego.

– Dopiero po wojnie, chłopcy – brzmiała odpowiedź sprowadzająca nasze naturalne dążenie do uwarunkowań okupacyjnej codzienności.

Klasą był stołowy pokój. Siadywaliśmy wokół owalu dużego, rozsuniętego stołu, gotowi w każdej chwili wrzucić do stojącego obok kredensu książki oraz tornistry i wyciągnąć na ich miejsce warcaby, halnę czy inną grę dla nadania naszemu zgromadzeniu wszelkich cech towarzyskiego spotkania gromadki rówieśników. Pewnego dnia, a było to kilka tygodni po rozpoczęciu nauki, ciszę klasy zakłócała tylko głosem nauczyciela i skrzypieniem stalówek pracowicie kaligrafujących zdania dyktanda, wdarł się ostry, nienaturalnie długi dźwięk dzwonka u drzwi. Przerwany na chwile, znów wibrował bez opamiętania. Tak dzwoniło tylko Gestapo!

Zdrętwieliśmy ze strachu, ale sekundę później rzuciliśmy się chować książki, zeszyty i pozorować bez troską zabawę. Pani domu otworzyła drzwi, dzwonek umilkł. Po minucie lub dwóch, które nam wydawały się wiecznością, weszła do pokoju. Sama! Błada ze zdenerwowania wyjaśniła, że to rzeczywiście byli Niemcy, ale chodziło im o jakąś błahą sprawę i już poszli. Objęła spojrzeniem naszą gromadką niczym nieprzypominającą uczniów oderwanych od lekcji i uśmiechnęła się z ulgą. Nagle wzrok jej padł na blat stołu i znieruchomiał, a uśmiech począł powoli zamierać na wargach przekształcając się w grymas przerażenia. Wszyscy spojrzeliśmy w tym samym, co ona kierunku. Na stole, obok warcabów i plansz do gry w chińczyka stało kilkanaście rozmieszczonych w prawie regularnych odstępach, nie zakreconych, zapomnianych kałamarzy, wytuczających zdradziecki ślad dużej elipsy.

Dziś zdaję sobie sprawę, jak bezskuteczne byłyby te zasady konspiracji w razie jakiegokolwiek wpadki. Kojarzą mi się one z filmową komedią „Giuseppe w Warszawie” ze Zbysz-

kiem Cybulskim w roli głównej. Jest tam następująca scena: przybywający na konspiracyjne szkolenie dzwonią przez pomylkę do niewłaściwego mieszkania i otwierającego drzwi witają hasłem mającym formę pytania o idiotycznej treści: „Czy żaby złożyły skrzek?”, a ten odpowiada, że nie wie nic o skrzeku, natomiast kursy podchorążówki odbywają się piętro wyżej.

Jednak nie wszyscy Polacy byli takimi patriotami jak profesor Ferster. Kiedyś ojciec nie mogąc załatwić czegoś w jakimś urzędzie zażądał widzenia z kierownikiem. Urzędniczka zaprowadziła nas (nas – bo ja, jak zwykle, towarzyszyłem ojcu) do gabinetu kierownika. A tam za biurkiem siedział niemiecki oficer. Gdy zobaczył ojca, szeroko się uśmiechnął i jowialnie się z nim przywitał. Okazuje się, że oficerem tym był kolega ojca ze szkolnej ławy. Jaki finał miała sprawa, którą ojciec chciał załatwić, nie wiem. Pamiętam tylko, że w domu z oburzeniem opowiadał o tym matce i długo nie mógł przyjść do siebie. Niedługo potem ja też przeżyłem szok, gdy podczas naszej wizyty w prywatnym mieszkaniu ludzi mówiących na co dzień po polsku ujrzałem wiszący na ścianie portret Hitlera, a pan domu był w brązowym mundurze i na ramieniu miał opaskę ze swastyką. Było to wtedy, gdy ojciec wszędzie szukał możliwości ratunku dla siedzącego na Pawiaku mego brata.

Śmierć brata

Mój brat Zbyszek był synem mego ojca z pierwszego małżeństwa. Mimo to i chociaż był starszy ode mnie o kilkanaście lat, byłem do niego bardzo przywiązany. Zbyszek – kapral podchorąży AK – został złapany w lecie 1943 r. przez Niemców na ulicy z karabinem maszynowym, który przenośli do jakiegoś punktu kontaktowego przed planowaną akcją bojową. Trafił na Pawiak Po kilku tygodniach otrzymaliśmy oficjalne zawiadomienie, że 16.07. 1943 r. został rozstrzelany. Gdzie go rozstrzelano i gdzie pochowano, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Prawdopodobnie w Palmirach, ale to tylko domysły. Dziś ma symboliczny grób na warszawskich Powązkach. Data jego

śmierci też nie jest pewna, bo jeszcze po niej otrzymywaliśmy niesprawdzone informacje, że żyje, że ktoś go widział, że są szanse wykupienia go. Próby takie rodzina podjęła już wcześniej, ale ani przedtem, ani potem nie odniosły one skutku. Na ten cel poszły pokaźne sumy, jednak wydaje się, że trafiły w ręce oszustów. Co ciekawe, wraz z zawiadomieniem o śmierci brata Niemcy zwrócili jego rzeczy osobiste, m.in. zegarek, srebrną papierośnicę z nałożonym monogramem ze złotego drutu, będącą prezentem urodzinowym czy imienninowym od ojca, oraz sporą sumę pieniędzy, jaką miał przy sobie w chwili aresztowania. Były to pieniądze organizacyjne, ale brat zeznał, że są to jego osobiste oszczędności przeznaczone na koszty planowanego ślubu, garnituru itp. Ponieważ rzeczywiście planował małżeństwo i mówiło się o czekających go wydatkach, mój ojciec, zapytany podczas przesłuchania przez Gestapo o źródło i przeznaczenie tych pieniędzy, zeznał tak samo jak Zbyszek. Biurokratyczna machina niemieckiego wymiaru „sprawiedliwości” skazała go na śmierć, ale pieniądze uznała za prywatne i zwróciła. O dziwo niemieckie represje nie dotknęły rodziny. Być może stało się tak dlatego, że Zbyszek był pełnoletni i mieszkał osobno. Oczywiście nie ominęły nas przesłuchania i związane z nimi wielokrotne rewizje i wizyty Gestapo w naszym domu. Zapowiadające je, charakterystyczne, nieprzerwane dzwonięcie do drzwi, zawsze wywoływało efekt przerażenia. Przedtem, ani potem normalny dźwięk dzwonka nigdy mnie nie denerwował, ale już wiele lat po wojnie, gdy rośli moi dwaj synowie i zwykłą koleją rzeczy stawały się coraz częstsze wizyty w naszym domu ich licznych kolegów, którzy demonstrowali swój pośpiech i niecierpliwość ostrym, nieprzerwanym dzwonieniem, dźwięk dzwonka, nawet ten krótki, normalny, zaczął mnie niesamowicie drażnić. Działał jak smagnięcie bata i coraz częściej przywoływał wspomnienie zdarzenia sprzed pół wieku, które musiało mocno utkwąć w mej pamięci – siedmioletniego wówczas dziecka, jeżeli obecnie stawało przed oczami tak wyraźnie, jakby było to wczoraj. Podobnie nerwowy odruch zauważyłem u siebie, gdy podczas pobytu w NRD usłyszałem jak zamiatający chodnik dozorca przegonił przeszkadzające mu

dzieciaki okrzykiem „raus”, zauważam go też, gdy podczas oglądania wojennego filmu z telewizyjnego głośnika pada nagle przerażające „Hände hoch!”. Powiadają, że czas leczy rany. To prawda, ale z pewnością również osłabia nerwy. Przynajmniej moje. Dlatego zastąpiłem zwykły, elektryczny dzwonek u drzwi nowoczesnym gongiem, emitującym łagodne, łatwo wpadające w ucho melodie.

Życie codzienne

Tymczasem życie naszej rodziny musiało toczyć się dalej zgodnie z rytmem okupacyjnej rzeczywistości. Wykupywaliśmy kartkowe przydziały chleba, marmolady i mydła, o którym mówiono, że jest produkowane z tłuszczu wytopionego z ludzi uśmiercanych w koncentracyjnych obozach, mama kombinowała jak i gdzie dokupić brakującą, drogą żywność i „związać koniec z końcem”. Godzina policyjna oraz zaciemnienia polegające na wyłączeniu energii elektrycznej, od nie pamiętam której godziny wieczorem do rana, ograniczały tzw. życie rodzinne, czytanie, gry towarzyskie itp. Powszechnie stosowane lampy karbidowe, produkowane przez rzemieślników, również w ozdobnych kształtach i z abażurami, były kłopotliwe w eksploatacji, śmierdziały, a nawet groziły wybuchem. Ojciec założył więc w kuchni i pokoju stołowym oświetlenie gazowe, ale ono też nie zdało egzaminu.

Prawie codziennie wpadali do nas w drodze z i do sądu adwokaci – koledzy ojca i toczyli dyskusje na różne, aktualne tematy. Jeden z tych tematów musiał się często powtarzać, bo go zapamiętałem, a dotyczył rozważań, kiedy wkroczą do Polski wojska zachodnich aliantów i nas wyzwolą. Jedyne mój ojciec uparcie twierdził, że nie ma się co łudzić, bo tu wejda Rosjanie. Jak się okazało, niestety, miał rację, ale wówczas to zdanie ojca wywoływało bardzo ostre sprzeciwy.

Kilkakrotnie zdarzyło się, że rodzice wrócili do domu z miasta bardzo zdenerwowani, czego powodem było to, że pra-

wie cudem udało im się uniknąć zagarnięcia do „budy” w trakcie ulicznej łapanki. O prawdziwym cudzie opowiedziała nam już po wojnie zaprzyjaźniona z nami pani Genowefa Pacholak, która po ucieczce z włączonej do Rzeszy jej rodzinnej Łodzi mieszkała przez całą okupację u mojej chrzestnej matki, Lucyny Palmerowej. Obie brały udział w konspiracji. Pewnego dnia, gdy p. Genia przewoziła tramwajem paczkę z ulotkami, Niemcy zatrzymali tramwaj i przystąpili do legitymowania oraz rewidowania pasażerów, po czym, zależnie od wyniku tych czynności, jednych zwalniali, drugich aresztowali. Pani Genia podając żandarmowi swoją kenkartę, czyli ówczesny dowód osobisty, była przekonana, że jej los został już przesądzony. A w kenkartę był włożony obrazek z wizerunkiem Chrystusa i podpisem po polsku: „Jezu ufam Tobie”. Żandarm popatrzył na obrazek, oddał kenkartę i rezygnując z rewizji rzekł czystą polszczyzną:

– Ja też Mu ufam. Jest pani wolna.

Oprócz zajęć związanych z faktem uczęszczania do szkoły, spędzałem czas na zabawach typowych dla mego wieku i okupacyjnych uwarunkowań. Raz czy dwa razy byłem z ojcem w wesołym miasteczku i w cyrku. Miałem też okazję obserwować występy niemieckiego cyrku Buscha zorganizowane na obecnym Placu Powstańców Warszawy. Zafundowały je gratis warszawiakom niemieckie władze dla podkreślenia swej życzliwości dla obywateli i „normalności” funkcjonowania miasta. Skąpo ubrana cyrkówka zjeżdżała z dachu budynku Prudentialu zwanego wówczas drapaczem chmur, zwisając na rękach trzymających uchwyty małego wózka, którego koła toczyły się po stalowej linii, rozpiętej między szczytem gmachu a ziemią, gdzieś w pobliżu skrzyżowania ulicy Szpitalnej z Przeskok lub Chmielną. Trzeba przyznać, że robiło to wrażenie. Również imponujące były popisy akrobatów chodzących po linii rozpiętej między specjalnie wzniesionymi masztami, wysoko nad całym placem. Ale ten występ nie zakończył się sukcesem; podobno jeden z cyrkowców spadł i zabił się mimo siatki ochronnej.

W naszym, chłopięcym środowisku panowała wówczas moda na hulajnogi, ale nie takie fabryczne, wymuskane i drogie, lecz swojej roboty, na kulkowych łożyskach. Do wykonania hulajnogi wystarczyły dwie deski i dwa łożyska. Na końcu każdej deski, w odpowiednim wycięciu mocowało się łożysko osadzone na drewnianym kołku. Deski łączyło się przybijając do nich skórzany pasek spełniający rolę przegubu między poziomą deską, na której się stało, a deską ustawioną pionowo. Ta ostatnia, po przybiciu do jej górnej krawędzi poprzeczki, której końce służyły jako uchwyty do rąk, pozwalała na kierowanie hulajnogą. Po deski i łożyska wybraliśmy się we trzech na słynny bazar zwany Kercelakiem, gdzie można było wszystko kupić i załatwić, łącznie z karabinem maszynowym i z fałszywymi dokumentami. Kercelak był położony w okolicach skrzyżowania dzisiejszej ulicy Leszno z Okopową, a więc niedaleko naszego domu. Idąc ulicą Leszno zostaliśmy zaczepieni przez miłego pana, stojącego przed bramą jednego z domów. Pan miał torbę, z której wydobywało się żałosne miauczenie kota.

– Mam tu małego kotka – rzekł ów mężczyzna – Jak go zaniesiecie na trzecie piętro tego domu do mieszkania – tu podał numer – to dam wam dwa złote.

Odmówiliśmy mając w pamięci krążące po Warszawie plotki o nielegalnych masarniach produkujących kiełbasy z mięsa ludzi zwabianych podstępem do takich lokali i zabijanych. Wracając po dwóch godzinach do domu z deskami i łożyskami znów minęliśmy tego pana, który w dalszym ciągu zachęcał do zanieśienia kotka na trzecie piętro. Czy to rzeczywiście była próba przetworzenia nas na kiełbasy, trudno powiedzieć, ale faktem jest, że pogłoski o istnieniu zbrodniczych masarniach nie zawsze były tylko plotkami. Nasze zachowanie świadczyło o tym, że byliśmy dużo bardziej dojrzałi, niż wynikało to z naszego wieku. Tę dojrzałość wymusiła wojna i dotyczyło to nie tylko nas, ale całego pokolenia tych, w których dzieciństwo brutalnie wkroczyła. W tym okresie, mając ok. siedmiu lat, zarobiłem pierwsze w życiu pieniądze. Dostałem je od jakiejś pani, która nie mogła sobie dać rady z wieloma nie-

sionymi paczkami i zaproponowała mi kilka złotych za pomoc w ich przeniesieniu na postój ryksz.

Dojrzałość dojrzałością, ale przecież wciąż pozostawałem jeszcze dzieckiem. Na przykład bardzo chciałem otrzymać model kolejki, więc bez porozumienia z rodzicami napisałem list do św. Mikołaja z prośbą o taki prezent i wysłałem adresując na kopercie: „Święty Mikołaj – niebo”. Po jakimś czasie przysłała odpowiedź. Przysłała ją z firma „Bracia Jabłkowscy” prowadząca znany, kilkupiętrowy dom towarowy z zabawkami, mieszczący się na ulicy Brackiej. W całostronicowym liście drukowanym czcionką przypominającą ręczne pismo, firma wymieniała rodzaje kolejek, jakimi dysponuje i zachęcała do dokonania zakupów. List pokazałem rodzicom i św. Mikołaj kolejkę dostarczył. Jak widać wojna nie zdołała zniszczyć wysokiego profesjonalizmu polskich handlowców, ani pocztowców, którzy umieli skierować nietypowy list pod właściwym adresem. Z sentymentem wspominam firmę Jabłkowskich, która po wojnie wznowiła działalność w odbudowanym przez siebie gmachu, ale po kilku latach ją upaństwowiono.

Innym przykładem pomieszczenia mojej niedojrzałości ze znajomością okupacyjnych realiów był idiotyczny żart, jaki zrobiłem mojej chrzestnej matce. Otóż zatelefonowałem do niej, przedstawiłem się jako Gestapo i oznajmiłem, że jej mieszkanie zostało zarekwirowane, a ona ma dwie godziny na zabranie rzeczy i wyprowadzkę, po czym odłożyłem słuchawkę. Tam w pierwszej chwili powiało grozą, ale po minucie czy dwóch uświadomiono sobie, że ten głos gestapowca był dziwnie dziecinny. Po kwadransie zadzwonił do mnie „Święty Mikołaj” i powiedział, że za robienie takich głupich kawałów nie dostanę na gwiazdkę żadnych prezentów.

Często wraz z podwórkowymi kolegami bawiliśmy się w „policjantów i złodziei”. Dziewczynki, jeśli nie spędzały czasu w domu, to spacerowały przed nim nucąc modną wówczas piosenkę „Serce w plecaku”. Terenem chłopięcych harców było podwórko, ulica przed domem oraz oddzielone od niej wypalo-

na ścianą, bezpieczne z punktu widzenia BHP, gruzowisko zburzonej bombą kamienicy Leszno 57, w której mieszkaliśmy przed wojną, przylegającej od zachodu do gmachu sądów. Dla mnie dodatkową kryjówką był jeszcze hol wejściowy tego gmachu, gdzie byłem tolerowany przez pilnującego wejścia portiera, który nie tylko znał mego ojca, ale również polecał jego biuro poszukującym porady prawnej. Nie bez kozery wspominam postać tego portiera, bo spotkałem go wiele lat po wojnie. W 1973 roku wybrałem się z mamą i żoną na jakiś spektakl do Teatru Żydowskiego, w którego pobliżu wtedy mieszkaliśmy. Tam bileter spojrzawszy na moją mamę, wykrzyknął na całe gardło z charakterystyczną, żydowską intonacją:

– Uś! Pani mecenasowo! Jak ja się cieszę, że panią widzę! Co słyhać? Jak zdrowie?

Odeszliśmy na bok i, jak to przy takich spotkaniach bywa, wymieniliśmy w telegraficznym skrócie informacje o naszych popowstaniowych losach. Był to ten sam sądowy portier, który poznał moją mamę po trzydziestu latach. Mnie doskonale pamiętał jako małego chłopca, ale teraz oczywiście poznać nie mógł, ani ja jego. Ten człowiek, o wyraźnych semickich rysach i akcencie, przez kilka lat pracował stojąc obok niemieckiego wartownika przy drzwiach gmachu sądu, przez które codziennie przechodziły setki osób. Nikt go nie wydał. Podobnych sytuacji z pewnością było więcej. W 1943 r. wracaliśmy z letniego wyjazdu na wieś, który spędziliśmy u chłopca we wsi koło miejscowości Dwikozy. Jechaliśmy pociągiem. W tym samym przedziale jechała zachowująca się zupełnie swobodnie kobieta z dwójką dzieci. Po powrocie do domu słyszałem rozmowę rodziców, z której wynikało, że uroda tej kobiety i jej dzieci, ich akcent i sposób bycia był tak charakterystyczny, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, że byli Żydami.

Egzekucje

Dom Nolfelda, którego ruiny stały naprzeciw naszych okien, zapamiętałem nie tylko w związku z tragedią spalania w jego gruzach ciał rozstrzeliwanych Żydów, ale z powodu jeszcze jednego, związanym z nim, historycznego wydarzenia. W zimie 1944 r. (dokładnie 11. lutego) na metalowych prętach balustrady balkonów tego domu powieszono 27 więźniów Pawiaka. Egzekucja miała miejsce w nocy. Słyszeliśmy, że coś się dzieje, warkot samochodów, niemieckie nawoływania i komendy, ale niczego nie mogliśmy dostrzec. W okna skierowano światła silnych reflektorów i istniała obawa, że do wyglądających będą strzelać. Dopiero rano zobaczyliśmy wisielców. Stryczki z białego sznurka były przywiązane „na kokardkę” do żelaznych prętów dwóch balkonów pierwszego piętra. Na jednym wisało trzynastu mężczyzn, na drugim czternastu. Dla mnie był to makabryczny widok. Nie mogłem patrzeć, chociaż nie pierwszy raz oglądałem ludzkie zwłoki. Widziałem przecież zmarłych z ran żołnierzy września, widziałem zmarłą w 1943 r. babcię. Kiedyś wysiadając z ojcem z tramwaju na ul. Chłodnej natknęliśmy się na zastrzelonego człowieka, który leżał na chodniku obok kościoła. W pobliżu nie było ani policji, ani Niemców, a ludzie mijali go rzucając tylko spojrzenie na zwłoki i nie zatrzymując się. Nie wiem, czy był ofiarą przypadkowej strzelaniny, czy konfidentem zastrzelonym przez podziemie. Wstrząsający dla mnie był widok pokrywającej mu twarz skorupy skrzepłej krwi, wyglądającej jak czerwona maska. A jednak, mimo tych hartujących doświadczeń, widok powieszonych mnie przerażał. Poruszając się po mieszkaniu, którego okna trzech pokoi wychodziły na ulicę z powieszonymi, starałem się nie przekraczać linii, z której widoczne były ciała. Gdy zbliżyłem się do okien tak, że ukazywały mi się górne części stryczków, gwałtownie się wycofywałem. Zauważył to ojciec. Wziął mnie za rękę, podprowadził do okna i powiedział:

– Nie bój się, synku! Patrz i zapamiętaj!

Zapamiętałem. Później już bez obawy obserwowałem jak późnym popołudniem likwidowano to widowisko. Pod balkon podjechał konny wóz (lub dwa – tego nie jestem dziś pewien). Stojący na balkonie człowiek w cywilnym ubraniu odwiązywał stryczki pociągając za koniec zawiązanego „na kokardkę”, jak sznurowadła od butów, stryczka i opuszczał na nim ciało w dół. Na ogół spadało prosto na podstawiony wóz, czasem nie trafiało i wtedy podnoszono je z ziemi i wrzucano na wóz. Potem wozy odjechały. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się też jak przebiegał proces wieszania. Obserwowała go mieszkająca na parterze naszego domu sąsiadka, której okno niezbyt starannie oświetlono. Zgodnie z jej relacją więźniów wyprowadzano kolejno z samochodu i wprowadzano na przystawioną do balkonu drabinę. Na balkonie stał kat z maską na twarzy, zakładał pętlę na szyję i przywiązywał stryczek do balkonu. Następnie odsuwano drabinę, przestawiano ją metr obok i wprowadzano następnego więźnia. Zgodnie z jej relacją skazańcy wchodzili na drabinę bez jakiegokolwiek próby oporu czy protestu. Odniosła wrażenie, że byli czymś odurzeni.

Przez cały dzień mieszkańcy Warszawy mogli bez przeszkód oglądać ten makabryczny, ale przeznaczony przecież dla nich, widok, mający ich przestraszyć i sterroryzować. Wzdłuż ulicy przechodziły tłumy, które też chciały to zapamiętać, ale nie wolno było się zatrzymywać. Zauważyłem, jak przejeżdżający dość szybko jezdnią rowerzysta sfotografował wisielców. Być może to przez niego wykonane zdjęcie można dziś oglądać w Internecie.

Wśród powieszonych był szesnastoletni czy siedemnastoletni chłopak – brat granatowego policjanta, którego znaleźmy stąd, że przejął po nas mieszkanie na ul. Elektoralnej. Chłopaka, który pewnie brał udział w konspiracji, zaaresztowano – już nie pamiętam – nie wcześniej niż trzy dni przed egzekucją, a może nawet w noc egzekucji. Wisiał w domowych bamboszach, bo przy aresztowaniu nie pozwolono mu nawet założyć butów. Poszukujący go bezskutecznie po aresztowaniu brat – na wieść o egzekucji przybiegł do nas i od razu poznał go przede wszystkim właśnie po tych kapciach, a twarz rozpoznał przez teatralną

lornetkę moich rodziców. Wiem, że podczas powstania policjant ten walczył w powstańczych szeregach.

Pamiętam też miejsca dwóch innych egzekucji, ściślejszej rozstrzelania Polaków na ulicach Warszawy. Nie byłem ich świadkiem, ale zaraz po usunięciu zwłok przechodziły obok tych miejsc tłumy ludzi. Widać było jeszcze plamy czy nawet kałuże krwi. Odważniejsi rzucali kwiaty. Mnie rodzice zabrali ze sobą na miejsce rozstrzelań na ówczesnej ulicy Leszno (obecnie Al. Solidarności niedaleko Placu Bankowego) oraz w Alejach Jerozolimskich przy Marszałkowskiej. Pamiętam jak przechodnie mówili, że skazańcy mieli zagipsowane usta, by umierając nie mogli krzyżeć „Jeszcze Polska nie zginęła!”, jak robiło to wielu w chwili śmierci.

Tu muszę też wspomnieć nietypową postawę mego ojca, którego odwaga – jak to rozważam obecnie z perspektywy czasu – chyba przekraczała granice odpowiedzialności. Paradowaliśmy przecież w pierwszym roku wojny ulicami getta bez opasek z gwiazdą Dawida i w każdej chwili mogliśmy się natknąć na niemiecki patrol. Przykładów takiej fanfaronady mego taty mogę przytoczyć więcej. Otóż korzystając z bardzo dobrej znajomości niemieckiego często jeździł on ze mną tramwajem o numerze „Zero”, przeznaczonym tylko dla Niemców. Korzystał też z nie zatłoczonych miejsc, zarezerwowanych dla Niemców w innych tramwajach, odgrodzonych poprzeczką mocowaną na oparciach siedzeń w przedniej części motorowego wagonu. Ja miałem tylko przykazane, by w żadnym wypadku się nie odzywać. Kiedyś jakaś Niemka wzięła mnie na kolana i zagadywała przez całą drogę, a ja milczałem jak zakłęty. Nie wiem, co ojciec jej naopowiadał; chyba zrobił ze mnie głuchoniemego. Ojciec bardzo lubił prawdziwą kawę, na czarnym rynku bardzo drogą, więc wpadał czasem na nią do Cafe Clubu dostępnego tylko dla Niemców („Nur für Deutsche”), na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Siadaliśmy na tarasie, ojciec z filiżanką kawy, ja z lemoniadą przez słomkę i zakazem odzywania się. Dobrze, że nie zdarzyło się to w momencie wrzuce-

nia tam wiązki granatów przez bojowca AL. Innym przykładem niebezpiecznej odwagi mego ojca było wyrażenie zgody na sfalszowanie daty przedłużającej niemieckiemu żołnierzowi urlopową przepustkę z frontu wschodniego. Byłem tego świadkiem, gdyż bawiłem się jak zwykle w gabinecie ojca, jak przyszedł do niego podoficer Wehrmachtu i przedstawił taką właśnie prośbę. Ojciec zgodził się, ale nie chciał tej daty drukować na własnej maszynie do pisania. Kazał Niemcowi poczekać w gabinecie, zabrał dokumenty, wziął mnie za rękę i poszedł do mieszkającego w pobliżu znajomego dysponującego maszyną do pisania, gdzie przerobił datę. Gdy wróciliśmy, Niemiec siedział błydy jak ściana, bo – jak przyznał – w pewnej chwili począł podejrzewać, że ojciec poszedł z tymi dokumentami złożyć doniesienie do Gestapo. Z wielkiej radości, że tak się nie stało, wycalaował mnie i obdarował kilkoma rulonami drosów. Dziś myślę, że obie strony tej transakcji były jednakowo nieostrożne i powinny być szczęśliwe ze szczęśliwego jej zakończenia. Przecież wizyta Niemca też mogła być prowokacją.

Powstanie

W połowie roku 1944 obserwowaliśmy z okien odwrót niemieckiej armii. Ulicą Leszno od Wisły w stronę Woli ciągnęła kawalkada samochodów, konnych furmanek z rannymi i wlokących się piechotą, noga za nogą, żołnierzy. Widać było, że jest to pobite, uciekające wojsko.

Pierwszego sierpnia 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. Jego pierwszy dzień okazał się tragicznym dla naszych sąsiadów, państwa Żurków. Ich mieszkanie było położone na tej samej klatce schodowej i tym samym piętrze, co nasze. Mieszkaliśmy zatem, jak to się mówi, „drzwi w drzwi”. Pani Żurkowa samotnie wychowywała dwie córki. Z jedną z nich, Krysią, starszą ode mnie o dwa czy trzy lata, byłem bardzo zaprzyjaźniony. Młodsza córeczka miała ok. 3 lat. Córkami opiekowała się niania. Miała ok. 50 lat. Wiedzieliśmy, że ukry-

wa się z racji swego żydowskiego pochodzenia i niechętnie wychodzi z domu. Tego dnia po południu jednak na nieszczęście wyszła zabierając ze sobą tę trzyletnią dziewczynkę i została przypadkowo ranna w nogę, niedaleko naszego domu, w strzelaninie, jaka wybuchła w chwili wybuchu Powstania. Przyniesiono ją do domu. Opatrywała ją m.in. moja mama. Rana obficie krwawiła. Widok ten wywołał u kochającej nianię, tej trzyletniej dziewczynki tak silny szok, że zmarła na drugi czy trzeci dzień po tym wydarzeniu. Mieszkający w oficynie stolarz zbił z desek trumienkę i dziecko zostało pochowane na podwórku naszego domu. Na tym pogrzebie byli wszyscy lokatorzy. Nianię ostatni raz widziałem, gdy nas wyprowadzano z Warszawy. Wiózł ją na dziecięcym wózku mąż, który też się gdzieś w pobliżu ukrywał i w odpowiednim momencie pospieszył żonie z pomocą. Krysie spotykałem po wojnie na korytarzach tej samej szkoły, do której uczęszczaliśmy, ale ona była o trzy klasy wyżej niż ja, więc nasza znajomość ograniczała się do tego, że na przerwach lekcyjnych zwracała mi uwagę, bym się nie bił z rówieśnikami, co mi się często zdarzało.

Po wybuchu Powstania w naszej okolicy niewiele się działo. W pierwszym lub drugim dniu Powstania ojciec kazał mi złożyć i zabrać do mieszkania leżak stojący na balkonie od strony ulicy. Męczyłem się dość długo z jego złożeniem, gdy nagle usłyszałem, że coś uderzyło o ścianę domu na wysokości mojej głowy, kilkadziesiąt centymetrów ode mnie i zobaczyłem odpryskujący od ściany tynk. To strzelał niemiecki snajper z wieży kościoła na Nowolipkach, jedyne ocalałego budynku, królującego nad morzem gruzów zburzonego getta, bo po jego spaleniu sterczące ściany wypalonych domów rozebrano pozyskując cegłę. Nie trafił, ale sam fakt oddania strzału do będącego jeszcze dzieckiem cywilnego mieszkańca, którego musiał wyraźnie widzieć z odległości ok. 400 metrów przez lornetkę czy lunetę snajperskiego karabinu, daje najlepsze świadectwo „rycerskości” niemieckich żołnierzy. Odtąd nie wychodziliśmy na balkon i trzymaliśmy się z dala od frontowych okien. Była woda, był gaz. Nie pamiętam, czy i do kiedy mieliśmy jeszcze

energię elektryczną i jak długo działały telefony. Na razie jedynym niebezpieczeństwem były naloty, przed którymi chroniliśmy się w piwnicach. Tu z przykrością muszę stwierdzić, że śpiewane podczas nalotów przez starsze babcie pobożne pieśni i głośne modły wytwarzały taki nastrój grozy, że denerwowały nawet takiego małego chłopca jak ja, mimo że przecież byłem wierzący, chodziłem do kościoła, brałem udział w przygotowaniach do Pierwszej Komunii.

W poprzek ulicy Leszno na rogu Solnej (dziś Al. Solidarności i zachodnia krawędź Al. Jana Pawła II) ustawiono barykadę. Od naszego domu oddzielały ją trzy budynki: Leszno 49, 47 i 45. Między tymi budynkami wybito w piwnicach przejścia, którymi codziennie przechodzili łącznicy zdążający do gmachu sądów i powrotem. W większości byli to żołnierze Armii Ludowej, która na terenie sądów miała jakiś lokalny sztab. Zadaniem chłopców z naszej kamienicy było przeprowadzanie łączników przez labirynt piwnic. Droga wiodła piwnicami do sąsiedniego budynku, potem przez jego podwórko, znów piwnicami do następnego domu, przez kolejne podwórko itd. Mieliśmy ustalone przez siebie dyżury i czekaliśmy na łączników na przejściu do gmachu sądów i przy barykadzie. Siódmego czy ósmego dnia Powstania szedłem na swoje stanowisko w stronę barykady. Gdy otworzyłem drzwi zamykające na parterze wyjście z piwnicy na klatkę schodową budynku Leszno 49, zobaczyłem buty i bryczesy stojące przed tą klatką, tyłem do niej i do mnie, a przodem do podwórka, niemieckiego żołnierza ze rozpylaczem w rękę. Rzuciłem się z powrotem po schodach w głąb piwnicy trzaskając drzwiami za sobą. Żołnierz je natychmiast odchylił i puścił za mną serię, ale już wtedy byłem za załomem ściany. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem wbiegając na nasze podwórko był mój ojciec.

– Tato! Pod 49. są Niemcy! – krzyknąłem przerażony. Ojciec uwierzył mi bez dyskusji, ale inni nie chcieli wierzyć. Wprawdzie wiadomo już było, że wojska niemieckie przybliżają się do nas, ale od strony Woli, gdzie brygady Ukraińców dokonywały niesłychanej rzezi na mieszkańcach Warszawy,

więc można się było ich spodziewać, ale z przeciwnego kierunku. Tymczasem Niemcy przebili się dość daleko na wschód wzdłuż ulicy Chłodnej i zawrócili ulicą Leszno w stronę Woli, czego nie byliśmy świadomi. Opowiedziałem, co widziałem, odpowiedziałem jeszcze na kilka pytań i wreszcie mi uwierzono. Ojciec przekonał sąsiadów, że skoro Niemcy mogą się pojawić w każdej chwili, a u nas nie ma powstańców i nie mamy się czym bronić, to należy rozebrać zbudowaną w bramie barykadę, bo gdy ją zastaną, to rozbiją ją pancernymi i granatami, a nas wystrzelają. W ciągu pół godziny barykadę rozebrano. Wtedy pojawił się jeden z sąsiadów pełniący funkcję komendanta domu. Podniesionym głosem kazał natychmiast ponownie postawić barykadę, a tym, którzy ją rozebrali groził sądem wojennym. Ojciec zaczął z nim polemizować, tłumacząc jak wygląda sytuacja, ale komendant nie chciał słuchać żadnych argumentów. Dyskusję przerwało silne uderzenie w zamykającą bramę furte, podpartą żelaznym drągiem. Drąg przeleciał przez całą kilkunastometrową długość pomieszczenia bramy docierając aż na podwórko, a do wnętrza wpadli, jak się później okazało Ukraińcy (lub Rosjanie?) pozostający w niemieckiej służbie, z gotowymi do strzału schmeisserami wołając „Hände hoch!”. Komendant błyskawicznie ściągnął z ramienia biało-czerwoną opaskę i podniósł ręce do góry. Ja wpadłem do piwnicy, a ojciec i mama za mną. Każde z nas uchwyciło przygotowaną na taką okoliczność walizkę. Po chwili wyszliśmy na górę i dołączyliśmy do ustawionych w dwu rzędach sąsiadów. W jednym rzędzie stali mężczyźni, w drugim kobiety i dzieci. Wszyscy z rękami w górze. Ci, którzy nie zdążyli zabrać walizek – z oboma rękami w górze, ci z bagażem – z jedną, tą wolną od dźwigania bagażu. Kierujący akcją podoficer zerwał czapkę z głowy jednemu z naszych sąsiadów, włożył mu ją do ręki i kazał zebrać do niej od wszystkich zegarki, pierścionki i inne kosztowności. Gdy otrzymał wypełnioną nimi czapkę dokonał szybkiej selekcji. Biżuterię i złote zegarki schował do kieszeni, pozostałych kilka mniej cennych zegarków wcisnął do kieszeni temu, który je zbierał, oddał serię z automatu do biegającego psa, pięknej bokserki Azy, ale nie trafił i dał sygnał do wymarszu.

Ów sąsiad nie miał już możliwości oddania właścicielom zegarków wzgardzonych przez Ukraińca i z jego późniejszych relacji wiem, że przechowywał je przez wiele następnych lat czekając na okazję ich zwrotu.

W naszej kuchni, na palącym się gazowym palniku pozostał prosiak z piekącym się chlebem, a nas popędzono w stronę ulicy Solnej. Między ustawioną wzdłuż niej barykadą a ostatnim, narożnym budynkiem Leszno 45 zrobiono wąskie przejście, niestety wypełniane częściowo płomieniami buchającymi z płonącego składu aptecznego. Musieliśmy przebiec tę przestrzeń, a potem ustawiono nas po wschodniej stronie ulicy Solnej tyłem do płonącego za nami budynku. Przed nami ustawiono karabin maszynowy, przy którym położyli się dwaj żołnierze montując taśmę z nabojami. Rodzice widząc, że będziemy rozstrzelani, wepchnęli mnie za siebie. Pewnie chcieli odsunąć ode mnie choć na chwilę moment śmierci lub zaoszczędzić mi widoku przygotowań i świadomości tego, co ma nastąpić. Ale szalejące za nami płomienie tak poczęły nagrzewać mi plecy, że nie mogłem wytrzymać i przecisnąłem się przed rodziców. Wówczas zobaczyłem, jak do gotujących się już do oddania serii żołnierzy podbiegł jakiś oficer, począł machać rękami i coś krzyczeć. Żołnierze podnieśli się, zabrali karabin, a nas popędzono dalej i kazano wejść do kościoła Karola Boromeusza na ulicy Chłodnej.

W kościele był już taki tłum ludzi, że wtłoczenie naszej grupy wydawało się niemożliwe, jednak ciosy kolb zrobiły swoje. Nam i jeszcze kilku osobom udało się wcisnąć z przedsionka kościoła do znajdującego się pod jego południową wieżą pomieszczenia, którego drzwi były wprawdzie zamknięte, ale wyłamały się pod naporem tłumu. Tu też było ciasno, ale nie tak, jak w głębi kościoła, gdzie nie jedna osoba po prostu się udusiła lub została zgnieciona. W naszej wieży to nie groziło. Nad głową była wysoka na kilkadziesiąt metrów przestrzeń powietrza i tylko każdy wstrząs od bliższych i dalszych detonacji powodował osypywanie się z góry kurzu i pyłu na nasze głowy. Dopóki wieża się trzymała, byliśmy bezpieczni. Siedzieliśmy tak w tym kościele kilka godzin. Raz po raz rozchodziły

się podawane z ust do ust przerażające wieści. To miano nas zamkniętych w kościele za chwilę podpalić, to wysadzić w powietrze, albo wytruć gazem. Dodatkową chwilę realnej grozy przeżyliśmy, gdy do kościoła wtargnął pijany Ukraińiec i wystrzelił w tłum całą zawartość magazynka swojego mauzera. W tym tłoku każdym pociskiem pewnie zabił i ranił wielu ludzi. Został natychmiast obezwładniony przez innych żołnierzy i wyprowadzony na zewnątrz. Czy i jak go za to ukarano, nie wiem. W sumie i tak mieliśmy szczęście, bo fala bestialstwa, jakiej dopuścili się te same oddziały w pierwszym tygodniu Powstania na Woli, niepomrotnie zmalała. Podobno na skutek interwencji Niemców, którzy sami byli przerażeni jej rozmiarami.

W końcu wyprowadzono nas z kościoła, podzielono na kilkudziesięciosobowe grupy konsekwentnie oddzielając mężczyzn od kobiet i dzieci, a następnie popędzono wzdłuż ulicy Chłodnej, Wolskiej i dalej aż do Dworca Zachodniego. Wzdłuż całej trasy naszego marszu stały niemieckie posterunki, leżały trupy, szczątki broni. Szedłem z mamą dźwigając moją niewielką walizkę, mama niosła dużą. Po obu stronach ulic, którymi szliśmy, płonęły domy. Widok przestrzeni zamkniętej ze wszystkich stron płomieniami spowodował, że ogarnęły mnie jakieś klaustrofobiczne odczucia.

– Mamo! Ja chcę na wieś! – powtarzałem raz po raz.

W miarę oddalania się od centrum domy obniżały się, rozmiary pożogi malały i objawy klaustrofobii znikły. Coraz częściej musieliśmy omijać porzucane przez ludzi bagaże, których nie byli w stanie dalej nieść. Końcowy odcinek naszej trasy był zasypany kluczami od mieszkań. Wyrzucano je razem z nadzieją na powrót do domu. Mama też rzuciła niesioną na ramieniu parę swoich, skórzano-filcowych zimowych butów, tzw. kapcy. Wiedziałem, że były ciepłe, wygodne i drogo kosztowały. Powiedziałem, że dam radę je nieść, ale mama się zgodziła. W końcowym odcinku naszej drogi przechodziliśmy obok mieszczących się na przedmieściu domków z ogrodami, skąd nie wysiedlono (jeszcze?) Mieszkańców. Stali oni przed

otwartymi furtkami swych ogrodów podając idącym wodę i wytkając w ręce owoce. Wreszcie dotarliśmy na perony Dworca Zachodniego, gdzie spotkaliśmy się z ojcem.

Ojciec szedł tą sama trasą, co my, ale w osobnej grupie mężczyzn i przeżył po drodze osobliwą przygodę. Gdzieś na granicy śródmieścia i Woli grupę zatrzymano przed kawiarnią z ogródkiem mieszczącą się w niezniszczonym domu. Z kawiarni wyszedł oficer, przeszedł się wzdłuż kolumny Polaków lustrując ich dokładnie i zatrzymał się przed ojcem.

– Schprechen Sie Deutsch? – zapytał.

Ojciec potwierdził. Oficer zaprosił go grzecznie do środka kawiarni. Grupa, z którą ojciec przyszedł, pomaszerowała dalej. Wewnątrz kawiarni mieścił się niemiecki sztab, na stolikach leżały jakieś dokumenty, mapy, nad nimi naradzało się kilkunastu oficerów. Ojca posadzono z boku, przy osobnym stoliku. Po chwili podszedł do niego oficer z generalskimi dystynkcjami i przedstawił się ojcu jako Erich von dem Bach. Poczęstował ojca kawą i powiedział, że chce z nim porozmawiać. Na początku zapytał ojca, kim jest z zawodu, jaki jest jego stan rodzinny, gdzie mieszkał itp. Potem pytał go o poglądy polityczne, ocenę sensu Powstania, sposób traktowania ludności przez ukraińskich i niemieckich żołnierzy, kto zdaniem ojca wygra wojnę i kiedy. Po około półgodzinnej rozmowie podziękował, oświadczył, że ojciec jest wolny i może iść. Ojciec powiedział, że jego grupa już odmaszerowała i zaniepokojony zapytał, jak i dokąd ma iść.

– Niech się pan nie obawia, proszę iść prosto do Dworca Zachodniego, wszystkie posterunki zostaną zawiadomione i nikt pana nie zatrzyma – padła odpowiedź.

No i ojciec poszedł. Samotnie maszerował środkiem jezdnii. Po drodze mijał liczne posterunki, które nie reagowały na jego widok. Zatrzymano go tylko w jednym miejscu, pytając, co tu robi. Odpowiedział, że wraca z przesłuchania od generała von dem Bacha. Sprawdzone to drogą radiową i dalej już bez przeszkód dotarł do dworca.

Osobom, które nie znały mojego ojca może wydawać się dziwne, dlaczego z kilkudziesięcioosobowej grupy niemiecki oficer wybrał akurat jego. Odpowiedź jest dość prosta: oficer szukał inteligentnego i wykształconego człowieka, a ojciec nie tylko takim był, ale i na takiego wyglądał, zwłaszcza, że nosił okulary. Pewną rolę odegrało tu być może ubranie ojca oraz intuicja oficera i przypadek.

Na peronie Dworca Zachodniego czekaliśmy na pociąg wraz z tłumem ludzi. W tym czasie zrobiłem – wydawało się – bardzo dobry interes wymieniając ze starszym o kilka lat ode mnie chłopakiem swój szczyrek na jego rower. Rower nie miał wprawdzie siodełka, ale pomny ostatnich doświadczeń z dźwiganiami bagaży uważałem, że w dalszej wędrówce może być pomocny w ich transporcie. Jednak nie pozwolono mi wnieść roweru do podstawionego pociągu, do którego i tak nie zmieszczono wszystkich czekających. Musiałem rower zostawić. Widziałem jak znów zaopiekował się nim ten sam chłopak, który pozostał wśród czekających na następny pociąg. Myślę, że ten rower nie pierwszy i nie ostatni raz był elementem „niezwykle korzystnej wymiany”, realizowanej nawet w tak tragicznej sytuacji przez pozbawionego skrupułów cwaniaka.

Wygnanie

Wkrótce znaleźliśmy się w obozie przejściowym w Pruszkowie, urządzonym na terenie remontowych zakładów kolejowych. Tam znów oddzielono mężczyzn od kobiet i dzieci. Więźniów wciąż przybywało, obóz pękał w szwach. Niemcy chyba nie byli w stanie panować organizacyjnie nad tym wszystkim. Starali się rozładowywać obóz selekcjonując więźniów i wywożąc na roboty, do obozów koncentracyjnych, jak również wypuszczając na wolność. Ojca wywieziono do obozu koncentracyjnego, bodajże w Gross-Rosen. My z mamą próbowaliśmy skorzystać ze stwarzanej przez Niemców oficjalnej możliwości opuszczenia obozu. Wyglądało to tak, że o ogłaszanej przez megafony godzinie otwierano bramę zapraszając do

wyjścia oczekujące na to kobiety, dzieci i starców. Ludzie ruszali najpierw niepewnie, powoli, potem tłum gęstniał i poczynął biec. Uniemożliwiało to Niemcom wyławianie osób niekwalifikujących się ich zdaniem do wypuszczenia na wolność. Wartownicy usiłowali spowolnić ten ludzki potok, a że nie odnosiło to skutku, więc zatrzymywali go kilkoma seriami ze schmeisserów. Tłum stawał i cofał się pozostawiając na ziemi kilka trupów. Niemcy po odciągnięciu ich na bok znów uprzejmie zapraszali do wyjścia, po czym sytuacja powtarzała się od nowa. Po kilku próbach opuszczenia obozu tą drogą moja mama zdecydowała, że jest to zbyt niebezpieczne. Inną metodę zaproponował nam jeden z wolontariuszy PCK czy RGO (Rada Główna Opiekuńcza), jacy działali w obozie. On umawiał się o danej godzinie i w określonym miejscu z grupą kilkudziesięciu osób, ustawiał ich w kolumnę marszową i na jej czele, z odpowiednią opaską na ramieniu legitymującą jego społeczną funkcję w obozie, otwarcie wyprowadzał grupę na zewnątrz przez główną bramę. Stwierdził, że dotąd nikt go nie zatrzymał, ale nie ukrywał niebezpieczeństwa rozstrzelania całej grupy, gdyby jakiś nadgorliwy wachman zażądał pozwolenia na wyjście. Na tą drogę ucieczki mama się też nie zdecydowała. Trzeciego dnia pobytu jakiś kolejarz powiedział, że gdzieś w odległym zakątku obozu jest niski płot, którego nikt nie pilnuje. Zaprowadził tam nas w towarzystwie jeszcze kilku osób. Rzeczywiście był to odcinek typowego, niezbyt wysokiego, kolejowego ogrodzenia z betonu. Przerzuciliśmy przez niego bagaże i podsadzając się wzajemnie przeskoczyliśmy na drugą stronę. Gdy większość z nas była już za płotem okazało się, że jednak ktoś tego płotu pilnował i padło kilka karabinowych strzałów. Jaki był ich skutek nie wiem, bo wtedy już gnaliśmy z mamą co sił, dźwigając nasze walizki. Wpadliśmy na miejską uliczkę Pruszkowa. Gdy mijaliśmy niewielki domek z ogródkiem, stojący przy jego furtce człowiek w kolejarskim mundurze, otworzył ją i krzyknął:

– Szybko! Proszę wejść do domu, drzwi są otwarte.

W rodzinie tego kolejarza spędziliśmy trzy dni, karmieni i śpiący w odstąpionym nam małżeńskim łóżu jego i jego żony.

Ten okres życia od opuszczenia Warszawy aż do powrotu do niej w lecie 1945 roku określałem zawsze pojęciem przebywania „na wygnaniu”, a etapy życia przez wiele lat dzieliłem na „przed Powstaniem” i „po Powstaniu”.

Po pobycie u kolejarskiej rodziny pojechaliśmy do Grodziska, choć nie wiem, dlaczego akurat tam. W Grodzisku koczowaliśmy kilka dni wraz z dużą grupą takich jak my wygnańców pod gołym niebem. Spaliśmy na warstwie słomy przywiezionej przez kogoś litościwego. Na szczęście sprzyjała nam bezdeszczowa pogoda. Któregoś dnia podjechał do naszego obozowiska duży, dwukonny wóz. Woźnica zdjął pokrywę z przywiezionej na wozie stągwi z mlekiem i nalewał je do podstawianych przez ludzi naczyń. Towarzysząca mu kobieta rozdawała chleb i jakieś owoce, chyba jabłka, uważnie przyglądając się przy tym ludziom. Była to pani Stokowska, żona ziemianina posiadającego dwie ogromne, położone niedaleko Grodziska i graniczące ze sobą posiadłości ziemskie. Jedna zwała się „Szczęsne”, a druga „Radosne”. Pani Stokowska przyjeżdżała do Grodziska nie tylko po to, by przywieść wygnańcom trochę żywności. Wyszukiwała wśród nich przedstawicieli inteligencji, tej najwartościowszej a jednocześnie najmniej zaradnej w „podbramkowych” sytuacjach warstwy narodu i zabierała ich pod swój dach. Podczas tej wizyty zauważyła mamę, której twarz była jej znajoma, bo ojciec chyba załatwiał przed wojną panu Stokowskiemu jakieś prawne sprawy i panie zetknęły się ze sobą raz czy dwa razy. W ten sposób uzyskaliśmy kawałek dachu nad głową w majątku „Radosne”.

Schronienie u państwa Stokowskich znalazło kilkadziesiąt osób. Tak duża ich liczba sprawiła, że warunki bytowe były dalekie od ideału, chociaż do dyspozycji uchodźców oddano cały, piętrowy dom w majątku „Radosne”. W siedzibie gospodarzy, czyli w „Szczęsnym”, też mieszkało ileś osób, głównie ich krewnych i powinowatych. Każdy, codziennie otrzymywał litr mleka, a przy wspólnym obiedzie zasiadało przy stole ponad dwadzieścia osób. Po kilku dniach przestaliśmy przychodzić na

te obiady, bo mama krępowała się wciąż korzystać z darmowego wyżywienia, choć nie mieliśmy nawet jednej własnej łyżki. Taka właśnie myśl przyszła mamie do głowy, gdy rozpamiętując nasze tragiczne położenie szła polną drogą i nagle ujrzała leżące w piachu dwie łyżki. Jedna z nich była zwykłą aluminiową łyżką. Druga, platerowana, znanej firmy Braci Henneberg, miała wygrawerowanego, niemieckiego orła ze swastyką, zwanego „gapa”. Tę łyżkę przechowuję do dziś, jako pamiątkę niewiarygodnego wprost daru losu.

Użyczony nam pokój w „Radosnym” dzieliliśmy z jeszcze kilkoma osobami. Początkowo spaliliśmy na słomie narzuconej na część podłogi. Później rządca majątku, p. Witwer, wykombinował jakieś łóżka i sienniki. Jedzenie sporządzaliśmy sobie sami z tego, co mama kupiła za sprzedawaną biżuterię i niewielkie zarobki z podjętej próby handlu pończochami, za który się zabrała w pobliskiej Podkowie Leśnej. Ale szczerze mówiąc były okresy, kiedy głód dawał się nam we znaki. Sytuację nieco ratowały – wstyd się przyznać – owoce podbierane z pobliskiego sadu i wykopywane z pola jarzyny. Starając się wywdzięczyć za gościnę pomagaliśmy przy zbiorze owoców, a ja także przy wypasie krów i pielęgnacji czterech wyścigowych koni (ściślej trzech, bo czwarty nie pozwolił do siebie podejść) przeczekujących w stajni czas wojny.

A wojna wciąż trwała. Słysząc było detonacje i armatnie salwy. Wieczorem na widnokręgu widać było lunę płonącej Warszawy. Wiatr niósł drobinki popiołu, a czasem nawet nadpalone kartki papieru.

Jedna z pań zamieszkujących z nami w majątku „Radosne”, chyba nauczycielka, usiłowała zorganizować lekcje dla gromadki wałęsających się dzieciaków. Było nas tam w przybliżeniu dziesięcioro, niestety o sporej rozpiętości wieku. Nie mieliśmy książek ani zeszytów, co też utrudniało te szczytne zamiary. Jednak największą przeszkodą, było to, że nikt z nas nie chciał się uczyć. Pole, las i mnóstwo innych, wiejskich

atrakcji było zbyt silną konkurencją. Wymigiwaliśmy się od tych lekcji i w końcu ta inicjatywa upadła.

W tym czasie podjąłem kolaborację z formalnie nam wrogimi, faktycznie życzliwymi Węgry. Któregoś dnia przed dom zajęły dwa konne wozy z węgierskimi żołnierzami. Zapytali mnie łamaną polszczyzną i na migi, gdzie tu jest najbliższy las, bo chcą narąbać trochę drzew na ogień. Powiedziałem, że pokażę, ale dwa chojaki będą dla mnie. Zgodzili się. Pojechaliśmy. Wracając nawet zboczyli z drogi, by należne mi drzewa zrzucić pod domem. Mieliśmy przez dwa tygodnie na czym gotować. Parę dni później znów się pojawili. Tym razem szukali położonego niedaleko stawu czy jeziorka, w którym – jak im mówiono – jest dużo ryb. Mieli ze sobą hamak i pokazali, że chcą nim łapać ryby. Uzgodniliśmy, że pokażę im drogę za cenę kilku ryb. Jeziorko było niewielkie i płytkie. Kilku żołnierzy rozebrało się i brodząc po dnie, zanurzeni do pasa przeczesywali je hamakiem z niezłym skutkiem. Umowy dotrzymani. Tego dnia i następnego mieliśmy na obiad ryby. Ostatnie moje spotkanie z Węgry było podobne do poprzedniego, przy czym nie byli to ci sami żołnierze, co przedtem, ale mieli ten sam hamak i też chcieli łowić ryby. Pojechaliśmy, przy czym efekt połowu był praktycznie żaden, bo prawie wszystkie ryby wyłowiono poprzednim razem. Wtem obok stawu pojawił się wielki zając. Jeden z żołnierzy chwycił karabin i gdy zając „stanął słupka” powalił go celnym strzałem. Wszyscy się ucieszyli, pogratulowali wyśmienitemu strzelcowi i dalej próbowali łowić te ryby. Widziałem, że z tego nic nie będzie i nie mam, co liczyć na swój udział. A zabity zając leżał na trawie metr ode mnie. Nie wytrzymałem. Złapałem go za uszy i w nogi. Węgrzy podnieśli wrzask, ale nikt mnie nie gonił, ani do mnie nie strzelał. Ukryłem się z zającem w krzakach w pobliżu drogi, tak by widzieć nasz dom i drogę, którą będą wracali Węgrzy. Gdy mnie minęli i nie skręcili do domu, odetchnąłem. Zając solidnie wzbogacił nasze menu, ale odtąd musiałem unikać spotkania z Węgry. Zresztą już się więcej nie pokazali.

O ile Węgrzy odnosili się do nas przyjaźnie, to stojący na warcie Niemcy ze stacjonujących w okolicy jednostek potrafili zabawiać się strzelaniem do przechodzących osób. Mnie też zdarzyło się być celem dla nudzącego się wartownika. Szedłem drogą w odległości kilkuset metrów od niego, nawet go nie widząc, gdy usłyszałem strzał. Rozejrzałem się i zobaczyłem, jak przymierza się do następnego strzału, ale zdążyłem skryć się w przydrożnym rowie. Zaprzyjaźniłem się w tym czasie z Benkiem, starszym ode mnie o kilka lat synem małżeństwa zatrudnionego w majątku i mieszkającego w tzw. czworakach (nazwa pochodzi od czteromieszkaniowego budynku służby dworskiej). Razem z nim rewanżowaliśmy się Niemcom na miarę naszych możliwości. Najpierw, gdy niemieccy saperzy wytyczyli linię przeciwczołgowych okopów zaznaczając ją wbitymi w ziemię palikami, poprzestawialiśmy te paliki według naszej fantazji i potrzeb, omijając np. lubiane przez nas zagajniki. Spędzone kilka dni później z okolic brygady przymusowych kopaczy wykopały te okopy, ale nie tam, gdzie zaplanowano ich rozmieszczenie. Nie miało to oczywiście wpływu na przebieg wojny, ale wówczas tak sobie to wyobrażaliśmy. Przecinaliśmy też linie niemieckich, połowych telefonów. Zaczęło się to przypadkowo. Benka posłano do mieszkającego dość daleko sąsiada po odbiór pożyczonego sekatora. Poszedłem razem z nim. Część naszej drogi powrotnej drogi pokrywała się z prowadzonym nisko nad ziemią przewodem telefonicznym. Doszliśmy do wniosku, że może się on nam przydać i ucieliśmy sobie kilkanaście metrów. Jeszcze tego samego dnia zobaczyliśmy ekipę telefoniarzy wędrujących wzdłuż linii telefonicznej i szukających uszkodzenia. Znaleźli je i naprawili. Następnego dnia wieczorem przecięliśmy linię sekatorem w kilku miejscach. Pocięty odcinek przewodu został bez trudu zlokalizowany i szybko naprawiony. Wtedy postanowiliśmy utrudnić Niemcom życie i poprzecinaliśmy drut przewodu pozostawiając nie do końca przeciętą jego powłokę izolacyjną, co maskowało miejsce uszkodzenia. Oczywiście to też naprawiono, ale poszukiwania uszkodzonego miejsca trwały dłużej. Powtarzaliśmy tę operację jeszcze parę razy, ale w koń-

cu wzdłuż linii zaczęły od czasu do czasu chodzić patrole. Dalsza taka zabawa zrobiła się niebezpieczna i trzeba było z niej zrezygnować.

Któregoś dnia byłem świadkiem ciekawej sceny. Wędrując po okolicy natknąłem się gdzieś w sąsiednim majątku na baterię działek przeciwlotniczych, tzw. zenitówek z cienkimi, długimi lufami, skierowanymi do góry pod bardzo dużym kątem. Przyglądałem się im z zainteresowaniem. Ciekawił mnie zwłaszcza rząd błyszczących mosiądzem pocisków ustawionych na szynie podajnika do komory naboju. Były takie jak do karabinu, ale wielokrotnie większe. I te pociski, i takie działa widziałem po raz pierwszy. Ich zrelaksowana obsługa kręciła się w pobliżu, paliła papierosy, gawędziła. Jeden z żołnierzy zaczął mnie rugać i kazał mi odejść, gdy nagle nad naszymi głowami pojawiły się dwa samoloty i zanurkowały bijąc z karabinów maszynowych. Jedni żołnierze padli na ziemię, ja też, inni porwali się do dział i poczęli strzelać do samolotów, które ponowiły atak raz jeszcze i odleciały. Nikt nikogo nie trafił. Cała ta walka przebiegła w tak błyskawicznym tempie, że nawet nie zdążyłem się przestraszyć.

Gdy w listopadzie czy na początku grudnia spadły śniegi, polowałem z Benkiem na kuropatwy. Wykombinowaliśmy fragment starego ogrodzenia w postaci drucianej siatki wypełniającej dużą (ok. 1 na 2 metry) stalową ramę z pospawanych płaskowników. Zanieśliśmy ją na łąkę, gdzie pojawiały się kuropatwy i ustawiliśmy jednym bokiem na pokrytej śniegiem ziemi, nachyloną do niej pod dużym kątem i podpartą patykiem. Do patyka był przywiązany długi sznurek. Z miejsca, gdzie siadały kuropatwy prowadziła pod kratę ścieżka ziarna czy okruszków chleba. Pod kratą tej karmy było najwięcej. Niedługo trzeba było czekać, by głodne stadko kuropatw dziobiąc przynętę weszło pod nawis kraty. Szybkie szarpnięcie za sznurek spowodowało osunięcie się kraty i przygniecenie kuropatw. Potem trzeba było tylko sprytnie powyciągać je stamtąd i, co było naj-

bardziej przykre, uśmiercić. Jednak było to źródło pożywienia o istotnym znaczeniu.

W połowie grudnia 1944 r. mama podziękowała państwu Stokowskim za gościnę i przenieśliśmy się do Grodziska Mazowieckiego. Późniejsze, powojenne losy zetknęły nas jeszcze kilkakrotnie z członkami tej zacnej rodziny, ale to już zupełnie inna historia. Powodem przeprowadzki do Grodziska było to, że głównym źródłem naszego utrzymania był prowadzonego przez mamę drobnego, ulicznego handlu, a dojazdy do Milanówka, Podkowy Leśnej czy Grodziska, były kosztowne i utrudnione, zwłaszcza zimą. Mama wynajęła w Grodzisku pokój z dużą kuchnią, którą podnajęła, żeby to taniej wyszło, jeszcze innej, czteroosobowej rodzinie. Pamiętam święta Bożego Narodzenia, jakie obchodziliśmy wspólnie w tym mieszkaniu. Choinki nie było, ale była wycięta z kartonu szopka. W wigilię było tylko jedno danie: usmażone przez mamę pyszne racuchy, którymi wszyscy mogli się najeść do syta.

W tym też okresie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności odzyskaliśmy drobną część naszej bielizny pościelowej, wyszabrowanej z Warszawy. Mama rozpoznała ją na targu po wyhaftowanym monogramie, a przekupka oddała bez dyskusji. Było to sygnałem, że być może nasz dom nie został spalony, co okazało się prawdą.

Z grodziskiego etapu naszego wygnania utkwily mi w pamięci ciągle organizowane przez Niemców obławy i łapanki oraz charakterystyczny obraz maszerującej w zwartym szyku w kierunku dworca kolejowego grupki kilkunastu młodych ludzi w cywilnych ubraniach, w asyście umundurowanych Niemców. Byli to ochotnicy, którzy na apel niemieckich władz zgłosili się do Wehrmachtu. Zachęcające do tego plakaty wzywały do pomocy w walce ze zbliżającą się komunistyczną nawałą i obiecywały różne przywileje, m.in. możliwość odwiedzenia rodziny w Rzeszy. Wśród ochotników był brat mego podwórkowego kolegi. Według jego relacji zgłosił się po to, by przy pierwszej

okazji przejść na drugą stronę frontu. Jeśli to nawet było prawdą, to jego naiwność była niebotyczna.

Wkrótce po świętach spotkała nas radosna niespodzianka. Wrócił ojciec. Zwolniono go z obozu, ale w stanie zdrowia, który pozwolił mu przeżyć jeszcze tylko 7 miesięcy. Mimo to nie pozostawał bezczynny. Począł uczyć mnie języka rosyjskiego, zdobył też nie wiem skąd przedwojenny podręcznik do polskiego, zadawał mi z niego czytanki i przepytował. Podręcznik ten („Mowa Ojczysta” Z. Perkowska i M. Herzberżanka, z 1929 r. dla klasy drugiej, chyba gimnazjum), o zadziwiająco wysokim poziomie merytorycznym, mam do dziś i traktuję jako niezwykle cenną pamiątkę.

Zaraz po powrocie ojca przenieśliśmy się z Grodziska do wsi pod Łowiczem. Nie wiem dlaczego, ale myślę, że widocznie rodzice wiązali z tym jakieś plany na poprawę bytu. Świadczy o tym fakt, że zamieszkaliśmy tam wspólnie z naszymi sąsiadami z warszawskiego domu, małżeństwem państwa Komorowskich, którym właśnie urodził się syn. Z planów polepszenia bytu nic nie wyszło i klepaliśmy straszną biedę. Mieszkaliśmy wspólnie w wynajętym, dużym pokoju na parterze jednopiętrowego, murowanego domu. Przy wejściu do budynku wisiało rzucające się w oczy urzędowe zawiadomienie, że w tym budynku panuje tyfus. Oczywiście nie była to prawda, ale Niemcy tyfusu bali się jak ognia. Ten sposób ochrony przed przypadkowymi wizytami niemieckich patroli był dość skuteczny i często stosowany. Mimo to, któregoś dnia do mieszkania wkroczyli Niemcy i aresztowali pana Komorowskiego. Ale jeszcze tego samego dnia wrócił. Jak się okazało przedstawiono mu propozycję nie do odrzucenia: albo zostanie strażnikiem w położonym opodal obozie karnym, alboWięc propozycję przyjął. Obóz był niewielki, kilka baraków otoczonych ogrodzeniem z drutu kolczastego. Odsiadawali tam kary rzędu kilku miesięcy głównie okoliczni chłopcy za drobne przestępstwa typu nielegalny ubój itp. Pan Komorowski dostał uniform, karabin, obiecano mu jakieś wynagrodzenie i deputaty, ale tego to chyba

nawet nie zdążył odebrać, bo zbyt krótko sprawował to zajęcie. Pewnego dnia kręciłem się w pobliżu tego obozu, gdy nastąpił nalot radzieckiego lotnictwa. Myśleli pewnie, że są to koszary. Obóz w jednej chwili przestał istnieć. Nie wiem, ile było ofiar, ale ci, co przeżyli, przeskoczyli przez zwalone płoty i rozplynie się po okolicy. Ja też przeskoczyłem przez płot, lecz w przeciwnym kierunku, bo zobaczyłem, że rozpadły się ściany budynku magazynu. Wpadłem do środka, porwałem kilkukilogramowy, metalowy pojemnik w kształcie kubła. Nie wiedziałem, co jest w środku, ale byłem w stanie go unieść ze względu na wygodną rączkę i uciekłem z nim do domu. Jak się okazało była w nim buraczana marmolada, którą jedliśmy przez następne dni. Podobnie postąpił pan Komorowski, który przeżył nalot bez szwanku, ale nie pamiętam, co było jego zdobyczą.

Następnego dnia Niemcy już się wycofywali z tej okolicy. Ponaglały ich radzieckie samoloty. Dwukrotnie tego dnia mogłem zaobserwować ich pasjonujące walki z niemieckimi myśliwcami. Radzieckie wyraźnie dominowały, ale nie zauważyłem, by któryś z samolotów został w trakcie tych walk uszkodzony. Wreszcie w pobliżu naszego domu pozostał tylko niewielki oddział wojska, chyba w sile plutonu, którego zadaniem było wysadzenie mostu na Bzurze, gdy wjadą na niego czołgi. Jednak czołgi przeszły rzekę po lodzie z dala od mostu i zaatakowały Niemców z boku. Rozegrała się krótka, krwawa bitwa, którą obserwowaliśmy z sieni budynku. Zaskoczeni Niemcy usiłowali się bronić granatami i uciekać, ale rozniesiono ich seriami z czołgowych karabinów maszynowych. Klęskę przypieczętował trwający minutę lub dwie zsynchronizowany atak radzieckich myśliwców. Widziałem, jak czołg rozjechał żołnierza. Jego karabin upadł obok.

– Tato – krzyknąłem – mogę zabrać ten karabin?

– Biegnij po niego, ale szybko – odpowiedział ojciec.

I w ten sposób stałem się właścicielem mauzera, sprawnego, choć z uszkodzonym przez gąsienicę czołgu końcem kolby. Ojciec nauczył mnie rozbierać i składać jego zamek. Umiałem to robić z zamkniętymi oczami. Skórkowa wyściółka hełmu

zabitego Niemca posłużyła później do reperacji poszycia mamy drewniaków, a gumowe wykładziny z szoferki rozbitego samochodu przydały się jako zelówki do butów.

Późniejsze dni pozwoliły na zgromadzenie pokaźnego zapasu amunicji, którą zbierało się na polu, jak grzyby w lesie. Część zdobyczy – np. woreczki z dynamitem, które zamokły, więc suszyłem je nad kuchennym piecem – mama wyrzuciła ku mojej rozpaczy do kloacznego dołu naszej sławojki. Resztę, łącznie z karabinem straciłem zaraz po tzw. wyzwoleniu. Ktoś widocznie doniósł i musiałem oddać cały arsenał milicjantowi, który złożył nam w tym celu wizytę. Jeszcze nie miał munduru, tylko białą-czerwoną opaskę z literami MO na ramieniu. Był to mój pierwszy kontakt z władzą ludową.

Kolejne dni upływały pod znakiem ciągłego przemarszu podążających na zachód wojsk różnych rodzajów broni. Byli wśród nich i kawalerzyści z charakterystycznymi szablami bez chroniącego palce jelca przy rękojeści. Ojciec mi wyjaśnił, że ta osłona była zbędna, bo w XX wieku działania kawalerii ograniczały się do zwiadu, szybkiego przerzucenia uzbrojonych w automaty żołnierzy przez trudnodostępne tereny i ewentualnie do błyskawicznej szarży, a nie do szermierczych pojedynków. Codziennie kwaterowali w naszym pokoju żołnierze. Kiedyś nocowało dwóch szeregowych czerwonoarmistów: młody i stary. Młody przy okazji jakiejś dyskusji z ojcem wyjął zza pazuchy wycięty z gazety portret Stalina i pocałował go. Stary ukradkiem splunął na podłogę. Mimo to miło wspominał tego młodego, który widząc naszą biedę, wyciągnął z plecaka woreczek uzbieranego z codziennych przydziałów cukru i oddał nam cały jego zapas napełniając nim po brzegi, z czubem, głęboki talerz. Pojawiło się i polskie wojsko. Jeden z oficerów kwaterował u nas nawet przez kilka dni. Mnie pozwalał się bawić swoją tetetką, a sąsiadkę zaprosił nawet na urządzany w Łowiczu bal. Po powrocie sąsiadka opowiadała, że na balu było obecnych również kilka Rosjanek ubranych w ... nocne koszule z falbankami haftami itp. Sądziły, że są to balowe suknie.

Natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej unieważniono dotychczasowe pieniądze, tzw. młynarki, będące w Generalnej Guberni normalnym środkiem płatniczym. W zamian za to wszystkim posiadaczom niemieckich kenkart wręczono po 500 nowych „lubelskich” złotych. Dla uniknięcia podwójnej wypłaty wycinano przy tym kawałek kenkarty zawierający jeden z dwu odcisków linii papilarnych palców jej posiadacza. A nieświadoma nadciągającej przyszłości moja mama na dwa dni przed tym sprzedała mój złoty medalik z łańcuszkiem, jaki dostałem od chrzestnej matki z okazji chrztu. Był to już jeden z ostatnich jubilerskich skarbów, z których wyprzedaży żyliśmy przez ostatnie lata. Jedynym zyskiem z tej transakcji był zakup 2 kilogramów słoniny i dobry obiad, jakim poczęstował nas kupujący medalik chłop. Na drugie danie były kraszone skwarkami pyzy, ale nie w postaci formowanych w ręku kulek z dołączkiem, jak to robiła mama, robione jak tzw. kluski kładzione, tzn. czerpane z miski półpłynnego ciasta łyżką i wrzucane nią do wrzątku. Resztę pieniędzy można było wyrzucić. Takiego posunięcia nie zrobili nawet Niemcy w 1939 r. pozostawiawszy przedwojenne pieniądze w obiegu jeszcze chyba przez rok. Rosjanie za to postawili ogromne afisze propagandowe. U wejścia na most stały dwa: jeden przedstawiał niemieckiego żołnierza rozstrzeliwującego kobietę z dzieckiem, a drugi czerwonoarmistę z pepeszą prowadzącego dwóch Niemców z rękami do góry. Ale muszę powiedzieć, że nie spotkałem się w tym miejscu i czasie z żadnymi nadużyciami czy ekscesami ze strony żołnierzy Armii Czerwonej. Byli nam przyjaźni, demonstrowali skuteczność swojej broni. Kule wystrzelone z odległości 2 m z pepeszy do starego kubła z cienkiej, przerdzewiałej blachy, przebijały jego pierwszą ściankę, drugiej już nie. Opowiadano natomiast, że zdarzył się w okolicy jakiś incydent, bodajże gwałt, ale po złożeniu skargi i zidentyfikowaniu sprawcy, patrol NKWD rozstrzelał go na miejscu.

Wkrótce po tzw. „wyzwoleniu Warszawy” mama udała się tam, sprawdzić, czy rzeczywiście nasz dom przetrwał i czy są jakieś szanse powrotu. Okazało się, że cała frontowa część

domu stała nienaruszona, spalono tylko oficynę. Do jednego czy dwóch lokali wrócili nawet dawni mieszkańcy, ale dozorca mamy po prostu nie wpuścił. Udała się, więc ze skargą na komisariat milicji. Tam przydzielono jej milicjanta, który zmusił dozorcę do wpuszczenia mamy i otworzenia zamkniętego na kłódkę naszego mieszkania, ale dozorca (nie pamiętam czy nowy, czy „przedpowstaniowy”) kwestionował fakt, że mama była właścicielką tego mieszkania. I wiedział, co robi, bo okazało się, że mieszkanie przekształcono w magazyn wyszabrowanych bogactw. Naszych mebli już tam nie było z wyjątkiem górnej części tapczanu i jednego fotela. Były natomiast 2 fortepiany, kilka pianin, zwoje dywanów itp. itp.

– Czy to wszystko jest Pani dobytkiem? – zapytał milicjant.

– To wszystko nie, ale mieszkanie jest moje i zaraz to panu udowodnię – powiedziała mama.

Zaprowadziła milicjanta do łazienki i wydobyła zza wanny gliniany garnek ze smalcem, schowany tam przed wysiedleniem, bo było to najchłodniejsze miejsce w mieszkaniu, a domowych lodówek wtedy jeszcze nie było. To ostatecznie przekonało milicjanta. Kazał oddać mamie klucze, powiedział, że wszystko, co się w mieszkaniu znajduje może traktować jako swoją własność i zaproponował mamie pracę w milicji. Mama odmówiła. I w ten sposób jedynym, profitem z tej wyprawy był ów, bardzo wówczas cenny dla nas, garnek smalcu oraz tapczan i fotel, przeniesiony do sąsiadów i zdeponowany u nich. Po odejściu milicjanta dozorca zmienił front, zaczął zachęcać mamę do pozostania, koniecznie chciał, żeby mama zobaczyła, jakie jeszcze dobra spoczywają w naszej piwnicy. Ale mama wiedziała już od sąsiadów, że to prawdopodobnie dozorca spalił oficynę po jej obrabowaniu i przewodzi szajce szabrowników. Być może, że z tej piwnicy już by nie wyszła. Doszła też natychmiast do wniosku, że zamieszkanie w tym jedynym budynku (oprócz ocalałego gmachu sądów) w zamienionej w gruzowisko okolicy byłoby bardzo niebezpieczne. Nie wierzyła, że Warszawa podźwignie się z tych gruzów. Gdy rok później już wróciliśmy na stałe do Warszawy, proponowano mamie

przejęcie i odbudowę sklepu na rogu Chmielnej i Nowego Światu. Mama powiedziała, że to nie ma sensu, bo 50 lat minie zanim odbuduje się tę część miasta. Inna sprawa, że i tak nie mieliśmy pieniędzy na taką inwestycję.

A jednak zrujnowane miasto garnęło się do życia. Kilka tygodni później byliśmy w Warszawie z mamą, by umówić termin zabrania ocalałej części naszego tapczanu i fotela, wracając zauważyliśmy na wypalonym domu, gdzieś w okolicy dzisiejszego kina „Femina” nabazgrane na owalnym kawałku tektury ogłoszenie: „, Piekarnia czynna. Chleb 20 zł kilogram”. Wśród gruzów działała piekarnia. Kupiliśmy bochenek chleba, a wychodząc rzuciłem okiem na drugą stronę tego tekturowego szyldu. To był portret mojej mamy! Zabraliśmy go ze sobą. Po latach udało się zrobić z niego czytelną fotografię, która do dziś wisi na ścianie w moim pokoju. To już była druga w tym dniu, zaskakująca niespodzianka, bo na zalegającym nasze podwórko stosie śmieci i rupieci znaleźliśmy jeden z naszych rodzinnych albumów z fotografiami. Niekompletny, z częściowo zniszczonym zbiorem zdjęć, po uporządkowaniu jest dziś jedną z niewielu pamiątek z przedwojennych i wojennych lat.

Po wyzwoleniu Łodzi ojciec pojechał tam, załatwił nam przydział pięciopokojowego, poniemieckiego mieszkania i miał nadzieję na otwarcie kancelarii prawniczej lub jakąś pracę w organizującej się administracji państwowej. Załadowaliśmy dobytek na wynajętą furmankę i pojechaliśmy do Łodzi. Drogi były przejezdne. Na poboczach było widać stosy artyleryjskiej amunicji i łusek po pociskach oraz zepchnięte z drogi wraki samochodów i czołgów. W Łodzi okazało się, że mieszkanie zostało w międzyczasie zajęte przez jakąś państwową instytucję i znów zostaliśmy bez dachu nad głową. Przytulili nas u siebie mieszkający piętro wyżej państwo Missalowie, użyczając nam jeden pokój swego mieszkania. Byli to dobrzy znajomi rodziców z Warszawy. Pan Missala był kolegą ojca z palestry i wiem, że podczas okupacji działał społecznie w RGO.

Instytucji, która pozbawiła nas mieszkania, nie mogłem tego darować. Za każdym razem, gdy przechodziłem obok drzwi do tego lokalu zrywałem mocowaną na nich kartkę z nazwą tej instytucji. W tym czasie zacząłem chodzić do szkoły. Przyjęto mnie do trzeciej klasy, ale widocznie nie dawałem sobie rady, bo po kilku dniach przeniesiono mnie do drugiej klasy, co odczułem bardzo boleśnie. Nauka w dalszym ciągu nie była moją pasją, ale bardzo dużo czytałem. Książki pożyczała mi ze swego bogatego zbioru kilkunastoletnia wówczas córka państwa Missalów. Przeczytane wówczas „Przypadki Robinsona Cruzoe” Daniela Defoe stały się zaczynem mojego zainteresowania morzem. W ciągu następnych lat przekształciło się ono w żeglarską pasję, która pochłaniała mnie przez całe życie, stając się w pewnym stopniu moim drugim zawodem.

W Łodzi w dalszym ciągu gromadziłem naboje, zapalniki do granatów (rzucane do góry eksplodowały uderzając o ziemię przy spadaniu), niemieckie maski gazowe, które kradliśmy z kolegami z układanych w stopy pod gołym niebem wojskowych zdobyczy, niedbale pilnowanych przez rosyjskich wartowników. Cenną zdobyczą były plecione ze słomy, ogromnych rozmiarów buty, służące do nakładania podczas mrozów na normalne, wojskowe obuwie. Taki but palił się pod kuchnią przez pół godziny oszczędzając wydatki na węgiel czy drewno. Normalną zabawą było też zwracanie się do rosyjskich żołnierzy, a zwłaszcza oficerów, z uprzejmym pytaniem:

– Izwienitie, katoryj czas?

Odpowiadali chętnie, zadzierając oba rękawy munduru. Na każdym przedramieniu mieli po kilka zegarków. Sprawdzaliśmy w ten sposób i polskich oficerów – ci mieli tylko jeden zegarek. A propos polskich oficerów, to przypominam sobie taką parę: ona, bardzo ładna blondynka w mundurze porucznika, on z dystynkcjami podporucznika. Stali przed sklepem jubilera i dyskutowali o kupnie obrączek. Potem weszli do kawiarni. A na drzwiach tej kawiarni był napis po polsku: „Niemcom wstęp wzbroniony”. Jak widać wahadło odchyliło się w przeciwną stronę, ale czasy ulegały normalizacji. Uru-

chomiono wesołe miasteczko, czynny był ogród zoologiczny, wychodziły gazety „Głos Ludu” i „Rzeczpospolita”. Wtedy też po raz pierwszy w życiu odwiedziłem kino. Większość wyświetlanych wówczas filmów, było radzieckiej produkcji, ale ten pierwszy, jaki widziałem to był jakiś zachodni melodramat pt. „Żegnaj”. Nic z tego nie rozumiałem, podobnie jak z dwóch następnych: „Iwan Iwanowicz gniewa się” i „Sekretarz rejkomu”. Ale głównie interesowała mnie techniczna strona zagadnienia. W czasie okupacji opowiadali mi starsi ode mnie, podwórkowi koledzy, na czym polega film. Nie mogłem pojąć ich wyjaśnień, że tam galopują na prawdziwych koniach i strzelają z prawdziwych rewolwerów, ale nie są to żywe postacie, tylko jakby namalowane na płótnie. Ani rodzice, ani tym bardziej ja, nie chodziliśmy wtedy do kin czy teatrów z patriotycznych względów. Raz tylko widziałem jasełkę w kościele, ale tam występowali żywi aktorzy.

Stan zdrowia mego ojca pogorszył się w tym czasie do tego stopnia, że trafił do szpitala. Zdawał sobie sprawę, że z niego już nie wyjdzie. Zmarł na gruźlicę kilka tygodni później. Mój niedożywiony organizm też był w kiepskim stanie. Zacząłem chorować. Mama nie mając żadnego zawodu, nie mogła znaleźć w Łodzi pracy. Praktycznie cała rodzinna biżuteria i tzw. świnki – złote, carskie ruble ukryte w postaci obszytych materiałem guzików przy ubraniu – zostały już sprzedane. Pozostał mamie jeszcze herbowy sygnet ojca i cenny pierścionek z brylantem. Sprzedaż sygnetu w ogóle nie wchodziła w grę. Przetrwiał w naszej rodzinie do dziś. Pierścionek była mama gotowa sprzedać za 25 ówczesnych tysięcy złotych, ale dawali jej maksimum 18 tysięcy, a na tą cenę nie chciała się zgodzić. Postanowiła powrócić do Warszawy i tam podjąć próbę zorganizowania na nowo naszego życia. W Warszawie sytuacja zmusiła ją do sprzedania tego pierścionka. Kupiła go właścicielka spożywczego sklepu z ulicy Poznańskiej. Dała tylko 5 tysięcy. Ja tymczasem pozostałem na pewien czas w Łodzi pod opieką i w mieszkaniu pani Genowefy Pacholak – wspomnianej wyżej przyjaciółki mojej chrzestnej matki z lat okupacji. Pożegnali-

śmy więc państwa Missalów nie zapominając o zaciągniętym u nich długi wdzięczności. Panią Gryzeldę Missalową – profesora historii – przypominał mi po latach podręcznik szkolny jej współautorstwa*, z którego uczyłem się w szkole, niestety, napisany w duchu obowiązującej wówczas komunistycznej doktryny. Z synem państwa Missalów, prof. Tadeuszem Missalą, którego pamiętam z tamtych czasów w harcerskim mundurze, miałem przyjemność w późniejszych latach niejednokrotnie współpracować na polu zawodowym.

W dniu 9. maja ogłoszono kapitulację Niemiec. Ulicami Łodzi przeszedł radosny pochód. Defilowało wojsko, strzelano na wiwat, grała orkiestra, szli harcerze, załogi zakładów pracy. Na ścianach domów pojawiły się okolicznościowe afisze. Wśród nich takie z hasłem: „Gdańsk morską stolicą Polski”. Widocznie nie było to jeszcze pewne, więc chciano tym propagandowym chwytem wymusić taką decyzję na sojusznikach, co się udało.

Ten radosny dzień zakończenia wojny zastał nas bez domu, bez środków do życia, z umierającym w szpitalu ojcem.

* G. Missalowa, J. Schoenbrenner: Historia Polski. PZWS, Warszawa 1951

2. TUŻ PO WOJNIE

Mimo że Warszawa leżała w gruzach wielu jej dawnych mieszkańców powróciło. Taką decyzję podjęła i moja mama wychodząc z założenia, że tu wśród ocalałych przyjaciół i znajomych łatwiej będzie zorganizować życie od nowa, niż w obcym środowisku. W podwarszawskiej Radości, dokąd rodzice wyjeżdżali przed wojną na letnisko, wynajęła drewniany barak. Doprowadzenie go do stanu umożliwiającego zamieszkanie wymagało czasu i pieniędzy. Trzeba było wstawić okna, piec, kuchenkę, położyć podłogi z desek, uszczelnić dach. Poszła na to większość pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży pierścionka z brylantem, ale tymczasem nie mieliśmy gdzie mieszkać. Nocowaliśmy u znajomych, raz tu, raz tam. W końcu udało się mnie umieścić w ośrodku dla dzieci prowadzonym przez siostry zakonne w podwarszawskim Międzyzlesiu.

Spędziłem tam ok. 3 miesiące. Miałem swoje łóżko, 3 posiłki dziennie, towarzystwo kilkudziesięciorga rówieśników, był kawałek lasu, łąka i strumyk. Siostry dbały o naszą higienę i porządek. Rozrzucone na łące miny przeciwczołgowe nie przeszkadzały nam w zabawie. Mimo dziecięcego wieku byliśmy doskonale zorientowani, że nasza niewielka masa nie jest w stanie spowodować ich eksplozji, a z min przeciwpiechotnych ten teren oczyścili saperzy. Mimo tych pozytywów nie mam najlepszych wspomnień z pobytu u sióstr. Te najgorsze były związane ze sposobem serwowania obiadu. Podkreślam: ze sposobem jego podawania, abstrahując od jego jakości. Najpierw każdemu wlewano do metalowej miski zupę. Jeśli ktoś jej nie zdążył zjeść do końca w odpowiednim czasie, do tej samej miski z resztą zupy wkładano mu drugie danie, a potem na tej samej zasadzie wlewano kompot. Protesty nie zdawały się na nic – w ośrodku panowała żelazna dyscyplina. Na przykład za rozmawianie w czasie dwugodzinnej poobiedniej sjeisty można było dostać pasem. Kiedyś grupa chłopców poczęła rzucać w inną grupę nadgniętymi pomidorami usypanymi na stos obok

warzywnych grządek. Tamci, będąc z dala od tego stosu pomidorów, odpowiedzieli zdrowymi pomidorami, które zerwali z krzaków. Ta pomidorowa wojna została szybko zakończona przez siostry. Po niej nastąpiło krótkie śledztwo. Każdy musiał przynieść pomidory, którymi rzucał. Kto ucziwie przyniósł zdrowe, zerwane z krzaków, dostał solidne baty. Najbardziej ucierpiał chłopiec chory na chorobę Heine-Medina, chodzący o kulach; bito go tymi właśnie kulami. Ale nie wszystkie siostry były takie. Jedna z nich – siostra Bogumiła – była bardzo nam wszystkim przyjazna i opiekuńcza; nigdy, nikogo nie uderzyła. W niedzielę prowadzono nas do kościoła. Przed wyjściem wszyscy wkładaliśmy wydawane z magazynu, bardzo ładne, niebieskie sweterki, pochodzące z jakiś zagranicznych darów. Po powrocie oddawaliśmy je. Marzyło mi się, że dostanę ten mój sweterek na własność, gdy mama będzie mnie zabierała mnie z ośrodka. Marzenie to pozostało niespełnione.

W międzyczasie pojawiła się możliwość zamieszkania w Warszawie u mojej chrzestnej matki, w jej przedwojennym jeszcze mieszkaniu nr 9 przy ulicy Nowogrodzkiej 44. Dom ten, wraz z kompleksem budynków między ul. Nowogrodzką a Alejami Jerozolimskimi, na odcinku od ulicy Emilii Plater do Marszałkowskiej, nie został zniszczony podczas Powstania. Budynki te oddano w administrację Poczty Głównej, której ówczesną siedzibą stał się ocalały gmach poczty na ul. Nowogrodzkiej róg Poznańskiej. Pocztowi kwatermistrze ograniczyli właścicielom mieszkań użytkowanie ich lokali do jednego pokoju, a pozostałe pokoje w poszczególnych mieszkaniach przydzielali pracownikom poczty i innym osobom, które potrafiły się z kwatermistrzami „dogadać”. Moja chrzestna matka wolała mieć w roli współlokatorów bezdomnych członków swojej dalszej rodziny i przyjaciół, niż obcych ludzi i udało się jej załatwić przydział jednego pokoju dla mojej mamy i mnie. Był to pokój przejściowy, tzn. mieszkańcy trzech z czterech pozostałych pokoi musieli przechodzić przez niego w drodze do kuchni i toalety. Jedyнным meblem, jaki mieliśmy, była ocalała z naszego dawnego domu, ustawiona na podpórkach z cegieł górna

część tapczanu oraz fotel. Mieliśmy też do dyspozycji szafę w ścianie. Za to wysokość czynszu była symboliczna. Mama uznała, że jest to lepsze niż mieszkanie w podwarszawskiej Radości, za którego wynajem trzeba było sporo płacić i zrezygnowała z tamtego lokum. Pieniądze zainwestowane w jego remont, niestety przepadły. Po kilku miesiącach siostra mojej chrzestnej mamy, Magdalena Drzewiecka odzyskała dwa pokoje w swoim, położonym dwa domy dalej, trzypokojowym mieszkaniu przy ul. Nowogrodzkiej 48. Zamierzała wprowadzić się tam ze swoją wnuczką Ewą. Ewa urodziła się w czasie Powstania. Jej matka zmarła przy porodzie i wychowywała ją babcia. Ale dla uzyskania dwóch pokoi trzeba było minimum 4 osób, więc przeprowadziliśmy się razem z nimi. Przy wprowadzeniu okazało się, że jednak wolny jest tylko jeden pokój. Zamieszkaliśmy w nim w czwórkę. Na szczęście po roku czy dwóch ciocia Madzia, jak ją nazywałem, odziedziczyła w spadku małe ogrodnicze gospodarstwo wraz z domem w Piotrkowie Trybunalskim i wyprowadziła się razem z wnuczką. Zostaliśmy z mamą samodzielnymi lokatorami pokoju o powierzchni ok. 12 m², z używalnością kuchni, łazienki i ubikacji, do których musieliśmy przechodzić przez pokój zamieszkały przez inną rodzinę. O nieporozumieniach związanych z tą sytuacją lepiej nie wspominać. Ale to trwało jeszcze „tylko” 17 lat. W tym czasie zdążyłem skończyć szkołę i studia.

Okres szkoły podstawowej

Wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego 1945/46 wznosiłem naukę szkolną. Mama zapisała mnie do 3. klasy prywatnej jeszcze wówczas, renomowanej szkoły Wojciecha Górskiego. A była to nie byle jaka szkoła, bo powstała w 1877 r., o wspaniałych tradycjach. To, że mama w tamtych warunkach zdecydowała się zainwestować w wysoki poziom mojej edukacji, dziś budzi mój ogromny podziw i wdzięczność. Przecież za tę szkołę trzeba było płacić, w przeciwieństwie do darmowych, ale o gorszym poziomie szkół państwowych. Dopiero rok czy dwa lata później, gdy wykazałem się dobrymi, a nawet

bardzo dobrymi wynikami w nauce, szkoła znając nasz status materialny obniżyła mi chesne, a później, już w szkole średniej, komitet rodzicielski zwolnił mnie z opłat za wydawane w szkole obiady. Ale wtedy, zanim to nastąpiło, mama jeszcze nie miała pracy. Do tego doszły choroby. Oboje zapadliśmy na ciężkie zapalenie płuc. Ratował nas mieszkający piętro niżej pediatra, dr Wilkoszewski, późniejszy docent czy profesor Akademii Medycznej. Nigdy nie brał za tę pomoc honorarium. Dwukrotnie przetaczał mi krew od Jacka Palmera, syna mej chrzestnej matki. Przed zabiegiem mieszał na szkiełku kroplę jego i mojej krwi sprawdzając w ten sposób, czy nie zachodzi konflikt grup krwi. Wiedza o grupach krwi czy antybiotykach była wówczas jeszcze w powijakach. Podobnie jak o długotrwałych negatywnych skutkach, również dla ludzi, owadobójczego proszku DDT z paczek UNRRA, którym zsytywaliśmy wszystko dookoła, by zwalczyć wszechobecne pluskwy. W tym czasie też zmarł w łódzkim szpitalu mój ojciec. Mama pochowała go na cmentarzu w Łodzi. Na pogrzebie były 2 osoby: mama i moja chrzestna matka. Nie było nas stać na przetransportowanie jego zwłok do rodzinnego grobu w Warszawie. Jego szczątki przenieśliśmy do rodzinnego grobu na Bródnowskim Cmentarzu wiele lat później. Krótko mówiąc, wówczas byliśmy po prostu nędzarzami. Mama utrzymywała nas z handlu polegającego na wyjazdach na tzw. ziemie odzyskane, kupowania tam po niskich cenach ubrań i przedmiotów codziennego użytku, od oczekujących na wysiedlenie Niemców i sprzedawania ich z zyskiem w Warszawie. Niebagatelną pomocą były w tym czasie paczki UNRRA zawierające produkty żywnościowe z amerykańskiego demobilu oraz możliwość otrzymania ubrań rozprawdzanych przez PCK i inne charytatywne organizacje z zachodniej Europy, zwłaszcza ze Szwecji. Ale już w 1946 r. udało się mamie dostać pracę w sklepie spożywczym działającym na terenie Banku Rolnego, mieszczącego się na ul. Nowogrodzkiej, a więc blisko naszego domu. Po roku czy dwóch dostała mama pracę w cepeliowskiej Spółdzielni Rękodzieła Artystyczne. Prowadziła tam magazyn surowców i wyrobów gotowych aż do przejścia na emeryturę. Od chwili dostania

przez mamę stałej pracy w domu nie było już głodu, ale o dostatku jeszcze przez wiele lat nie mogło być mowy. Nigdy nie miałem własnego roweru, sanek, nie dostawałem do szkoły drugich śniadań. Żeby uniknąć krepujących indagacji kolegów, przez jakiś czas zabierałem do szkoły dwie suche kromki białego chleba, między nie kładłem kromkę razowca i udawałem, że to kanapka z pasztetem. A mama spłacała jeszcze na raty dług zaciągnięty w czasie okupacji u naszej służącej Andzi (zdrobienie od Agnieszki). Andzia była z nami bardzo zaprzyjaźniona i pożyczyła swoje oszczędności, gdy rodzice próbowali wykupić mojego brata z Pawiaka. Nasza sytuacja materialna poprawiła się radykalnie dopiero wówczas, gdy dostałem się na studia i zacząłem zarabiać, głównie korepetycjami.

Szkołę Górskiego, do której uczęszczałem, uruchomiono po wojnie w ocalałym budynku róg ulicy Nowogrodzkiej i Emilii Plater. Przed wojną jej nowoczesny gmach mieścił się na ul. Hortensja (obecnie Wojciecha Górskiego) w Warszawie i został kompletnie zniszczony. W koedukacyjnej klasie (przed wojną była to męska szkoła) zasiadało ponad 60 uczniów, po 4 osoby w dwuosobowej ławce. Brak sali gimnastycznej i boiska oraz ciasnota klas i korytarzy wykluczały możliwość zajęć wychowania fizycznego. Nasza wychowawczyni, pani Bolesława Makowska – przedwojenna nauczycielka szkoły Górskiego, podobnie jak większość kadry nauczającej – przerywała zatem lekcje prowadząc coś w rodzaju szwedzkiej gimnastyki. W klasie zorganizowano wypożyczalnię książek, wśród których największym powodzeniem cieszyło się kilka tomów przygodowych powieści Londona i Curwooda. Aby je przeczytać trzeba było się zapisywać na kilkunastoosobowe listy. Ja w tym czasie pochłaniałem trylogię Sienkiewicza wypożyczoną mi przez chrześną matkę, więc nie zapisywałem się na te listy, licząc, że zanim przeczytam wszystkie tomy trylogii, kolejek już nie będzie. Pani Makowska zauważyła brak mego nazwiska na listach potencjalnych czytelników i zapytała o przyczynę. Prawdziwości mego wyjaśnienia nie była pewna, ale nie dała mi tego poznać, natomiast po kilku dniach zadała mi parę kon-

trolnych pytań. Odpowiedzi przekonały ją, że mówię prawdę i rozumiem, co czytam. Odtąd zawsze widziała we mnie miłośnika historii. Gdy na mój zamiar pójścia po szkole podstawowej do Szkoły Morskiej moja mama stanowczo nie wyraziła zgody i rozważałem kontynuowanie nauki w technikum, pani Makowska gorąco zaprotestowała apelując do mojej mamy, by nie dopuściła do zmarnowania „takiego historycznego talentu”. To zdanie mojej wychowawczynie przyczyniło się w istotnym stopniu do tego, że zdecydowałem się na ukończenie liceum ogólnokształcącego, które w przeciwieństwie do technikum nie dawało mi żadnego konkretnego zawodu, co w naszej trudnej sytuacji materialnej było problemem. Jednak nigdy później tej decyzji nie żałowałem, bo chociaż nie wybrałem historii i zgodnie z obudzonymi później zainteresowaniami ukończyłem Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej, to ogólna wiedza wyniesiona z dobrej szkoły była mi przydatna przez całe życie. A ciekawość historii i humanistyczna żyłka nigdy we mnie nie zaniknęła, czego dowodem mogą być chociażby niniejsze wspomnienia oraz kilka nietechnicznych książek wśród kilkudziesięciu, jakich jestem autorem lub współautorem.

W szkole starano się nas wychowywać w duchu jej patriotycznych tradycji o wieloletnim rodowodzie. W 1947 r. szkoła obchodziła siedemdziesięciolecie istnienia. Zorganizowano uroczystą akademię w sali „Romy”, wydano okolicznościową jednodniówkę. Ale powojenna bieda nie pozwalała na powrót do wszystkich tradycji. Na przykład przed wojną wszyscy uczniowie chodzili w jednakowych szkolnych mundurkach, po wojnie w naszej klasie tylko jeden uczeń mógł się takim mundurkiem pochwalić, a i to dlatego, że uszył mu go jego ojciec, właściciel krawieckiego warsztatu. Ponieważ był jedynym posiadaczem mundurka, szybko przestał go nosić. Większość z nas nosiła natomiast czapki szkoły Górskiego o charakterystycznym kroju. Czapki te były już przed wojną tematem wierszowanych docinków typu:

*W kepi wojska francuskiego
idzie małpa od Górskiego.*

„Górale” odpowiedzieli na to:

*A tą małpą się zachwyca
inna małpa od Staszica.*

Oczywiście taka czapka była moim marzeniem. W końcu mama mi ją kupiła. Nie przyszło to jej łatwo, bo czapka sporo kosztowała. Niestety jej jakość była kiepska i po roku czy dwóch czapka poczęła tracić swój kolor, wyrudziała. Mimo to nosiłem ją, bo nie miałem innej, ani szans na nową. Wtedy pani Zofia – ciotka mego przyjaciela Jurka Radomskiego – zafundowała mi nową czapkę. Wiedząc, że nie będę chciał jej przyjąć powiedziała, że Jurek wyrósł już ze swej starej czapki i to ma być niespodzianka dla niego. Poprosiła żebym poszedł z nią do sklepu i przymierzył czapkę, bo mamy z Jurkiem jednakowe głowy. A potem okazało się, że jest to prezent dla mnie i mimo moich protestów musiałem go zatrzymać.

Pani Zofia – którą nazywałem cicią – okazała mi ogromnie wiele serca i życzliwości, podobnie jak rodzice Jurka. Jako współwłaściciele wytwórni wędlin i właściciele dwóch firmowych sklepów byli ludźmi zamożnymi, ale też bardzo ciężko i przez cały dzień pracującymi. W lecie wynajmowali lotnisko w modnym dziś, podwarszawskim Izabelinie. Wówczas było to osiedle pozbawione komunikacji z Warszawą, bez elektryczności, gazu i kanalizacji. Wysyłali tam Jurka oraz urodzonego w 1945 r. jego młodszego brata Tomka i zabierali także mnie. Opiekowała się tam nami właśnie ciocia Zofia. W Izabelinie spędziliśmy większą część naszych wakacji przez kilka lat z rządu. Bezpośrednie sąsiedztwo Puszczy Kampinoskiej, dwa pobliskie stawy, w których nauczyliśmy się pływać, ogromne połacie piaszczystych (dziś zalesionych) wydm, były

wprost rajskim terenem zabaw, przygód i wyżycia się tryskających energią łobuziaków, jakimi byliśmy. Moja przyjaźń z Jurkiem przetrwała do jego śmierci, a z Tomkiem, który był później moim studentem, trwa do dziś.

Tu warto przypomnieć, w jaki sposób państwo Radomscy dość nagle przestali być ludźmi zamożnymi. Otóż pewnego dnia o jednej godzinie w Warszawie, a być może i w całym kraju, upaństwowiono prywatne sklepy mięsne i wędliniarskie, bez wcześniejszej zapowiedzi tego faktu. Znienacka, w towarzystwie służby bezpieczeństwa, wkroczyły do nich ekipy nowego personelu. Dotychczasowych właścicieli zapytano, czy zechcą nadal pracować w ich sklepach jako pracownicy państwowej instytucji, a gdy odmówili, kazano im natychmiast opuścić sklep. Musieli pozostawić utarg w kasie, niesprzedany jeszcze towar, chłodnie i całe wyposażenie, łącznie z roboczymi fartuchami, które musieli z siebie zdjąć i oddać. Rodzicom Jurka pozwolono zabrać tylko wiszący na ścianie obrazek Matki Boskiej. Przez jakiś czas tolerowano jeszcze działanie ich prywatnej spółki wytwarzającej wędliny, ale ciągłe kontrole, domiary, trudności z uzyskaniem surowca szybko doprowadziły do likwidacji tego przedsiębiorstwa. Podobny był mechanizm upadku innych, niewielkich prywatnych przedsiębiorstw należących do rodziców innych moich szkolnych kolegów, np. wytwórni perfum państwa Kozieradzkich czy firmy produkującej, a nawet eksportującej ozdoby choinkowe państwa Rękawków. Z dużymi prywatnymi fabrykami poradzono sobie wcześniej z pomocą ustawy nacjonalizacyjnej. Identyczną powtórkę z historii mogłem obserwować w 1979 r. w Libii, gdzie uczyłem tamtejszą młodzież sztuki żeglowania. Gdy na kilka dni przed powrotem do kraju kupowałem w prywatnym sklepie z zabawkami klocki Lego dla moich synów, wtargnęła do niego ekipa tajniaków i upaństwowiła sklep w identyczny sposób, jak sklepy mięsne w Polsce. Różnica była tylko taka, że u nas te upaństwowione sklepy praktycznie nie przerwały sprzedaży, a tam zostały zamknięte, nie wiem na jak długo. Kaddafi stosował też analogiczne do komunistycznych metody niszczenia prywat-

nych przedsiębiorstw. Podczas mego pobytu w Libii ukazało się np. wchodzące natychmiast w życie rozporządzenie ograniczające do 2000 dinarów (oficjalnie ok. 6000\$) kwotę, jaką obywatel może dziennie podjąć z banku. Właścicielom prywatnych warsztatów, którzy muszą kupować surowiec, płacić kooperantom i pracownikom, ograniczyło to lub uniemożliwiło praktyczną działalność. Już następnego dnia w ogóle nie otwarto bram wielu warsztatów kamieniarskich i samochodowych, wczoraj jeszcze tętniących życiem i – jak to w arabskim kraju – wykonujących część pracy wprost na chodnikach ulic. A cena złota podskoczyła z dnia na dzień o 50%.

Oprócz Jurka Radomskiego moimi najbliższymi przyjaciółmi z okresu szkoły podstawowej, byli: Maciek Kozłowski i Włodek Rojewski. Mieszkaliśmy blisko siebie i tworzyliśmy zgraną paczkę „czterech muszkieterów”. Głównym miejscem naszych zabaw był obszerny teren otaczający ruiny kościoła św. Barbary, między ulicami Emilii Plater, Wspólną, Barbary i tylną ścianą gmachu Romy. Działał tam nieformalny, uliczny klub sportowy UKS „Piorun”. Kilka jego drużyn, liczących 6 – 8 zawodników, rozgrywały między sobą mecze na prowizorycznych boiskach, tym charakterystycznych, że rosły na nich drzewa. Tam załatwialiśmy też szkolne nieporozumienia metodą bokserskich pojedynków oraz bawiliśmy się w policjantów i złodziei. Atrybutem tych ostatnich zabaw było uzbrojenie w postaci stalowych rurek zaspawanych z jednego końca i wygiętych na kształt pistoletu. W ten drugi, otwarty koniec wkładało się zapaloną laskę prochu artyleryjskiego w postaci przypominającej gruby makaron z przebiegającą wzdłuż niego dziurką i wbijało się łuskę karabinowego naboju. Gaz wytworzony ze spalającego się prochu osiągał po kilku sekundach ciśnienie wyrzucające łuskę na kilkadziesiąt metrów. Na szczęście broń ta była bardzo niecelna. O amunicję do niej nie było trudno. Wśród gruzów kościoła św. Barbary mieliśmy schowany arsenał kilkunastu granatów, kilkuset naboju karabinowych, prochu itp. Łuski uzyskiwaliśmy wyciągając pociski z naboju. Same naboje, po wytopieniu wypełniającego je ołowiu, służyły jako

groty strzał do łuków, a proch – do różnego rodzaju fajerwerków. Słonki łusek też można było doprowadzić do efektywnych eksplozji wrzucając je do ognia lub zgniatając uderzeniami młotka albo kamienia. Z wykorzystaniem granatów były kłopoty. Kiedyś postanowiliśmy je wypróbować. Uznaliśmy, że odpowiednim miejscem do ich rzucenia będzie pusty basen przeciwpożarowy z resztkami wody na dnie, usytuowany na rogu ul. Marszałkowskiej i Wspólnej, na zapleczu wybudowanego zaraz po wojnie ciągu parterowych sklepów wzdłuż Marszałkowskiej. Któregoś dnia, po szkole, ok. godziny trzeciej po południu, w szczycie ulicznego ruchu, zza chroniącego nas zwału gruzów cisnęliśmy razem z Jurkiem Radomskim dwa granaty, uzbroiwszy je uprzednio. Na szczęście żaden nie eksplodował, widocznie zapalniki już nie były sprawne. Losem niewybuchów nie interesowaliśmy się. Również na szczęście wkrótce potem przystąpiono do odbudowy kościoła, nasz arsenał został odkryty przez robotników i ku naszej rozpaczy, bezpowrotnie utracony. Dziś wstyd mi przyznać się do tej głupoty, ale gdy będąc już dorosłym słyszałem, jak jeden z moich kolegów surowo zabraniał swemu synowi samemu jeździć windą, bo brakowało mu kilku miesięcy do ukończenia regulaminowych 14 lat i mógłby się przestraszyć, gdyby winda zatrzymała się między piętrami, to przypomniałem sobie, że w wieku 10 lat byłem współwłaścicielem składu granatów i śmiać mi się chciało z tej ostrożności.

Ale nie wszystkie przygody z granatami kończyły się tak pomyślnie. Mniej więcej w tym samym okresie inna grupa chłopców usiłowała, nie wiem po co, rozebrać granat. Majstrowali przy nim pod ścianą dawnej, a wciąż istniejącej, cmentarnej kaplicy przy ul. Wspólnej. Zauważył to jeden z moich kolegów spacerujący tam z prowadzoną za rączkę małą siostrzyczką. Zatrzymał się przy nich i zwrócił im uwagę, że to nie ma sensu i jest niebezpieczne. Wyśmiali go i powiedzieli żeby uciekał, jak się boi. Ledwie zdążył odejść i znaleźć się po drugiej stronie kaplicy, gdy nastąpiła detonacja. Jednego z chłopców rozszarpało na miejscu, drugi odczołgiwał się od miejsca

eksplozji ciągnąc za sobą obfity ślad krwi i umarł kilkanaście metrów dalej. Kilku było poważnie rannych, ale przeżyli dzięki szybkiej reakcji odległego o zaledwie kilkaset metrów pogotowia ratunkowego.

Nie rozumiałem wówczas nieracjonalnego zachowania się tego chłopca, odczołgowującego się po fakcie z miejsca wypadku, gdy już przecież nie było żadnego zagrożenia. Zrozumiałem je kilka dni później. Wytapialiśmy właśnie na ognisku ołów z karabinowych pocisków, gdy podszedł do nas syn kościelnego z kilkuletnim braciszkiem. Ten, podniósł leżący niedaleko moździerzowy granatnik i wrzucił go do ogniska. Granatnik, w kształcie przypominającym małą bombę, był pozbawiony dolnej, zaokrąglonej części, w której normalnie znajdował się uderzeniowy zapalnik, więc pozornie nie stanowił zagrożenia. Zanim wyciągnęliśmy go z ogniska i odturlaliśmy za stertę cegieł, płomień zaczęły penetrować otwarte jego wnętrze, a wśród „fachowców” otaczających ognisko rozgorzał spór, czy trotyl wypełniający granatnik jest materiałem palnym, czy też nie. Chyba był, bo granatnik nagle eksplodował. Nikomu nic poważnego się nie stało dzięki osłaniającej nas stercie cegieł, ale wszyscy rzucili się do bezsensownej ucieczki, wpadając po drodze pod cegły strącone detonacją z murów w pół zrujnowanej kaplicy Przeździeckich, później rozebranej i na nowo zmontowanej na Bródnowskim Cmentarzu. Powodem tej ucieczki była po prostu panika, zwykły, odbierający rozum, zwierzęcy strach. Biegłem tak i ja, aż na ulicy Nowogrodzkiej przed gmachem Romy zatrzymała mnie jakaś kobieta wołając:

– Chłopcze, co się stało? Stój! Ty przecież jesteś ranny!

Wtedy oprzytomniałem, spojrzałem na siebie i zobaczyłem, że lewą rękę i nogę mam całą we krwi, czego przedtem zupełnie nie zauważyłem. Teraz dopiero poczułem ból. Kobieta chciała zaprowadzić mnie na pogotowie, ale podziękowałem, bo byłem już dwa kroki od domu. Moje rany, a właściwie ranki, były spowodowane drobnymi odłamkami, głównie z rozbitych wybuchem cegieł, którymi została gęsto naszpikowana lewa ręka i

noga. Mama powyjmowała te odłamki pęsetą, krwawiące miejsca zdezynfekowała i zabandażowała.

Ta przygoda nie wyhamowała moich pirotechnicznych wyczynów, które nasilały się zwłaszcza w czasie wielkanocnych rezurekcyj. Dawniejszą technikę strzelania z klucza o wydrążonym otworze napełnianym siarką zdrapaną z zapalek i gwoździa detonującego tę siarkę, uważaliśmy za właściwą dla przedszkolaków. Sami używaliśmy petard własnej produkcji wykorzystujących proch z karabinowych naboii. Wśród moich skarbów miałem też sygnalizacyjną rakiętę. Chcieliśmy ją odpalić, ale nie mieliśmy raketnicy. Wydłubaliśmy więc otwór w dolnej części metalowej łuski rakiety i wetknęliśmy weń prowizoryczny lont z zapalek. Rakiętę ustawiliśmy pionowo na murku poczty na ulicy Nowogrodzkiej, Jurek zapalił lont. Rakieta odpaliła prawidłowo, ale przewróciła się przy tym i zamiast poszybować w górę, wystrzeliła poziomo, między przechodzących ulicą ludzi. Paliła się, syczała, a odbijając się od ścian domów, co chwila zmieniała kierunek ruchu, ludzie uciekając przed nią skakali do góry i w panice chowali się w bramach domów. Mimo to usiłowaliśmy ratować sytuację, dogonić rakiętę i zdeptując zgasić ją, ale po chwili rakieta podzieliła się na sześć niezależnych członów. Jeden z nich wpadł w szynę kolejki EKD, która wówczas jeździła ulicą Nowogrodzką, i popędził w dal. Wtedy zrezygnowaliśmy z gaszenia i też popędziliśmy stamtąd co sił w nogach.

Stopniowo jednak dostęp do powojennych militariów był coraz rzadszy i trudniejszy. Jeszcze kiedyś znaleźliśmy z Jurkiem Radomskim w stertach cegieł na skwerze przy ul. Jasnej skrzynkę z taśmami amunicji do CKM. Dużo pomysłowości i energii kosztowało nas przejęcie jej zawartości, bo naprzeciwko znaleziska był lokal jakiejś ambasady, pilnowany przez milicjanta. Udało się. Schowaliśmy ten skarb pod schodami w piwnicy, ale znalazł ją dozorca. Amunicję skonfiskował i gdzieś wyrzucił, nas usiłował potraktować pasem, ale zdołaliśmy uciec. No i poinformował o tym, ale nie milicję, lecz ojca Jurka.

Podobny los spotkał znaleziony w gruzach rewolwer. Był wypalony, ale działał sprawnie. Brakowało mu tylko zniszczonych okładzin kolby. Właśnie zabrałem się do dopasowywania do niego nowych, wyciętych z dykty, gdy niespodziewanie wróciła do domu mama. Zarekwirowała rewolwer i wyrzuciła mimo próśb, a nawet awantur z mojej strony.

Niedaleka przyszłość pokazała, jak słuszną była ta decyzja. Któregoś dnia zadzwonił do naszych drzwi młody, dwudziestokilkuletni człowiek o nieco zaniedbanym wyglądzie i zapytał o Magdalenę Drzewiecką, siostrę mojej chrzestnej matki, która przed i w czasie wojny była właścicielką tego mieszkania. Informacja, że ona już tu nie mieszka, bardzo go zasmuciła. Powiedział, że jest „z lasu” i szuka tu kontaktu, bo ten lokal był podczas okupacji ważnym ośrodkiem konspiracyjnym, co było prawdą. Pokazał przy tym skrywany pod płaszczem pistolet maszynowy. Mama powiedziała mu, że wojna się skończyła i trzeba zabrać się za naukę lub pracę. Nakarmiła go, poradziła, żeby broń wyrzucił w gruzy, wyjechał na ziemie odzyskane, gdzie stosunkowo łatwo o mieszkanie i pracę. Powiedział, że radę rozważy, ale był wyraźnie zawiedziony. Jakie było zdziwienie mamy, gdy kilka dni później zobaczyła go przypadkiem w kinie, elegancko ubranego, rozbawionego, w towarzystwie dwóch ładnych, młodych kobiet. Czy był to autentyczny uciekinier z lasu, któremu udało się szybko „stanać na nogi”, czy prowokator, trudno zgadnąć. Raczej słusze było te drugie przypuszczenie, ale nigdy później taka sytuacja się nie powtórzyła, nigdy też służba bezpieczeństwa nie przeprowadziła u nas żadnej rewizji. Na wszelki wypadek jednak wyrzuciłem dziecięcą drukarenkę, na której w wyżej wymienionym gronie moich najbliższych przyjaciół drukowaliśmy antyradzieckie ulotki wrzucane do skrzynek pocztowych oraz naklejane na „państwowotwórcze” afisze.

Z innych „politycznych” działań pamiętam nasz udział w propagandowej akcji przed ogólnopolskim referendum w 1946r. Zawierało ono 3 pytania:

1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu?
2. Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem uprawnień inicjatywy prywatnej?
3. Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Państwowa propaganda szeroko agitowała za odpowiedzią zgodną z hasłem „Trzy razy tak”. Wynik pozytywnej odpowiedzi na trzecie pytanie był raczej oczywisty, choć pomijało ono kwestię granic wschodnich. Zniesieniu Senatu sprzeciwiało się pozycyjne Polskie Stronnictwo Ludowe, które chętnie, podobnie jak większa część narodu, odpowiedziałoby negatywnie i na drugie pytanie, ale oficjalnie nie mogło zająć takiego stanowiska. Propagowało więc odpowiedź „raz nie, dwa razy tak”. I do rozklejania niewielkiego rozmiaru plakatów z takim właśnie hasłem zgłosiłem się wraz z kolegami do siedziby PSL w Alejach Jerozolimskich. Należałem wówczas do „Zuchów”, czyli wstępnej organizacji zrzeszającej przyszłych członków Związku Harcerstwa Polskiego, którzy nie osiągnęli jeszcze odpowiedniego wieku, by być harcerzami. Oznaką „Zucha” był „wilczek” – metalowy znaczek w kształcie wilczego pyska. Wręczający nam plakaty do rozklejania działacz PSL zauważył wpiętego w klapę kieszeni mojej kurtki „wilczka”. Kazał mi go odpiąć i schować.

– Harcerzom nie wolno się mieszać do polityki – wyjaśnił.

Oczywiście posłuchałem go. Zabraliśmy afisze i ruszyliśmy w kilkanaście osób na miasto, ale szybko wróciliśmy z powrotem i to nie wszyscy.

Poczęliśmy naklejać nasze skromne plakaty obok ogromnych rozmiarów, różnorodnych afiszy wzywających do głosowania „Trzy razy tak” i utożsamiających inaczej głosujących z wizerunkiem osła ryczącego: „Niiieeeee!””. Ale zaraz nasze plakaty poczęto zdierać, jednego z naklejających pobito, a drugiego aresztowano. Więc na tym zakończyliśmy akcję, mel-

dując w PSL o sytuacji. Tam kazano nam zaniechać tych działań i oddać resztę plakatów. Losów aresztowanego chłopaka nie znam. Jeszcze tego samego dnia bojówki PPR wybiły wszystkie szyby w gmachu PSL. Wtedy peeselowcy wywiesili na frontonie swego budynku transparent o treści: „PPR ODBUDOWUJE STOLICĘ”. Wynik referendum brzmiał: „3 x Tak”. Oczywiście zostało ono sfałszowane, jak wiele następnych wyborów. Już po transformacji ustrojowej opowiadał mi jeden ze znajomych, który z racji swych partyjnych funkcji przewodniczył, lokalnym komisjom wyborczym, że pusty śmiech go ogarniał, jak niektórzy odważniejsi wyborcy ukradkiem skreślali nazwiska z kartki wyborczej lub wręcz unikali jej wrzucania do urny.

– Protokół z wyników wyborów – mówił – musieliśmy czasem kilka razy poprawiać, zgodnie z telefonicznymi instrukcjami każącymi korygować o ułamek procenta wyniki poszczególnych kandydatów, dla zachowania jedynie słusznej kolejności w liczbie oddanych na nich głosów.

Innym politycznym akcentem tego okresu, który zapamiętałem, były pieczołowicie prowadzone prace nad odnowieniem dużej płaskorzeźby orła, która do dziś zdobi frontową ścianę gmachu poczty na ulicy Nowogrodzkiej. Dziwiło mnie trochę, że w zniszczonym w 90% mieście, w którym było co remontować, zabrano się za renowację ocalałego orła. Cel tej pracy stał się oczywisty, gdy po jej ukończeniu rozebrano osłaniające go rusztowanie. Orzeł był jak nowy, tylko znikła gdzieś jego korona. Obecnie znów ją odzyskał.

Moja przynależność do zuchów nie zdążyła się przerodzić w następujące naturalnym biegiem rzeczy członkostwo Związku Harcerstwa Polskiego. Wprawdzie zgłosiłem akces do ZHP i poszedłem na pierwszą zbiórkę, ale prowadził ją już ktoś nowy. „Pasjonującym” tematem przewodnim zbiórki przypominającej pierwszomajową akademię był Międzynarodowy Dzień Dziecka. Na następną zbiórkę już nie poszedłem. I w ten sposób straciłem możliwość uczestnictwa w tej szkole życia, jaką dawało

prawdziwe harcerstwo. A gdy odrodziło się po 1956 roku, zdążyłem już wyrosnąć z krótkich spodenek.

YMCA

Istotny wpływ na moją osobowość miała natomiast przynależność do organizacji YMCA, czyli Young Men Christian Association. W swobodnym polskim tłumaczeniu jest to Stowarzyszenie Młodych Chrześcijańskich Mężczyzn. Powstałe w Anglii w 1844 r. działało na całym świecie, również w przedwojennej Polsce. Reaktywowane po wojnie przetrwało u nas tylko do 1949 r. Powtórnie reaktywowana w 1990 r. Polska YMCA jest w Polsce prawie nieznaną. Pisząc o YMCA chciałbym na wstępie zaznaczyć, że w trakcie mej przynależności do niej nigdy nie spotkałem się z jakimikolwiek elementami indoktrynacji mającymi związek z wiarą. Na ścianach pomieszczeń YMCA wisały wprawdzie krzyże, a na letnich obozach odmawiano modlitwę na porannym i wieczornym apelu oraz organizowano wyjście do kościoła dla chętnych na niedzielną mszę. Ale krzyże wisały też w szkolnych klasach i przed oraz po lekcjach też odmawiano tam modlitwę. Mimo zawartej w nazwie YMCA deklaracji chrześcijańskiego światopoglądu członków tej organizacji, przy przyjmowaniu do niej nie pytano mnie o wyznanie, ani w ogóle o to, czy jestem wierzącym. YMCA dysponowała dużym, odbudowanym po wojnie gmachem przy ul. Konopnickiej 6, z jedynym wówczas w Warszawie basenem pływackim, dwiema salami gimnastycznymi, nowoczesną wyposażoną przychodnią sportowo-lekarską, restauracją, salą widowiskową, służącą później i obecnie jako teatr. Nad Wisłą miała nowo wybudowaną, nowoczesną przystań na Wale Miedzeszyńskim, przy obecnej Trasie Łazienkowskiej. Tzw. „Dział Chłopców”, do którego należałem, dysponował w gmachu przy ul. Konopnickiej ogromną świetlicą, przy której działało kilkanaście kół zainteresowań. Było tam Koło Żeglarskie, Klub Grafików, Koło Fizyków, Pracownia Modeli Lotniczych i wiele innych. Przynajmniej do jednego z tych kół czy klubów trzeba było

należać. Obowiązkowy był również udział w zajęciach gimnastycznych odbywających się 2 razy w tygodniu i trwających 1,5 godziny, po których były półgodzinne zajęcia na basenie pływackim. Zarówno gimnastyka, jak i zajęcia na basenie były prowadzone na bardzo wysokim poziomie przez profesjonalnych instruktorów. W ramach symbolicznej wysokości składki członkowskiej mieliśmy też darmowy dostęp do wypożyczalni książek, wciąż organizowano rozmaite konkursy, gry terenowe itp. Nagrody przyznawane zwycięzcom były tak pomyślane, by stymulować ich dalszy rozwój intelektualny i fizyczny, a więc nie były to puchary, ale książki i sprzęt sportowy, jak narty, sanki, rakiety do tenisa stołowego.

W lecie YMCA organizowała obozy dla chłopców. Były one organizowane w kilkunastu miejscowościach rozrzuconych po całej Polsce, głównie w górach i nad jeziorami. Turnus trwał 4 tygodnie. Udział w obozach był płatny. Kosztował 8 tys. zł, podczas gdy kilogramowy bochenek białego chleba kosztował ok. 50 zł. A więc cena obozu stanowiła równowartość 160 kg chleba. Jednak blisko połowie uczestników przyznawano ulgi zmniejszające opłatę nawet kilkakrotnie. Mnie przyjęto na te obozy zupełnie bezpłatnie. Co ciekawe, decyzja o ulgach zapadała w wyniku rozmowy organizatorów z rodzicami. Nie przypominam sobie, by żądano od kogoś jakichś zaświadczeń o dochodach.

Zajęcia na obozach miały przede wszystkim sportowy charakter, ale duży nacisk kładziono też na rozwój muzycznych, aktorskich i organizacyjnych talentów czy zamiłowań uczestników. Przestrzegano też atrybutów wieloletniej tradycji takich obozów. Każdy uczestnik, który był na obozie po raz pierwszy otrzymywał żółtą chustę, wiązaną dookoła szyi – wiadomo: żółtodziób. Jeśli ktoś był na obozie po raz drugi, nosił chustę pomarańczową itd. Za szóstym razem otrzymywało się chustę czarną. Siedmiokrotny uczestnik obozu miał czarną chustę z wyhaftowanym na niej białym krukiem. Jeśli na obozie spotkało się trzech „białych kruków” tradycja wymagała zorganizowania na ich cześć specjalnego ogniska. Zresztą ogniska były organizowane codziennie. Rozpalano je w wyznaczonym

miejscu, którego centralnym punktem był totem – mniej lub bardziej ozdobny słupek czy pień drzewa. W obozie, który mieścił się w kaszubskiej Wieżycy, totemem był ustawiony korzeniami do góry pień drzewa, pokryty rzeźbami wykonanymi przez autentycznych Indian, którzy przyjechali do Polski z okazji jakiegoś zjazdu członków YMCA. Program artystyczny każdego ogniska był polem do popisu przygotowujących go kolejnych grup uczestników. Składał się z szeregu skeczy, żartów, deklamacji, wspólnego śpiewania, a zaczynał od zapalenia ogniska, które też samo w sobie stanowiło element skeczu czy innej formy artystycznego widowiska, codziennie innego. Ognisko kończyło się zwykle wieczornym apelem, na którym sprawdzano i meldowano obecność wszystkich grup, ogłaszano komunikaty dotyczące minionego i następnego dnia, odmawiano chórem modlitwę „Ojcze nasz” i śpiewano „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Podobnie wyglądał apel poranny, z tym, że śpiewano na nim pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”.

Prowadzone na obozach zajęcia sportowe miały na celu naukę poszczególnych dyscyplin sportowych, doskonalenie i możliwość sprawdzenia zdobytych umiejętności, poprawę kondycji i odczuwanie radości z uprawiania sportu. Dzień zaczynała oczywiście gimnastyka poranna. Uczono nas gry w piłkę, boks, podstawowych dyscyplin lekkoatletycznych, a gdy pozwalały na to możliwości wynikające z usytuowania obozu, również pływania, wiosłowania na kajakach i szalupach, chodzenia po górskich szlakach itp. Na koniec obozu odbywała się trwająca 3 dni olimpiada. Na maszt obok flagi państwowej i YMCA wciągano flagę olimpijską. We wszystkich konkurencjach indywidualnych igrzysk obowiązkowo uczestniczyli wszyscy uczestnicy, tzn. każdy musiał brać udział np. w biegu na 60 m, pchnięciu kulą itd. Wyniki konkurencji były punktowane i najlepsi otrzymywali dyplomy i nagrody za zajęcie miejsc na podium w poszczególnych konkurencjach oraz w punktacji ogólnej. W konkurencjach zbiorowych, jak np. piłka siatkowa, w których liczba zawodników była ograniczona, startowały reprezentacje grup, ale starano się stosować wymianę zawodników, tak by możliwie wszyscy brali czynny udział w

zawodach. To był przykład realizacji pięknej idei masowego dostępu do sportu, jakże różniącej się od dzisiejszego finansowania zawodowych gladiatorów niesłusznie nazywanych sportowcami.

Zdążyłem być na takich dwóch obozach zanim YMCA została rozwiązana. W tych samych latach i następnych zdarzyło mi się trzykrotnie być na koloniach z pracy mamy. Nie mogę nic złego powiedzieć o tych koloniach, kadrze, warunkach bytowych itd., ale porównanie stylu i poziomu tych kolonii do obozów YMCA wypadłoby tak, jak zestawienie naszej poczciwej „Syrenki” z „Rolls-Roysem”.

Czarnymi owcami w świetnej pod każdym względem kadrze tych obozów byli narzuceni przez państwowe władze aparatczycy, po jednym na każdym turnusie. Traktowano ich grzecznie, ale z rzucającym się w oczy dystansem. Prowadzili z nami coś w rodzaju zajęć ideologicznych, ale w bardzo ograniczonym wymiarze. Pamiętam piosenkę, której nas na obozie w Porębie Wielkiej uczył taki politruk. Brzmiała mniej więcej tak:

*Nie Marszał nam Wybrzeże dał,
nie Śląsk Byrnesa był,
ziemię tą polski żołnierz krwią zlał,
na niej praojciec żył.*

Z politrukiem z obozu w Wieżycy wszedłem w ostry konflikt. Przed wyruszeniem na zbieranie stonki ziemniaczanej wyjaśniał nam, że zrzucili ją Amerykanie z samolotów, by niszczyć polskie rolnictwo. Moje pytanie, jak wygląda ta stonka, potraktował jako polityczną prowokację. A ja je zadałem bez żadnych ukrytych intencji. Chciałem po prostu wiedzieć, czego mam w tym kartoflisku szukać. Odpowiedzi nie dostałem. Nie wiem, dlaczego; może sam jej nie znał. Żadnej stonki nikt z nas wtedy nie znalazł, ale politruk do końca obozu uważnie mnie obserwował i próbował przyłapać na jakimś wykroczeniu. Podobną sytuację przeżyłem rok później podczas pobytu w lecie na kolonii. Wtedy też bezskutecznie szukaliśmy stonki od rana do obiadu pod wodzą jakiegoś powiatowego działacza. Gdy po

obiedzie znów chciał nas poprowadzić na jej poszukiwania, wszyscy uczestnicy kolonii zbuntowali się i odmówili ruszenia z miejsca. Straszono nas skargami do i na rodziców, odesłaniem do domu, rozwiązaniem kolonii. Nic nie pomogło i nikomu nic się nie stało. Nawiasem mówiąc prawie wszystkie dzieciaki w moim wieku bezbłędnie rozszyfrowywały zakłamanie ówczesnej propagandy. Na przykład w trakcie pobytu na kolonii w Świnoujściu zadawaliśmy kłopotliwe pytania wychowawcom, dlaczego radzieccy żołnierze pilnujący od niemieckiej strony granicy z okupowanymi Niemcami, co było oczywiste, stacjonują po polskiej stronie i dlaczego w porcie cumują radzieckie, a nie polskie okręty wojenne. A jak wyglądała stonka przekonałem się dopiero kilkanaście lat później, gdy wędrując po Polsce motocyklem z mym nieżyjącym już przyjacielem Tadeuszem Wróblewskim zatrzymaliśmy się na skraju kartofliska, gdzie roiło się do żuków Colorado; można było je zbierać garściami. Idąc za nakazem społecznego obowiązku zawiadomiliśmy o tym miejscowego sołtysa.

– Panowie – powiedział sołtys– wszędzie pełno tej stonki, kto by się tym przejmował?

Przynależność do YMCA pozwoliła mi rozwinąć moje zainteresowanie morzem i żeglarstwem, które już wcześniej we mnie kiełkowało, rozbudzone literaturą. W 1948 roku wstąpiłem do Koła Żeglarskiego i zapisałem się na kurs żeglarski. Po odbyciu zajęć z teorii, które odbywały się w „Dziale Chłopców” na ul. Konopnickiej 6, wiosną 1949 r. zaczął się kurs praktyczny na Wiśle. Byłem najmłodszym jego uczestnikiem i najlepiej ze wszystkich zdałem egzaminy na stopień młodszego żeglarza. Później stopniowo piałem się po drabinie żeglarskich stopni i uprawnień aż do kapitańskich patentów i uprawnień do prowadzenia dużych żaglowców. Żeglarstwo stało się w przyszłości moim głównym hobby, pasją, tematem wielu poświęconym mu książek i podręczników mego autorstwa, drugim zawodem. Ale nie będę opisywał moich żeglarskich przygód i ograniczę się tylko do zaakcentowania wpływu historii na moje żeglarskie losy.

W 1949 r. byłem na ostatnim zebraniu członków Koła Żeglarskiego YMCA, na naszej przystani przy Wale Miedzeszyńskim. Oświadczone nam, że Polska YMCA była zapleczem amerykańskiego imperializmu w Polsce i dlatego została rozwiązana. Ośrodek YMCA został przekształcony w Międzyszkolny Dom Kultury (MDK). Nie akceptowałem tej zmiany, ani nowego kierownictwa Koła i przystani, więc wstąpiłem do Yacht Klubu Polski, gdzie w następnym roku uzyskałem kolejny stopień żeglarski – żeglarza jachtowego. W tym samym roku rozwiązano YKP przekształcając go w Sekcję Żeglarską Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego. Wynikające stąd zmiany też mi się nie podobały, zatem przenieśliśmy się do Międzyszkolnego Ośrodka Żeglarskiego, który sąsiadował od strony mostu Poniatowskiego z dawną przystanią YMCA. Była tam sympatyczna atmosfera i dobry poziom szkolenia, co pozwoliło mi na uzyskanie następnego stopnia, jakim był wówczas młodszy sternik. Niestety, po roku ośrodek zlikwidowano łącząc go z sąsiednim MDK, z przynależności do którego dwa lata temu zrezygnowałem. Znowu trzeba było się wynosić. Tym razem trafiłem do Ligi Morskiej. Byłem już wtedy uczniem liceum, założyłem tam koło LM, zorganizowałem kurs żeglarski, którego jednym z wykładowców był, jeszcze wtedy nieznany szerokiemu ogółowi, Leonid Teliga. I znowu historia się powtórzyła. Liga Morska o przedwojennej tradycji, z imperialistyczną przeszłością w postaci przyjętej w pewnym okresie nazwy „Liga Morska i Kolonialna”, była nie do zaakceptowania przez władze PRL. Zdecydowano więc połączyć Ligę Morską z Ligą Lotniczą i jeszcze jakimś socjalistycznym, paramilitarnym tworem i utworzyć wspólną, też socjalistyczną i paramilitarną Ligę Przyjaciół Żołnierza. Staraliśmy się nawet z tym pogodzić. Spędziliśmy z Jurkiem Radomskim na przystani Ligi Morskiej na Cyplu Czerniakowskim prawie całe lato, żeglując po Wiśle, pracując przy sprzęcie i prawie codziennie przepływając wpływ na drugi brzeg Wisły i powrotem. Ta ostatnia czynność wymagała unikania rzecznych patroli MO pływających na puchówkach z przyczepnymi silnikami GAD produkcji słynnego ich

konstruktora, inżyniera Gajęckiego. Ale w tym czasie kierownikiem dotychczasowej przystani został mocno trunkowy towarzysz partyjny, dawny przystaniowy z MDK. Pamiętał mnie z czasów YMCA. Być może dlatego nie zostałem zakwalifikowany na obóz żeglarski na Mazurach. Ta kropla przelała czarę. Na domiar złego władze państwowe zlikwidowały możliwości morskich rejsów. Wziąłem wówczas rozbrat z żeglarstwem na prawie 10 lat.

3. SZKOŁA ŚREDNIA

W końcu lat czterdziestych szkoła Górskiego otrzymała gruzu po budynku dawnej szkoły im. Zamojskiego przy ul. Smolnej 30 w Warszawie, przeprowadziła remont dużym nakładem wysiłku oraz kosztów i przeniosła się do tej nowej siedziby. Tam ukończyłem szóstą oraz ostatnią, siódmą klasę szkoły podstawowej. W siódmej klasie zlikwidowano koedukację tworząc dwie klasy: męską i żeńską. Po ukończeniu podstawówki przeszedłem do klasy ósmej, czyli do liceum. To przejście nie wszystkim moim kolegom się udało, bo w tym właśnie czasie szkołę upaństwowiono. Byliśmy teraz Liceum Ogólnokształcącym Smolna 30. Przy tej okazji częściowo pod pretekstem rejonizacji, częściowo kierując się wynikami w nauce, a częściowo bez żadnego pretekstu, około połowy absolwentów podstawówki nie przyjęto do liceum, kierując ich do innych szkół. W ten sposób pozbyto się przede wszystkim dzieci, których rodzice reprezentowali tzw. prywatną inicjatywę. Z naszej paczki „czterech muszkietarów zostałem tylko ja. Na miejsce nieprzyjętych dokooptowano taką samą liczbę, wcale nie najlepszych w nauce uczniów z innych szkół, ale socjalny przekrój klasy był bardziej socjalistyczny. Wielu z nas w dalszym ciągu nosiło jednak czapki szkoły Górskiego. Kiedyś, gdy już byłem w przedostatniej klasie jeden z aktywistów Związku Młodzieży Polskiej z maturalnej klasy, zauważywszy w szatni, że nakładam tę czapkę, zapytał:

– Taka droga ci była ta szkoła, że jeszczenosisz czapkę Górskiego?

Gdy potwierdziłem, że była mi droga i dobrze ją wspominam, zaraz dodał:

– Rzeczywiście była droga, trzeba było dużo za nią płacić.

Dążność do likwidacji szkoły o wieloletnich tradycjach przejawiała się nawet w tym, że gdy już w latach sześćdziesiątych poczęto przypisywać szkołom patronów w miejsce numerów, szkole przy ul. Smolnej 30 nie przywrócono miana szkoły Górskiego, lecz zyskała imię Zamojskiego. I tak Tomek Radomski, młodszy brat mego przyjaciela Jurka, kończący tę szkołę i uczony przez niektórych tych samych nauczycieli, którzy mnie w niej uczyli, uważa się za Zamojszczaka, a nie Górala.

Jeszcze większa czystka nastąpiła wśród kadry nauczycielskiej. Prawie wszyscy dawni nauczyciele prywatnej szkoły Górskiego, w tym moja dotychczasowa wychowawczyni – pani Bolesława Makowska, świetny matematyk – Franciszek Wodnicki, nauczycielka biologii – pani Zofia Dilmówna i inni, odeszli od razu, choć chyba nie z własnej woli. Innych pozbywano się różnymi metodami w ciągu następnego roku. Na przykład świetnemu nauczycielowi fizyki, starszemu już wiekiem, który z poświęceniem udzielał darmo w swoim mieszkaniu dodatkowych lekcji słabszym uczniom, postawiono zarzut molestowania uczennicy i zmuszono go do odejścia. Jeszcze przez jeden czy dwa kwartały dyrektorem był Stanisław Bogdanowicz – dotychczasowy dyrektor szkoły Górskiego, ale w trakcie roku szkolnego zastąpiono go nowym dyrektorem. Był to starszy, dość sympatyczny pan, który wkrótce podzielił los poprzednika, a jego miejsce zajęła pani R. – pełniąca w szkole funkcję sekretarza partii. O dziwo przetrwał woźny Franciszek, który w dawnych czasach był stangretem konnej kolaski Wojciecha Górskiego. Nie zwolniono też sekretarki szkoły, pani Marii Łabanowskiej, osoby bardzo wszystkim życzliwej. Wśród nowych nauczycieli znalazło się kilka osób z przedwojennym stażem nauczycielskim, np. wykładająca biologię dr Frankowska – była dyrektorka znanej żeńskiej szkoły im. Królowej Jadwigi. Było też kilka innych bardzo dobrych starszych i w średnim wieku nauczycielek. Wiele z nich bardzo dobrze wspominam, jak np. nieco oschłą i niezwykle wymagającą, ale świetnie nauczającą matematyczkę – panią Sobocką.

Z początkiem roku szkolnego 1952/53 nastąpiły kolejne rewolucyjne zmiany w składzie kadry pedagogicznej, z premedytacją zaplanowane przez władze państwowe. Otóż wymyślono, że część studentów studiów uniwersyteckich legitymująca się słabszymi wynikami w nauce zostanie skierowana na dwuletni staż pracy jako nauczyciele do szkół, a po stażu będzie mogła kontynuować studia. Jak pomyślano, tak zrobiono. Ułatwiło to pozbycie się przynajmniej części starszych, doświadczonych nauczycieli. Moim zdaniem był to pierwszy krok do doprowadzenia naszego szkolnictwa i Państwa do stanu, w jakim się obecnie znajduje. Proces deprecjacji stanu nauczycielskiego postępował coraz szybciej. Negatywny dobór naturalny do zawodu nauczyciela rzucał się w oczy. Gdy ktoś nie dostał się na studia, a fizyczna praca go nie nęciła, szedł na dwuletnie studium nauczycielskie i zostawał szkolnym profesorem. W późniejszych latach, gdy Politechnika Warszawska uruchomiła magisterskie studia zaoczne dla nauczycieli przedmiotów technicznych, przyjmowani tam bez egzaminu kandydaci byli oburzeni, gdy dowiedzieli się, że w trakcie studiów muszą zdawać jakieś egzaminy. Wyobrażali sobie, że będą przechodzili z niższego roku na następny tylko na zasadzie uczęszczania na zajęcia, tak jak uczniowie w ich szkołach. Miałem nieszczęście tam wykładać. Gdy po którymś z rzędu terminie poprawkowego egzaminu powiedziałem dwóm studentkom, że z tak nikłą wiedzą nie mają szansy zdać, odpowiedziały:

– Bez łaski. Przeniesiemy się do Wyższej Szkoły Pedagogicznej i będziemy magistrami.

Miały rację. W ten sposób produkowano zastępy pedagogów, którzy niewiele umieli i kształcili młodzież na swój obraz i podobieństwo. Mało się nie załamałem, gdy nauczycielka polskiego ucząca jednego z mych synów w podstawówce, na jego protest przeciw kiepskiej ocenie dobrego wypracowania odpowiedziała listem do mnie, w którym były dwa błędy ortograficzne i kilka stylistycznych. Niedokształcona młodzież trafia na uczelnie, a te, żeby same mogły przetrwać, zamiast skreślać z listy nie nadających się na studia studentów, dyplo-

mują ich. Zaopatrzone w dyplomy niedouki zajmują odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej, samorządowej, w partiach, szkolnictwie, a nawet w instytucjach naukowych. Tam otaczają się dla własnego bezpieczeństwa jeszcze niżej od siebie wykwalifikowanymi miernotami i nawet, jeśli mają najlepsze chęci, to partolą robotę. I tak wszystko sunie w dół po równi pochyłej. W ten sposób, podjęta przed ponad pół wiekiem, bezmyślna, polityczna decyzja „przekształcenia” szkolnictwa owocuje dziś rozkładem Państwa.

Moja szkoła w wyniku tej decyzji otrzymała nowy zespół, młodej kadry pedagogicznej. W jej skład wchodziło trzech nauczycieli i kilkanaście nauczycielek. Te młode nauczycielki na ogół pochodziły z inteligenckich rodzin i chociaż nie były może najlepszymi studentkami, bo te pozostawiono na uczelni, miały przyzwoity zasób wiedzy, wiele talentu, ambicji, zapału i poczucia obowiązku. Większość z nich po odbyciu tego przymusowego, dwuletniego stażu pracy nie podjęła przerwanych, dziennych studiów, ale skończyła uniwersytety w trybie zaocznym, nie przerywając nauczycielskiej pracy. W tych pierwszych latach tego nauczycielskiego stażu młodych nauczycielek poważnym problemem było to, że wojna spowodowała spore zróżnicowanie wieku uczniów. Na przykład w mojej klasie między najstarszym, a najmłodszym uczniem była różnica aż 6 lat. Biorąc pod uwagę, że byliśmy 2 lata przed maturą, a nasze nauczycielki 2 lata po maturze, więc nominalnie były od nas o 4 lata starsze. Ale tylko nominalnie, bo w praktyce niektórzy z nas byli w tym samym wieku, co one, a jeden czy dwóch było starszych od naszych pań. W klasach maturalnych problem ten rysował się jeszcze przynajmniej o jeden rok ostrzej. Nie ułatwiało to im pracy, ale trzeba przyznać, że spośród czterech młodych nauczycielek uczących w naszej klasie, trzy potrafiły utrzymać dystans i zdobyć autorytet. Współpraca z nimi układała się bardzo dobrze, z wzajemnym zrozumieniem i sympatią, a nawet czasem ocierała się o granicę niewinnego flirtu, ale nigdy tej granicy nie przekraczała. Nieco przekroczył ją natomiast młody nauczyciel przysposobienia wojskowego. Jego flirt z

uczennicą maturalnej klasy zakończył się tym, że uczennica wyszła za niego, ale na zasadzie „wyszłam za męża, zaraz wracam”, bo małżeństwo to szybko się rozpadło. Wcześniej nauczyciel odszedł ze szkoły i po trzymiesięcznym kursie został prokuratorem. Bywał później na uczniowskich prywatkach i chwalił się, jak to jednych zamyka, a innych wypuszcza.

Czwarta z nowych nauczycielek naszej klasy uczyła astronomii. Była bardzo ładna, choć noszone przez nią okulary przysłaniały jej urodę. Do tego miała zabójczo zgrabną figurę z kuszącymi okrągłościami, które przyciągały nasze spojrzenia jak magnes gwoździe. Tak ją to peszyło, że praktycznie nie była w stanie prowadzić zajęć. Bywało, że głupia mina czy dwuznaczna uwaga ucznia wywoływała rumieniec na jej twarzy i ucieczkę z klasy w połowie lekcji. Wstyd przyznać, ale sam kiedyś to spowodowałem, zwracając jej uwagę, że pobrudziła sobie kredą tył spódniczki, którą natychmiast z tej kredy uprzejmie otrzepałem. Kilkadziesiąt lat później spotkałem ją dwukrotnie na dziedzińcu Politechniki stwierdzając ze zdumieniem, że jej uroda, ani figura nic nie straciła na atrakcyjności. W pierwszej chwili chciałem podejść, przypomnieć się, ale zrezygnowałem; pewnie by mnie nie poznała.

O pozostałych, nowych nauczycielkach nic nie mogę powiedzieć, bo mnie nie uczyły, ale jedną z nich, nauczycielkę rosyjskiego, tak scharakteryzował nasz rusycysta pan Gebel, w rozmowie ze mną już po zdaniu matury:

– To bardzo miła dziewczyna, świetnie zna rosyjską literaturę i gramatykę, tylko ...nie umie mówić po rosyjsku.

Te męskie „rodzynki” w grupie nowych nauczycieli nie były udane. O tym od przysposobienia wojskowego wspominałem wyżej. Drugi wywodził się z grupy działaczy młodzieżowych i od razu został wicedyrektorem szkoły. O jego kwalifikacjach nic nie mogę powiedzieć, bo nas nie uczył, ale swymi wypowiedziami na apelach szkolnych i przy innych okazjach uznania uczniów nie zdobył. Kolejny nauczyciel był,

pożal się Boże, fizykiem. Ilekroć zabierał się do rozwiązania zadania na tablicy, to nie umiał go skończyć. Kiedyś tak mnie to zdenerwowało, że podszedłem, wyjąłem mu kredę z ręki, powiedziałem żeby usiadł, jak nie umie i rozwiązałem zadanie. Usiadł, ale poskarżył się na mnie w pokoju nauczycielskim. Reszta nauczycieli mu nie uwierzyła.

– Czajewski, taki dobry i kulturalny uczeń? To niemożliwe – powiedziała wykładająca biologię pani dr Frankowska, a powtórzył mi to z przekazem wychowawca, który słusznie nie wierzył w tę moją kulturę. Podejrzewam, że wypowiedź pani Frankowskiej była rekompensatą za poprawkę z biologii na koniec dziewiątej klasy; poprawkę niesłuszną, bo z ocen kwartalnych (4,2,4,2) wypadła mi średnio trójka, a te dwójce dostałem, gdyż w trakcie dwóch kwartałów chorowałem i nie zdążyła mnie spytać. Ów niewydarzony fizyk wkrótce odszedł ze szkoły. Następnego nauczyciela długo szukano i lekcji fizyki nie było. Wreszcie znaleziono mocno starszego pana, podobno nawet przedwojennego hrabiego, który zanim odszedł uczył nas przez cały kwartał działania karburatora, czyli gaźnika i niczego więcej. Po nim znów była długa przerwa w lekcjach fizyki zanim dopiero na początku maturalnej klasy zatrudniono nauczyciela studiującego zaocznie Politechnikę. Świetnie wyładał, potrafił nauczyć, zainteresować, ale był bardzo ostry i wymagający. Kiedyś uczeń odpytywany z optyki bardzo sprawnie wyprowadzał na tablicy wzór na podstawie geometrycznego rysunku. Przetawiał przy tym pomyłkowo literowe oznaczenia jakiegoś odcinka na rysunku w stosunku do tych, które były w książce, podczas gdy w wypisywanych przez niego wzorach na tablicy wszystko zgadzało się z książkowym zapisem. Nauczyciel stał wyprowadzenie oraz oznaczenia A, B, C itd. na rysunku, zastąpił je innymi literami i kazał powtórnie wyprowadzić wzór. Uczeń nie był w stanie napisać nawet pierwszej linijki wyprowadzenia. Wtedy jasnym się stało, że znany nam od lat, uważany za bardzo dobrego ucznia kolega nic nie rozumie z tego, co mówi i wszystkiego uczy się bezmyślnie na pamięć. Naszemu fizykowi wystarczyła jedna pomyłka ucznia, by to odkryć. Przyszłość potwierdziła, że miał rację, bo ów kolega,

choć dostał się na medycynę dzięki temu, że dobra pamięć odgrywała decydującą rolę przy egzaminach na ten kierunek, wyleciał z niej w trakcie pierwszego roku. Tak, więc bieżący materiał z fizyki mieliśmy świetnie opanowany, ale prawie trzyletnie zaległości trudno było uzupełnić. Tę lukę w naszej wiedzy próbowała załatać dyrekcja szkoły i komitet rodzicielski fundując nam dodatkowe lekcje prowadzone przez asystenta Politechniki Warszawskiej. Jednak działania te nastąpiły zbyt późno i może były wystarczające do zdania matury, ale nie do dostania się na studia techniczne, gdzie obowiązywał egzamin z fizyki. Dużo wcześniej zdałem sobie sprawę z tego, że w tej sytuacji nie mam szans zdania na Politechnikę i po skończeniu szkoły zostanę bez konkretnego zawodu. Musiałem myśleć o przyszłości, więc usiłowałem przenieść się z liceum do technikum, jednak uzupełnienie różnic programowych, było w praktyce niemożliwe, a nie chciałem tracić roku lub dwóch nauki zaczynając technikum od pierwszej klasy. Kupiłem więc dobry, trzylitrowy, tłumaczony z rosyjskiego podręcznik fizyki Sokołowa, mama zafundowała mi korepetycje i szybko wyrównałem braki z tego przedmiotu. Na maturze dostałem piątkę i byłem bardzo dobrze przygotowany do egzaminu wstępnego.

Dość charakterystycznym dla tego okresu reformowania szkoły była kwestia traktowania przez jej dyrekcję religii. Otóż w ósmej i dziewiątej klasie, czyli pierwszej i drugiej licealnej, mieliśmy świetnego katechetę. Był nim zakonnik – franciszkanin. Interesująco prowadził lekcje, a po lekcjach podkasywał habit i grał z nami w piłkę nożną, siatkówkę, był niepokonany w ping-pongu. W przypadku zaistnienia jakichś trudnych do rozstrzygnięcia nieporozumień wyciągał bokserskie rękawice, organizował mecz bokserski między stronami i doprowadzał do zgody. Bywało, że sam też stawał w bokserskie szranki z uczniami. Wszyscy go bardzo lubili i wszyscy bez wyjątku chodzili na religię. To się nie mogło podobać dyrekcji, więc pozbyła się zakonnika. Zastąpił go sympatyczny i też dobrze prowadzący lekcje ksiądz. W piłkę wprawdzie nie grał i nie boksował, ale na religii był w dalszym ciągu komplet uczniów.

Zatem po roku, gdy byłem już w maturalnej klasie, zastąpiono tego księdza innym. Ten był beznadziejnym nauczycielem. Wystarczyło kilka lekcji, by prawie wszyscy zamiast na religię, chodzili na boisko grać w piłkę. Na lekcje religii uczęszczało do końca zaledwie kilku uczniów i tylko oni otrzymali na maturalnym świadectwie ocenę z religii. Sądzę, że ten ksiądz długo utrzymał się w szkole. Warto przy tym zaznaczyć, że codziennie na początku pierwszej lekcji i na końcu ostatniej odmawialiśmy w klasie chórem krótką modlitwę. Program roku szkolnego przewidywał też jedno- czy dwudniową przerwę w lekcjach, poświęconą na wielkanocne rekolekcje. Dyrekcja organizowała w tym czasie atrakcyjne wycieczki.

Wśród pozytywów szkoły, jak i wszystkich ówczesnych szkół w odróżnieniu od obecnych, należy wymienić dobrze zorganizowaną opiekę lekarską. W szkole był gabinet lekarski i dentystyczny. Zatrudniano lekarza, dentystkę i pielęgniarkę zwaną higienistką. Pediatra – dr Ogrodowczyk, który uniknął redukcji przy przekształceniach własnościowych szkoły – systematycznie badał każdego dnia kilku uczniów. Dentystka również wzywała regularnie uczniów na przegląd uzębienia i od ręki likwidowała próchnicę wstawiając plomby. Higienistka wizytowała klasy sprawdzając czystość rąk, uszu, włosów. Wszyscy oni byli nam przyjaźni i życzliwi. Jeśli komuś groziło odpytywanie na lekcji, a nie był przygotowany, uśmiechał się do higienistki, a ona przychodziła mu na ratunek wzywając go na początku lekcji na badanie do lekarza.

Jak już wspominałem dyrektorką szkoły została pani R. Była to dość miła osoba, chyba pedagog z zamiłowania, ideowa komunistka wcielająca w życie program partii. Uczyła historii i czegoś, co nazywało się „nauką o konstytucji”, a było lekcją socjalistycznej indoktrynacji. Do mnie odnosiła się z dużą życzliwością, bo przypadkowo „błysnąłem” na jej lekcji drobiazgową wiedzą na temat przerabianej właśnie lekcji na temat Rewolucji Francuskiej. Pochłaniałem właśnie cykl powieści Dumasa: „Józef Balsamo”. „Naszyjnik królowej”, „Anioł Pi-

tou” itd., opisujący wydarzenia tego okresu, więc wyrwany do odpowiedzi sypałem jak z rękawa nazwiskami rewolucjonistów, królewskich oficerów i szczegółami wydarzeń. A że do tego dobrze się uczyłem i nie byłem bogaty, moja pozycja u pani dyrektor była na tyle silna, iż tolerowała moją demonstrację samodzielności i niezależności przejawiającą się w ten sposób, że nie zgadzałem się, by moja mama musiała przychodzić na wywiadówki i potwierdzać podpisem znajomość kwartalnych wykazów ocen. Zostałem kiedyś nawet zaproszony przez panią dyrektor na spotkanie grona pedagogicznego z mocno partyjnym dyrektorem chyba wydawnictwa „Czytelnik”, który przekonywał, że przyczyną przejściowych kłopotów z zaopatrzeniem w żywność jest konieczność rozwoju przemysłu. Ale spotkanie nie przebiegło gładko, bo parę osób, i ja też, zadało kilka trudnych pytań.

Innym razem takie trudne pytanie zadał pani R. na lekcji nasz kolega Michał Fotyma. Zapytał mianowicie, dlaczego audycje Wolnej Europy i Głosu Ameryki są zagłuszane, skoro pani profesor twierdzi, że w Polsce Ludowej jest wolność słowa. Pani R. bardzo się speszyła. Przyznała, że nie wie, ale zapyta mądrzejszych od siebie i nam odpowie. Odpowiedzi nie doczekaliśmy się, a Michał Fotyma na wszelki wypadek się o nią nie dopominał. Michał w ogóle był jedynym uczniem w klasie, który długo nie chciał wstąpić do Związku Młodzieży Polskiej. Złamał się dopiero w połowie ostatniej klasy, gdy mu wytłumaczyliśmy, że w przeciwnym razie nie będzie miał szans na dostanie się na studia. Dostał się, razem ukończyliśmy Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. A to ZMP w naszej klasie było nietypowe. Na zebraniach opowiadaliśmy sobie polityczne kawały. Oczywiście tylko wtedy, gdy nie było nikogo z zewnątrz i dwóch czy trzech takich od nas, do których nie mieliśmy zaufania.

Ale władza ludowa potrafiła pokazać, że nie żartuje. W trakcie wakacji po drugim roku nauki w liceum część uczniów naszej klasy pojechała na kolonie. Zorganizowano je w nie-

czynnej latem wiejskiej szkole. Na ścianach klas zamienionych na sypialnie, wisiał orzeł i portrety państwowych dostojników. Rzucona w sypialni piłka trafiła niechcący w jeden z portretów. Szło portretu, który spadł na podłogę, pękło, a z pod wizerunku Bieruta wypadła fotografia Gomółki. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby rzucić piłką w Rokossowskiego i zobaczyć, czy pod nim był Żymierski. Był, bo dyrekcja szkoły po prostu nakładała na portret aktualnego dostojnika, na tego, który „poszedł w odstawkę”. Cała sprawa się wydała, przeprowadzono śledztwo i uczniów oskarżono o profanację portretów wodzów narodu. Trzech przeniesiono do innej szkoły, dwóch wyrzucono z tzw. wilczym biletem, który nie pozwalał na przyjęcie ich w ciągu całego roku do żadnej szkoły, a kilku członków ZMP dostało nagany za to, że nie donieśli.

Inne zdarzenie o podobnym charakterze zakończyło się szczęśliwie dzięki przytomności umysłu Tadeusza Wróblewskiego. Otóż jeden z uczniów zrobił gazetkę ścienną z jakiejś tam rocznicowej okazji i zamieścił na niej wycięte z gazety, znane zdjęcie radzieckiego żołnierza, który zatyka czerwony sztandar na gruzach zdobytej Bramy Brandenburskiej czy Reichstagu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że obok gazetki wisiała gaśnica i w czasie jakiejś szarpaniny między uczniami na przerwie między lekcjami jeden z nich zrzucił niechcący tę gaśnicę, która uruchomiła się i oblała pianą gazetkę. Najpierw zrobiła się draka o świadome zniszczenie gazetki, ale gdy zaczęto badać jej treść, by dojść, który jej fragment wywołał antypaństwową akcję, ktoś zwrócił uwagę, że czerwonoarmista ma aż dwa zegarki, po jednym na przegubie każdej dłoni. Postać sprawcy zniszczenia gazetki zeszła wtedy na drugi plan, a na pierwszy wysunięto autora gazetki, któremu zarzucono prowokacyjne działanie w celu ośmieszenia radzieckiej armii. I wtedy Tadeusz ostentacyjnie stwierdził, że prowokatorem to chyba jest ten, kto dopatruje się dwóch zegarków, bo ten drugi to nie zegarek, tylko ręczny kompas – tzw. busola Adrianowa, którą można teraz kupić w każdym domu harcerza. Aferę wygaszono jeszcze tego samego dnia, w którym ją rozniecono.

Te doświadczenia nie przeszkadzały nam jednak pokpiwać sobie z władzy. Gdy np. władze ZSSR zakpiły sobie z Paktem Atlantyckiego zgłaszając chęć przystąpienia do niego, Jurek Litwiński przyszedł do szkoły w wojskowym mundurze. Zauważyła to oczywiście pani dyrektor R. i zapytała go o powód tej maskarady.

– Jak Związek Radziecki przystępuje do Paktu Atlantyckiego, to ja się zapisuję do Armii Atlantyckiej – odpalił Jurek, nie bacząc, że już wcześniej był podpadnięty u pani dyrektor. A podpadł, gdy pani R. wchodząc na lekcję do naszej klasy natknęła się akurat na jakąś szarpaninę między uczniami, w trakcie której jednemu z nich wypadła z ręki kanapka i po podłodze rozsypały się kawałki bułki z szynką. Pani dyrektor spełniając wychowawczy obowiązek zwróciła uwagę na niestosowność takiego zachowania. Zaznaczyła przy tym pryncypialnie, że w Polsce jeszcze nie ma powszechnego dobrobytu i było jej przykro widzieć walającą się po podłodze szynkę w sytuacji, gdy jej osobiście nie było dziś stać na przyniesienie sobie na drugie śniadanie kanapki z szynką. Wtedy Jurek podszedł do niej rozwijając z papieru swoje kanapki z szynką i powiedział, że się z nią chętnie podzieli.

Negatywny stosunek młodzieży do ówczesnych politycznych uwarunkowań przejawiała się również w pewnej niechęci do przymusowej nauki języka rosyjskiego. Lekcje z tego przedmiotu prowadził przeuroczy nauczyciel, o niezwykle bogatym życiorysie, pan Gebel. Przed pierwszą wojną światową był zawodowym oficerem austriackiej kawalerii. Z powodu pojedynku musiał stamtąd uciekać, więc zmienił zabór i służył w carskiej armii. Podczas rewolucji październikowej przeszedł na jej stronę, a gdy dowiedział się, że powstała niepodległa Polska porzucił rewolucję i przedarł się do ojczyzny. O tym, co robił w czasie wojny polsko-bolszewickiej, po niej i podczas drugiej wojny światowej ze zrozumiałych względów nie opowiadał, ale o tych wcześniejszych czasach opowiadał bardzo ciekawie, więc zawsze staraliśmy się go do tych opowieści prowokować, co bez trudu się udawało. Profesor Gebel chciał

nas nauczyć rosyjskiego i bolało go nasze nieuctwo. Kiedyś, gdy okazało się, że kolejny odpytywany przez niego uczeń nie odrobił zadanej lekcji, zdenerwował się i wykrzyknął:

– Ja wiem, dlaczego wy nie chcecie się uczyć rosyjskiego. Bo wszyscy jesteście wrogami obecnego reżimu!

Gdy klasa ryknęła śmiechem, natychmiast się poprawił:

– To jest jesteście przeciwni obecnej rzeczywistości! – i zapowiedział ostrą klasówkę na następnej lekcji. A że było to przed końcem okresu i groziło niedostatecznymi ocenami, trzeba było jakoś temu zaradzić. Lekcja rosyjskiego była akurat pierwszą w zapowiadającym dniu, postanowiliśmy zatem utrudnić profesorowi wyjście z domu i dotarcie na czas do szkoły. Wiedzieliśmy, że profesor mieszka na ulicy Żulińskiego, w tym samym domu, co nasz klasowy kolega Marek Żyszko. Zaproponowaliśmy wypróbowane rozwiązanie, jakie dla kawału nie raz stosowaliśmy w sztubackich czasach. Polegało ono na mocnym związaniu ze sobą drutem lub linką klamek drzwi wejściowych dwóch przeciwległych lokali na klatce schodowej i dzwonieniu do każdego z nich. Drzwi wejściowe otwierają się do środka, więc żadne próby ich otwarcia bez pomocy z zewnątrz nie są możliwe. Po dokonaniu rekonesansu sprawa uproszczyła się, bo w drzwiach i ich framudze tkwiły wkręcone skoble do kłódki. Wystarczyło kupić kłódkę i założyć ją przed godziną siódmą rano. Klasówka nie doszła do skutku.

Zabawa w konspirację

Nasza „muszkieterska czwórka” z podstawówki, chociaż nie uczęszczała już do tej samej szkoły i klasy, utrzymywała kontakty między sobą i wspomagała się wzajemnie. Gdy Jurek umówił z dziewczyną i dla stworzenia bardziej intymnych warunków randki poprosił nas o wygaszenie latarni na planowanej trasie ich spaceru, nikt nie odmówił. Nie poniechaliśmy też zupełnie „konspiracyjnych” pomysłów. Przed którymś z pierwszomajowych świąt, gdy całe miasto było obwieszane czerwonymi flagami, postanowiliśmy z jednej z nich uszyć sobie slipy. Wybraliśmy spory baner zawieszony pionowo na gmachu kura-

torium w Alejach Jerozolimskich, między domem towarowym (CDD – Centralnym Domem Dziecka zwanym „Smyk”) a rogiem Nowego Świata. Zerwaliśmy go tuż po zmierzchu, gdy ruch na ulicach był jeszcze spory. Jeszcze nie zdążyliśmy zwinąć naszej zdobyczy, gdy w naszym kierunku zaczął biec jakiś młody człowiek coś krzycząc. Rzuciliśmy się do ucieczki rozbiegając w różne strony. A goniło nas już dwóch tajniaków. Jeden pobiegł za mną, ale go zgubiłem okrążając dużej średnicy filar za „Smykiem” i szczęśliwie dotarłem do domu. Po kilku minutach usłyszałem klaskanie na podwórku. Wyjrzałem przez okno. To był Jurek Radomski. Jeszcze nie zdążył wbiec do mnie na czwarte piętro, gdy pojawili się dwaj następni. Wszystkim udało się uciec, ale materiał na slipki przepadł. W szkole średniej dołączyło do nas jeszcze kilku z mojej klasy. Przed zaakceptowaniem ich kandydatur sprawdzaliśmy, czy są odważni. Próba polegała na wyłączeniu dużego neonu z napisem „Społem”, reklamującego lokal spółdzielni pod tą nazwą, znajdujący się na ul. Marszałkowskiej przy Widok. Tylko jeden z kandydatów stchórzył w ostatniej chwili. Został zdyskwalifikowany i nigdy nie dowiedział się, jaki był prawdziwy cel tej próby. Jednak nasza działalność polegała głównie na jej planowaniu i gadaniu, w praktyce nie istniała i szybko z niej zrezygnowaliśmy. Impulsem do tego było następujące zdarzenie.

Wychodziliśmy w trójkę ze szkoły kilka godzin po skończeniu lekcji, bo wykonywaliśmy dekoracje związane z jakąś uroczystością. Dwóch z tej trójki, tzn. Jurek Litwiński i ja, byliśmy członkami tej naszej nieoficjalnej grupy. Na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata zatrzymał nas tajniak, pokazał odpowiednią legitymację, zapisał nasze nazwiska i zapytał, co tak długo robiliśmy w szkole. Powiedzieliśmy, że pracowaliśmy społecznie przy dekoracjach.

– Coś za bardzo zaślaniacie się pracą społeczną – powiedział.

Potem zaczął nas indagować poruszając różne tematy. W końcu powiedzieliśmy, że jak ma do nas jakąś konkretną sprawę, to jesteśmy do dyspozycji, a jak nie, to chcieliśmy już pójść do domu, bo musimy jeszcze odrobić lekcje na jutro. Puścił nas,

ale po kilku dniach, gdy szliśmy z Jurkiem Litwińskim na przystań nad Wisłą, spotkaliśmy tego typu na Wale Miedzeszyńskim. Przywitał się z nami, jak ze starymi znajomymi. Zapytał, co tu robimy, zadał jeszcze kilkanaście pytań, ale pożegnaliśmy go tłumacząc się, że jak się spóźnimy, to koledzy wypłyną bez nas. Spotkanie to z pewnością nie było przypadkowe. Domyślaliśmy się, że indagacja ta jest związana z rozrzuconymi w naszej szkole ulotkami. Nie mieliśmy z nimi nic wspólnego, ale zainteresowanie naszymi osobami było niepokojące. Potwierdziła je dozorczyńni mojego domu uprzedzając po cichu moją mamę, że dzielnicowy milicjant wypytywał o mnie. Do tego jeden z naszej grupy zakochał się w uczennicy ze starszej o rok klasy, działaczce ZMP i komunistce tak żarliwej, że wyprowadziła się od rodziców, bo nie mogła pogodzić się z ich drobno-mieszczkańskimi poglądami. Wprawdzie miłość ta skończyła się szczęśliwie, jak większość miłości, bo tylko niektóre kończą się małżeństwem, ale nie było to bezpieczne. Gdy znów po kilku dniach zaczął nas po szkole ten tajniak, to po szczęśliwym rozstaniu się z nim Jurek Litwiński powiedział do mnie:

– Nasza grupa faktycznie nic nie robi, a istnieje. To chyba nie ma sensu.

Trudno było się z nim nie zgodzić. Od tej chwili zaprzestaliśmy wszelkiej działalności i więcej nie wracaliśmy do tego tematu.

* * *

Wychowawcy naszej kasy niezbyt się udali. Mieliśmy ich kolejno dwóch. Obaj byli nauczycielami wychowania fizycznego. Pierwszy, dość młody, opiekował się naszą klasą prawie przez dwa pierwsze lata, po czym podziękowano mu za pracę, bo miał pecha. Pech polegał na tym, że podczas pobytu z uczniami na zimowych feriach w Zakopanym podpuścił ich, by obrzucili śnieżkami wczasowiczów, wśród których jego uwagę zwróciła bardzo ładna pani, ale nie wiedział, iż towarzyszący jej pan w cywilnym ubraniu był wysoko ustosunkowanym pułkownikiem Ludowego Wojska Polskiego. Ale miał też szczęście, bo zachęcił czeredę swych podopiecznych, którzy w

większości mieli pierwszy raz narty na nogach, do suszowania z Kasprowego i nikomu się nic nie stało.

Przygoda z szermierką

Temu pierwszemu wychowawcy zawdzięczam zainteresowanie szermierką, którą uprawiałem następnie przez ponad 5 lat. Działając, jak zwykle spontanicznie, bez głębszego zastanowienia, zorganizował on dla chętnych przyspieszony kurs szermierki w wymiarze dwa razy po dwie godziny i posłał nas jako reprezentację szkoły na drużynowe zawody, chyba rangi mistrzostw Warszawy. Stłukli nas tam niemiłosiernie, w przenośni i dosłownie, bo zamiast ochronnych szermierczych bluz i spodni z gęstego, grubego płótna byliśmy ubrani w spodenki gimnastyczne i koszulki z dumnym napisem „Smolna 30”. Miałem wtedy okazję po raz pierwszy walczyć z dobrze zapowiadającym się Jerzym Pawłowskim, późniejszym mistrzem szabli wszechczasów. Przegrałem z nim 5:1. Po zawodach, sędzia i trener – major Zygmunt Fokt dał nam kilka wskazówek i zachęcił do trenowania szermierki informując, że wkrótce CWKS, czyli Centralny Wojskowy Klub Sportowy rozpocznie nabór do sekcji szermierczej. Na pierwszy trening przyszło kilkudziesięciu chłopców, ale z naszej szkolnej drużyny zgłosiłem się tylko ja. Wówczas i kilka razy później w okresie, gdy byłem jeszcze uczniem, żądano ode mnie przedstawienia świadectwa szkolnych ocen. Władze klubu nie chciały robić kłopotu sobie i uczniom, którzy nie byliby w stanie pogodzić wyczynowego sportu z nauką i rezygnowały z takich. Treningi odbywały się dwa razy w tygodniu i trwały 3 godziny. Przez pierwsze 3 miesiące nie dano nam broni do ręki. Trening polegał na ogólnej zaprawie, wyrabianiu kondycji oraz ćwiczeniu refleksu, kroków szermierczych, wypadów i fleszy, czyli rzutów. Były one nowatorską formą szermierczego ataku, charakterystyczną dla polskiej szkoły w tej dyscyplinie sportu, wprowadzoną przez węgierskiego trenera naszej kadry – Janosa Keveya. Momentu wydania nam floretów doczekało nas zaledwie kilku, a do pierwszych zawodów, tzw. pierwszego kroku szermierczego

dotrwało dwóch. Zanim to nastąpiło zaczęła się normalna, żmudna, ale i pasjonująca nauka operowania bronią, zasłon, pchnięć itp. Treningi prowadził bardzo wymagający kpt. Przechdziecki, major Fokt, później kpt. Buczak, czasem Kevey.

Po dwóch latach treningów spędziłem miesiąc na obozie szermierczym w ośrodku treningowym w Groniku, w Zakopanym. Prowadzone tam szkolenie było bardzo intensywne i wszechstronne. Zaraz po pobudce przeprowadzano trening mający na celu ćwiczenie refleksu, potem była solidna gimnastyka poranna połączona z biegami mającymi poprawiać kondycję, następnie toaleta, śniadanie i normalny trening szermierczy do obiadu. Po obiedzie nauka sędziowania i organizacji zawodów, znów trening do kolacji, a po kolacji turnieje szermiercze lub sporty uzupełniające, jak siatkówka, tenis stołowy i inne. W niedzielę po południu organizowano nam wycieczkę w góry, pod hasłem np. kto pierwszy dotrze na Giewont lub jechaliśmy do któregoś z wojskowych ośrodków wczasowych urządzających pokazy szermiercze, popularyzujące tę dziedzinę sportu. Demonstrowaliśmy wówczas wytrenowane wcześniej szaleńcze pchnięcia i ciecicia, parowane z zamachem, których mogliby nam pozazdrościć Zorro, kapitan Blood, Wołodyjowski i filmowi muszkietierowie. Po powrocie z jednego z takich pokazów omal nie doszło do pojedynku na pięści między dwoma świetnymi szermierzami. Wracaliśmy wieczorem, ciężarówką krytą plandeką, pod którą było zupełnie ciemno. Na ławce, po obu stronach sympatycznej koleżanki Basi siedzieli dwaj znakomici szermierze: Jerzy Pawłowski i jeszcze ktoś, czyje nazwisko wyleciało mi z pamięci. Każdy z nich korzystając z ciemności usiłował ukraść Basi buziaka. Ona zamiast protestować, tylko odchyliła się mocno do tyłu, w wyniku czego wargi obu panów spotkały się, ale w trakcie wymiany gorących pocałunków obaj, ku swemu zaskoczeniu odkryli, że Basi nagle wyrósł dość twardy zarost na twarzy. Panowie przez jakiś czas byli obiektami bezlitosnych kpin otoczenia.

Szermierkę trenowałem w sumie przez ponad 5 lat. Rozstałem się z nią w połowie studiów, gdyż nie byłem w stanie pogodzić kilkogodzinnych, wyczerpujących treningów trzy razy w tygodniu z nauką i korepetycjami. Ponadto wielkich

razy w tygodniu z nauką i korepetycjami. Ponadto wielkich sukcesów nie odnosiłem. Zamieniłem floret na szablę i poznałem już wszelkie tajemnice szermierczej sztuki, więc pozostało tylko żmudne doskonalenie każdej zasłony i każdego pchnięcia. Poczynano mnie to nużyć i nie dawało satysfakcji. Ale wcześniej było jej sporo. Polscy szermierze reprezentowali wówczas najwyższy, światowy poziom, a ja miałem szczęście krzyżować klingi na różnych turniejach z najlepszymi z nich: m.in. z Wojciechem Zabłockim i Jerzym Pawłowskim. Zawsze przegrywałem, zwykle w stosunku 5:1, ale zdarzyło mi się wygrać z członkiem drużyny mistrzów świata i indywidualnym wicemistrzem świata w szabli, olimpijczykiem – Emilem Ochy-
rą.

* * *

Drugi wychowawca naszej klasy, dużo starszy od pierwszego, skupiał uwagę wyłącznie na uczniach, którzy osiągnęli w sporcie jakieś widoczne sukcesy, np. na członkach szkolnej drużyny koszykarskiej, zajmującej punktowane miejsca i międzyszkolnych rozgrywkach. Mnie nie lubił, bo podpadłem mu na samym początku jego wychowawstwa. A spowodowała to skarga, jaką na zachowanie niektórych uczniów naszej klasy złożyła nauczycielka łaciny – pani Kamila Moraczewska. Naukę łaciny narzucono naszej klasie nikogo nie pytając o zdanie. Równoległa klasa żeńska uczyła się francuskiego, większość z nas wolałaby angielski. Tym właśnie był spowodowany nasz stosunek do lekcji łaciny, a nie niechęcią do nauczycielki, którą szanowaliśmy, chociażby jako była więźniarkę Oświęcimia. Usiłowałem bronić tych uczniów tłumacząc tę sytuację naszemu wychowawcy w trakcie jego dyskusji z klasą na ten temat. A on dołączył moje nazwisko do listy wytypowanych do nagany uczniów, na których skarżyła się nauczycielka, mimo że do mnie nie miała żadnych zastrzeżeń. Nie pamiętam już czy dostałem tę nagane, ale wygarnąłem mu, co myślę o jego pedagogicznych metodach. Później złagodził nieco swój stosunek do mnie usłyszawszy moje nazwisko wymieniane przez radio w wiadomościach sportowych, gdy zająłem punktowane miejsce w szermierczym

w szermierczym turnieju. Ale wciąż zaniżał mi stopnie z WF, a czwórkę na maturze uzależnił od wygrania meczu w siatkówkę przez drużynę, w której grałem. Szczęśliwie wygraliśmy. Jednak w sumie chyba mnie docenił, bo już po zdaniu matury przysłał po mnie kogoś do domu, z prośbą, bym natychmiast przyszedł do szkoły. Gdy przyszedłem dał mi do rozwiązania kilka zadań z matematyki czy fizyki. Okazało się, że potrzebne mu były do sporządzenia ściąg dla pupilów-sportowców z niższych klas, którzy właśnie zdawali egzaminy obowiązujące wówczas na zakończenie każdej klasy. I ja i on wiedzieliśmy, że nie było to uczciwe, ale on wiedział też, że mimo wszystko nie doniosę. Stąd mój wniosek, że docenił mnie nie tylko jako dobrego ucznia.

Służba Polsce

Po ukończeniu dziesiątej klasy wszyscy uczniowie mieli obowiązek odsłużenia miesiąca wakacji w brygadach paramilitarno-robotniczej organizacji zwanej „Służba Polsce”. Z naszej ok. sześćdziesięcioosobowej klasy większość wykreśliła się od tego jakimiś sposobami, np. za pomocą lipnych zwolnień lekarskich. Do pracy w brygadach „Służby Polsce” pojechało nas tylko kilkunastu. Zawieziono nas do Państwowego Gospodarstwa Rolnego w województwie Koszalińskim, kilka kilometrów od miasteczka Okonek. Jechaliśmy tam całą noc w krytych, towarowych wagonach wymoszczonych skąpo słomą. Zupełnie jak podczas okupacji na przymusowe roboty do Niemiec, z tą różnicą, że wagony nie były zamknięte od zewnątrz. Z miasteczka do PGR maszerowaliśmy piechotą. Tam czekały na nas kwatery w postaci kilkunastoosobowych pomieszczeń w osobnym baraku. Każdy otrzymał łóżko z pościelą, robotnicze ubranie, dresy w roli ubrania wyjściowego i zieloną furazerkę ze znaczkiem w postaci orła trzymającego w pazurach tarczę z literami SP. Nasza brygada liczyła ok. 50 junaków, jak oficjalnie nas określano. Dzieliła się na trzy plutony. Jeden pluton stanowili uczniowie mojej klasy, dwa pozostałe uczniowie z innej szkoły. Dowódcą brygady był sympatyczny rusycysta z tej właśnie szkoły, który opiekował

szkoły, który opiekował się nami jak mógł i umiał. Mnie wybrano lub mianowano, tego nie pamiętam, dowódcą naszego plutonu. PGR, w którym mieliśmy pracować, obejmował 2000 ha terenów uprawnych i był najmniejszym oraz najlepszym w województwie. Przynosił „tylko” 2 miliony zł strat rocznie. Jego personel liczył kilkudziesięciu ludzi, z czego przynajmniej 10% pracowało w administracji. Resztę stanowili stajenni, dwóch kowali, stelmach, czyli stolarz, kilku traktorzystów oraz kilkunastu tzw. fernali pracujących bezpośrednio w polu wraz z żonami i siostrami. Całością rządził energiczny dyrektor ze społecznego awansu, doglądający pracy w terenie z końskiego siodła. Był czas żniw, więc tych kilkudziesięciu par naszych rąk, choć niewprawnych i niezbyt chętnych do pracy, miało ogromne znaczenie. Wstawaliśmy o 5 rano. Po krótkiej, z własnej inicjatywy przeprowadzanej, gimnastyce oraz toalecie było śniadanie i szliśmy do pracy. Koło południa była dwugodzinna przerwa na obiad i wypoczynek, a po niej znów pracowaliśmy do kolacji. W sumie dzień pracy trwał ponad 10 godzin, również w soboty i niedziele. Praca była różna i różnie płatna. Miało to istotne znaczenie, bo koszt wyżywienia w wysokości 12,50 zł dziennie na osobę potrącano nam z zarobków. W rezultacie otrzymałem za ten miesiąc pracy około 120 zł, ale zapowiedziano nam, że jeśli ktoś zarobi mniej niż wynosił koszt wyżywienia, będzie musiał dopłacić. Dlatego między innymi, ale również po to, by się podszkolić w stolarce, zgłosiłem akces do stałej pracy u stelmacha, gdzie dniówka wynosiła 24 zł. Niestety ze względu na obawę, że bym nie pociął sobie palców, nie zgodzono się na to, natomiast przyjęto mnie do pracy u kowala z tą samą stawką. Utrzymałem się tam jednak tylko dwa dni, po czym kowal wyrzucił mnie na zbity łeb, chociaż to właśnie on miał rozbity głowę. A stało się to przez moją spostrzegawczość. Spostrzegłem mianowicie, że w drewnianym suficie kuźni sterczą wbite hufnale, czyli gwoździe służące do przybijania podków do końskich kopyt. Spytałem, skąd one się tam wzięły. Wtedy kowal powiedział, że są one wynikiem tradycyjnej, kowalskiej zabawy. Polega ona na tym, że wkłada się hufnal w szczelinę rozcięcia tyłu młotka i tak rzuca młotkiem do

góry, by wbić hufnal w sufit. I nie tylko to powiedział, ale z powodem zademonstrował. Bardzo mi się to podobało, więc gdy kowal wyszedł na obiad, począłem próbować tej sztuki. Nic mi z tego nie wychodziło, ale nie zrażałem się. Gdy za którymś razem znów rzuciłem młotkiem do góry, kowal właśnie wszedł do kuźni i młotek spadł mu prosto na głowę, a ja musiałem szukać roboty gdzie indziej.

Na jeden dzień trafiłem do pracy w magazynie, ale wnoszenie na piętro worków z rzepakami o masie 75kg było wprost nie na moje siły. Zatrudniłem się więc przy wykopkach kartofli. Całodzienny marsz w pozycji przygiętej do ziemi zawieszonym na szyi koszem na zbierane za koparką kartofle, to też była katorga. Następnego dnia rozdzielający pracę brygadzysta szukał kogoś do odgarniania plew spod młockarni.

– To prosta, lekka robota – zapewniał.

Zgłosiłem się. Robota rzeczywiście nie wymagała fizycznego wysiłku, ale plewy wciskały się w oczy, nos, usta, uszy, w każdy zakamarek ciała pod ubraniem. Człowiek czuł się, jakby go obsiadły pchły, wszy i pluskwy całego świata. Więcej do tej roboty się nie zgłosiłem. Wreszcie znalazłem pracę, która mi odpowiadała. Było to najpierw wiązanie snopów zżętego zboża i układanie ich w kopy, czyli po kilkanaście wzajemnie się podpierających snopów. Po kilku dniach trafiło mi się jeszcze lepsze zajęcie: zwózka snopów z pola. Zostałem przydzielony do wycwanionego fornala, który pracował jako furman. Rano wsiadaliśmy z nim na konie i jechaliśmy w pole, gdzie od wczorajszego dnia czekał na nas naładowany do połowy snopkami zboża wóz. Zaprzęgaliliśmy konie do wozu, ja wrzucałem widłami kolejne snopki na wóz powożąc z ziemi końmi od kopy do kopy, a on układał na wozie piramidę snopów. Potem wdrapywałem się na nią i jechaliśmy z tym do stodoły lub bezpośrednio pod pracującą młockarnię, gdzie rozładowywaliśmy wóz. W rachunku mojego fornala to był pierwszy wóz, jaki zwieźliśmy tego dnia. Przed przerwą obiadową, nie spiesząc się, obracaliśmy jeszcze raz, czyli mieliśmy na koncie dwa wozy. Trzeci, napełniony do połowy zostawał na polu, a my na

wyprzęgniętych koniach jechaliśmy na obiad. Po obiedzie wracaliśmy w ten sam sposób na pole, doładowywaliśmy wóz do pełna i dostarczaliśmy do miejsca przeznaczenia. Według mojego fornala był to już czwarty wóz tego dnia. Potem uczciwie dostarczaliśmy piąty i szósty, a naładowany do połowy siódmy zostawialiśmy na polu. Następnego dnia ten siódmy był liczony jako pierwszy. Mnie płacono 2 zł od wozu, więc na wyżywienie zarabiałem z drobnym naddatkiem. Rzecz jasna brygadziście liczącemu dostarczone ładunki rachunek się o te dwa wozy nie zgadzał, ale najlepsi przodownicy pracy zwozili i po dwanaście wozów, co zbyt daleko odbiegało od przeciętnych osiągnięć. Brygadzista dochodził do wniosku, że oszukują, więc tym najpracowitszym zmniejszał podawane przez nich liczby o jeden i wszystko się zgadzało.

W niedzielę pegeerowskie zboże zwozili swoimi wozami i końmi również okoliczni prywatni rolnicy. Robili to w ramach przymusowego szarwarku. Co ciekawe, każdy z nich kładł na spód wozu płachtę, której fałdy zwieszały się między drągami tworzącymi dno wozu. W tych fałdach gromadziły się ziarna wytrząsane z kłosów podczas transportu. Na koniec dnia zbierało się tego ładnych kilka kilogramów.

– A co? – powiedział jeden z nich spostrzegłszy, że to zauważyłem – Będę miał przynajmniej na pokarm dla kur.

Fornale z PGR, ani jego dyrekcja nie wpadli na ten pomysł i wytrząśnięte ziarno przepadało bezpowrotnie w pyle drogi.

Podczas rozmów toczonych w trakcie niespiesznie wykonywanej pracy z tymi prywatnymi rolnikami i pracownikami PGR mogłem się wiele dowiedzieć o ich życiu, poglądach, stosunkach panujących na wsi. Nikt z nich nie krył niechęci do aktualnej władzy. Przytaczali też opowieści o kimś w rodzaju miejscowego Janosika, byłego i obecnego partyzanta, pozostającego od zakończenia wojny wciąż w konspiracji i płaconego rozmaite psikusy władzy oraz milicji, która bezskutecznie usiłuje go złapać. Sądzę, że nie była to postać rzeczywista, lecz efekt

ludzkich fantazji i marzeń o niespełnionej sprawiedliwości, przejawiający się w formie ludowej legendy. Był przecież już rok 1953.

Naszej brygadzie też fantazji nie brakowało i różne głupie pomysły przychodziły jej do głowy. Ktoś np. wymyślił, że należy usunąć z miejscowego cmentarza nagrobki niemieckich żołnierzy z lat wojny, bo groby naszych wrogów nie powinny być eksponowane na polskiej ziemi. I nawet w jednym przypadku kilku durniów pomysł ten zrealizowało. Przekonał ich dopiero argument, że właśnie te nagrobki pokazują, czym kończą się wrogie działania przeciw naszemu krajowi. Ktoś inny zauważył, że całe życie PGR toczy się w rytmie wskazań zegara umieszczonego na wieży nieczynnego kościoła, więc gdyby cofnąć jego wskazówki o 2 godziny, to pospalibyśmy dłużej i w ogóle roboty byłoby mniej, bo noc i tak przerwałaby pracę w swoim czasie. Miał rację, bo nie każdy wówczas posiadał własny zegarek. Na szczęście trudności techniczne z dotarciem do zegara przekreśliły ten pomysł. Gdyby nie to, mielibyśmy sprawę o sabotaż akcji żniwnej.

Junacy w stosunkach między sobą i z otoczeniem również nie byli łatwi. Chłopcy jednego z plutonów nie lubili swojego dowódcy i każdy, kto w nocy musiał załatwić fizjologiczną potrzebę, zamiast iść do latryny, lał mu w gumiaki. Ten już tak się do tego przyzwyczaił, że pierwszą jego czynnością po wstaniu z łóżka było wylanie moczu z butów.

Kiedyś mój pluton zaległ gdzieś na trawie i nie chciało się mu ruszyć na wezwanie odbywającego w PGR praktykę studenta Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, który pełnił rolę brygadzysty. Leżałem z nimi i ja. Student najpierw bezskutecznie się poawanturował, a potem rzucił ostrym tonem:

– Kto tu jest dowódcą plutonu?

– Ja – odpowiedziałem – nie ruszając się z miejsca.

– O Boże! – westchnął z rozpaczą student na mój widok, zakapiora z granatową śliwą rozmiarów renklody pod lewym okiem. Był to efekt ręcznego załatwiania koleżeńskiego niepo-

rozumienia z Witkiem Falkowskim, które wprawdzie udało mi się korzystnie wyjaśnić, ale nie bez strat własnych. Nic dziwnego, że student zwątpił w skuteczność moich działań i zrezygnował z wykorzystania naszej siły roboczej.

W sumie jednak ta nasza brygada była ogromną pomocą w okresie żniw. Docenił to dyrektor PGR i urządził na nasze pożegnanie bankiet, jak to się mówi, na 24 fajerki. Były podziękowania, orkiestra, tańce, stoły pełne jedzenia. Alkohol teoretycznie był dostępny tylko dla pełnoletnich. Bawiła się cała załoga PGR i nasza brygada, przy czym część jej wkrótce zmieniła lokal przenosząc się na zabawę do miasteczka. Ja zostałem, bo wpadła mi w oko studentka SGGW odbywająca tu praktykę. Było to hoże dziewczę, może nie z tych najpiękniejszych, ale o bujnej, rzekłbym apetycznej, polskiej urodzie. Rozgrzana kilkoma kieliszkami chętnie nadstawiała w tańcu ucha na moje słowa przekonujące, że nie ma piękniejszego widoku od rozgwieżdżonego nieba, oglądanego z kopy pachnącego siana, gdy nagle na salę wpadł Janusz Langda i wywołał mnie w pilnej sprawie. Gdy niechętnie wyszedłem przepraszając na chwilę moją partnerkę, Janusz powiedział:

– Załatwiłem u stajennego dwa konie pod wierzch. Choć szybko, bo musimy wrócić przed północą. Jedziemy!

Postawił mnie w sytuacji żywca wyjętej ze znanej, biesiadnej piosenki:

*A gdyby ktoś mi wybór dał
Dziewczynę, konia, trunek,
I rzekł: wybieraj sobie sam,
Ja płacę za rachunek.*

*Na próżno dziewczę wdzięczy się
I koń wyciąga szyję,
Ja biorę kufel w ręce swe
I piję, i piję, i piję...*

Tym razem jednak wybór był inny niż w piosence. Trunek mnie specjalnie nie nęcił, dziewczyna bardzo, ale zgodnie z tezą operetkowej arii „dziewcząt dzisiaj całe mnóstwo”, a okazji do pojeżdżenia na koniu było mało. Próbowaliśmy wprawdzie z Jurkiem Radomskim jeździć na Służewcu, co dało się załatwić, bo odciążaliśmy w ten sposób personel stajni przy objeżdżaniu wyścigowych koni podczas codziennego, rannego treningu. Kolidowało to jednak z rozpoczynającymi się o 8 rano lekcjami i trzeba było z tych gratisowych jazd zrezygnować. Wróciłem do nich dopiero po ukończeniu studiów.

Wybrałem zatem konia. Pogalopowaliśmy do miasteczka, gdzie bawili się chłopcy z naszej brygady. Uwiązaliśmy konie przed salą, w której odbywała się zabawa z udziałem chłopców naszej brygady i weszliśmy do środka z minami dzielnych kowbojów. Janusza poderwało jakieś bardzo ładne, czarne dziewczę. Skończył z nią właśnie drugi taniec i szykował się do trzeciego, gdy od grupy stojących pod ścianą miejscowych osiłków oderwał się jakiś dryblas, podszedł do Janusza, stuknął go w ramię i powiedział:

– Wyjdź na chwilę na dwór, musimy porozmawiać.

Janusz po chwili wahania skierował się do drzwi. Poszedłem za nim, bo przypuszczałem, że pewnie będzie mu potrzebna pomoc w tej „rozmowie”. Ale z pozostałych „miejscowych” nikt nie wyszedł z nami i wszystko skończyło się bezkrwawo, zaskakującą informacją:

– Koleś! – powiedział nasz rozmówca – Uważaj! Nie zadawaj się z tą Jolką, bo ona ma syfa.

Czy była to prawda i życzliwa przestroga, czy sprytny, choć chamski sposób pozbycia się konkurenta, trudno było zgadnąć. Na wszelki wypadek Janusz mu podziękował, dosiedliśmy koni i pogalopowaliśmy z powrotem. Nasz pośpiech był podyktowany prośbą kolegów, którzy pozostali na zabawie, bojąc się z niej wyjść, bo miejscowi zapowiedzieli, że spuszczą im lanie, ale poza salą. Trzeba było sprowadzić resztę brygady na pomoc. Tak też się stało i nasza przewaga liczbowa zapobiegła bójce.

Moje wspomnienie o Januszu Langdzie, chłopcu przypominającym wyglądem aniołka z powodu jasnych, naturalnie zakręconych loczków na głowie, ale duchu niespokojnym, jeśli nie wprost awanturniczym, chciałbym zakończyć informacją, że był on więźniem Oświęcimia. Odszedł w bardzo młodym wieku, jako pierwszy lub drugi z uczniów naszej klasy. Może właśnie Oświęcim się do tego przyczynił?

Nazajutrz koło południa załadowaliśmy się na ciężarówkę, które miały nas odwieźć do pociągu. Na pożegnanie przyszła cała kilkudziesięcioosobowa załoga PGR. Gdy samochody ruszyły zobaczyliśmy w oddali biegnącego w naszą stronę mężczyznę i kobietę, którzy krzyczeli i energicznie wymachiwali rękami. Można było sądzić, że to spóźnieni na uroczystość pożegnania machają do nas i choć z daleka życzą szczęśliwej drogi. Ale myśmy wiedzieli, że oni chcą za wszelką cenę zatrzymać samochody. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy kierowcy dodali gazu i zegnający nas tłum wraz z tymi spóźnionymi został daleko z tyłu. Powód naszej ulgi był prozaicznie prosty. Otóż gdzieś w połowie naszego pobytu do brygady przyplątał się pies. Piękny, bardzo duży, czarny, o posturze wilka, łagodny, sympatyczny, wygłodzony, szukający towarzystwa ludzi. Nie udało się odnaleźć w okolicy jego właścicieli. Jurek Litwiński postanowił zabrać go do domu, ale tymczasem ogłupiały pies miał 50 panów i nie wiedział, kogo ma słuchać. Znaleźliśmy mieszkającego w pobliżu chętnego rolnika, który zgodził się zaopiekować się psem przez 2 tygodnie i karmić go. Jurek z góry za to zapłacił sumę, jakiej chłop zażądał. Gdy w dzień odjazdu przyszliśmy odebrać psa, żona rolnika oświadczyła, że psa nie ma, bo uciekł. Nie uwierzyliśmy. Wtedy któryś z nas zagwizdał, a pies w odpowiedzi zaczął szczekać.

– Jednak jest pies – stwierdził Jurek

– To jest inny pies, nie wasz – łgała kobieta.

– Jeśli tak, to niech nas pani wpuści i pozwoli sprawdzić – zwrócił się do niej Jurek.

Odmówiła i nie wpuściła nas na teren zagrody. Gwizdaliśmy więc dalej i wołaliśmy psa. Po chwili był już przy nas ma-

chając radośnie ogonem. Z szyi zwisał mu zerwany sznurek. Zabraliśmy psa na teren brygady i postanowiliśmy, że takie oszustwo nie może pozostać bezkarne. Na godzinę przed odjazdem we czterech wybraliśmy się na spacer przed dom oszukańczego chłopca. Każdy z nas miał kieszenie wypełnione kamieniami. W domu nie została ani jedna cała szyba. Racja była po naszej stronie, ale dobrze się stało, że nasz chłop z żoną nie zdążyli na pożegnanie brygady.

* * *

W połowie maturalnej klasy zostałem wezwany do gabinetu pani dyrektor. Oprócz niej był tam jeszcze elegancko ubrany, nieznan mi mężczyzna. Zapytał mnie o moje plany po skończeniu szkoły. Oświadczyłem, że chcę studiować na Wydziale Elektrycznym Politechniki. Powiedział, że ma dla mnie lepszą propozycję, a mianowicie specjalną szkołę, w której nauczą mnie prowadzić samochody różnych typów, pilotować samoloty, strzelać z różnego rodzaju broni, kilku języków obcych i wielu innych, ciekawych rzeczy, a po skończeniu będę miał interesującą i bardzo dobrze płatną pracę. Nietrudno było się domyśleć, co to była za szkoła. Stanowczo podziękowałem, tłumacząc się nieprzepartym zainteresowaniem kierunkiem określanym w reklamówce Politechniki jako „prądy silne”. Nie nalegał, kończąc sakramentalnym zwrotem, że gdybym zmienił zdanie, to wystarczy powiedzieć o tym pani dyrektor. Wiem, że podobną propozycję otrzymał przynajmniej jeszcze jeden z moich kolegów. Też odmówił.

Przed maturą dyrekcja szkoły zbierała od uczniów deklaracje dotyczące wyboru kierunku przyszłych studiów i przygotowywała coś w rodzaju opinii. Napisania takiej opinii o każdym uczniu zażądano też od klasowego zarządu ZMP, którego byłem członkiem. Wszystkim napisaliśmy uczciwe, rzetelne opinie. Ale dwie wśród nich, też rzetelne i uczciwe, nie były pozytywne. Dotyczyły one dwóch ogólnie nielubianych egoistów, którzy niezłe formalnie oceny uzyskiwali regularnie stosowanymi metodami ściągania i podpowiadania, co otwarcie

napisaliśmy. No i zaczęło się. Najpierw od „wzywania na dywanik”, próśb, apeli i nacisków. Gdy to nie pomogło, to prowadzący z nami indywidualnie i zbiorowo te rozmowy – wysoko partyjny przedstawiciel komitetu rodzicielskiego – oświadczył, że nasz kolega, a mój szkolny przyjaciel Tadeusz Wróblewski, przewodniczący szkolnego zarządu ZMP, sfałszował swój życiorys ukrywając, że jego mama była przed wojną właścicielką sklepu. Jeżeli nie zmienimy tych opinii, fakt ten zostanie ujawniony i Tadeusz nie dostanie się na medycynę. Był to ordynarny szantaż – pierwszy, z jakim się spotkałem w życiu. Co było robić? Tadeusz potwierdził, że jego mama miała sklep, a on o tym nie napisał w jakiejś ankiecie. Nie było wyjścia i po dyskusji postanowiliśmy się poddać dla dobra Tadeusza. Ale i tak nie uratowało to Tadeusza od kłopotów. Okazało się, że w komisji decydującej o przyjęciu do warszawskiej Akademii Medycznej zasiada w roli czynnika społecznego ten właśnie towarzysz z komitetu rodzicielskiego. Dwaj kiepsko przez nas ocenieni dostali się bez problemów. Tadeusz zdał egzamin wstępny bardzo dobrze i też się dostał, ale nie na Wydział Ogólnolekarski, lecz na Sanitarno-Epidemiologiczny, który go nie interesował. Przeniósł się więc po pierwszym roku na Akademię Medyczną w Białymstoku, gdzie przyjęto go na Wydział Ogólnolekarski, bo innego tam nie było. Musiał oczywiście uzupełnić przy tym pewne różnice programowe. Po następnym roku wrócił do Akademii Medycznej w Warszawie już na Wydział Ogólnolekarski. Po skończeniu Akademii, doktoracie i habilitacji został profesorem. Ożenił się z Sylwią Mandel, moją koleżanką ze studiów, którą poznał za moim pośrednictwem. Byłem świadkiem na ich ślubie.

Forma egzaminu maturalnego i wtedy, i dziś ciągle się zmieniała. Ja trafiłem na dość trudną jej odmianę. Obejmowała ona pisemny egzamin z polskiego i matematyki oraz ustne egzaminy z tych przedmiotów, jak też czterech innych, a wśród nich z historii i fizyki. Egzaminy poszły mi dobrze. Na świadectwie maturalnym uzyskałem 8 ocen bardzo dobrych i 8 dobrych. W nagrodę za zdanie matury dostałem od mamy

kilogram czereśni – dziś pewnie wypadaloby dać samochód. A na koniec spotkała mnie jeszcze jedna, radosna niespodzianka. Dwóm najlepszym uczniom w każdej z maturalnych klas przyznano dyplomy „Przodownika nauki i pracy społecznej”, a ja uzyskałem drugie miejsce w klasie. Dyplom ten zwalniał mnie z egzaminu na studia. Pewnie bym dostał się i bez niego, ale różnie to mogłoby być. W tamtych czasach, żeby dostać się na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej trzeba było uzyskać średnią ocenę na egzaminach wstępnych nie niższą niż 4. Cztery z minusem wystarczało kandydatowi dysponującemu dodatkowymi punktami za robotnicze lub chłopskie pochodzenie, aczkolwiek były wyjątkowe przypadki przyjmowania bez egzaminu i bez matury. Studiowałem z jednym z takich. Był z zawodu kowalem. Szło mu bardzo ciężko, ale był pracowity, ambitny i studia skończył. Lecz okres studiów, to już zupełnie inna historia.

W sumie mogę stwierdzić, że ukończyłem dobrą szkołę. Wiedza z niej wyniesiona procentowała mi przez całe życie. A towarzyszy jej satysfakcja, że czuję się wychowankiem Szkoły Górskiego, której absolwentami byli ludzie tej miary, co np. kardynał Stefan Wyszyński, pisarze Wacław Gąsiorowski, Leszek Prorok, Karol Małcużyński, Stefan Wiechecki (Wiech), profesorowie Włodzimierz Krysiński, Stanisław Lorenc, politycy Stanisław Dubois, Włodzimierz Sokorski, artyści jak Szymon Kobyliński i wielu innych, znanych ludzi. Wśród nich chciałbym wymienić zapamiętanych przeze mnie, również wybitnych absolwentów mojego pokolenia, jak ucznia o rok młodszej klasy reżysera Krzysztofa Zanussiego, o rok starszej – profesora Wojciecha Noszczyka, profesor Marię Szacherską z równoległej klasy oraz profesorów Tadeusza Wróblewskiego, Jerzego Kiwerskiego i Andrzeja Daniewskiego – kolegów z mojej klasy.

4. STUDIA

W 1954 r. rozpocząłem studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Decyzja o ich podjęciu nie była łatwa ze względu na naszą trudną sytuację materialną. Mama liczyła w cichości ducha, że po skończeniu szkoły podejmę pracę i pomogę w utrzymaniu domu, ale nie sprzeciwiała się mej decyzji, a nawet zafundowała mi komplet cyrkli, bez którego żaden student nie mógł się w tamtych czasach obejść. Był to wydatek rzędu połowy mamy pensji. Cyrkle te służyły mi przez całe studia i w późniejszych latach; mam je do dzisiaj i czasem z nich korzystam, gdy przygotowuję rysunki do jakiejś technicznej książki. Ja ze swej strony wiedziałem, że studiując będę musiał również dorywczo zarabiać, chociaż nie sądziłem, że moje zarobki będą tak wysokie, jak rzeczywiście były. Najtrudniejszy był pierwszy rok studiów, kiedy w praktyce jedynym moim dochodem było przyznane mi częściowe stypendium wynoszące 300 zł miesięcznie. Pełne stypendium wynosiło ponad 500 zł; dlatego przyznano mi tylko częściowe, nie wiedziałem. Być może powodem tego był fakt, że mieszkalem w Warszawie i nie musiałem płacić za Dom Akademicki. Zawsze życzliwa studentom pani Basia Telechun, ówczesna sekretarka zajmującego się stypendiami prof. Knabe, namówiła mnie do złożenia podania o przyznanie całkowitego stypendium. Niestety w podaniu zrobiłem błąd ortograficzny pisząc słowo „prośba” przez „ż” i z tego powodu, jak mi powiedziała pani Basia, profesor podanie odrzucił. Do końca studiów otrzymywałem tylko częściowe stypendium, przy czym począwszy od drugiego roku studiów zawsze otrzymywałem też dodatek 100 zł za dobre wyniki w nauce.

Na drugim roku zacząłem też udzielać korepetycji, głównie z matematyki, rzadziej z fizyki. Moim pierwszym uczniem był młodszy syn państwa Mantorskich, znajomych mamy, zamężnych przedsiębiorców zamieszkałych w Międzyzlesiu pod

Warszawą. Jeździłem do nich 3 razy w tygodniu na trzygodzinne lekcje. Moje honorarium wynosiło 30 zł za godzinę, przy czym obejmowało ono również czwartą godzinę traconą na dojazd. W ten sposób zarabiałem ponad 1500 zł miesięcznie, co znacznie przewyższało mamy pensję. Odtąd wpłacałem swój udział na utrzymanie domu w wysokości mamy pensji. Resztę przeznaczałem na ubranie i inne moje potrzeby. Stać mnie było wówczas nawet na szaleństwa w „Kameralnej” – modnej wówczas nocnej restauracji, w której bywała cała artystyczna i literacka bohema Warszawy. Ten poziom zarobków, a nawet wyższy utrzymywał się przez cały czas studiów. Byłem chyba niezłym korepetytorem i gdy jeden z mych uczniów kończył szkołę, polecano mnie komuś następnemu z rodziny czy znajomych, komu potrzebne były korepetycje. Udzielałem ich jeszcze przez kilka lat po skończeniu studiów doprowadzając do matury uczniów, których zaczynałem uczyć jako student. Większości mych uczniów korepetycje nie były potrzebne, o czym uczciwie informowałem ich rodziców, ale oni „na wszelki wypadek” nie rezygnowali z mych lekcji. W jednym wypadku stanowczo odmówiłem kontynuowania korepetycji, bo mój podopieczny nie chciał się po prostu uczyć. Próbowałem go przekonać na własnym przykładzie, jak dużo można zyskać dysponując wiedzą.

– Popatrz – mówiłem – ja tu z tobą rozmawiam, a co 2 minuty do mojej kieszeni wpada złotówka.

To go zastanowiło, ale po chwili odpowiedział:

– Ale to mój tata wrzuca te złotówki, a on nie skończył nawet szkoły podstawowej i jest bogaty. To ja proponuję – kontynuował – żebyśmy sobie opowiadali kawały zamiast się uczyć. Pan zarobi swoje, a ja będę miał święty spokój.

Gdy powtórzyłem mamie ucznia jego słowa, ona w dalszym ciągu namawiała mnie do kontynuowania lekcji.

– Wiem, że z tej nauki nic nie będzie – mówiła – ale przynajmniej syn spędzi kilka godzin w kulturalnym towarzystwie.

Moja stanowcza odmowa zaowocowała propozycją wysłania mnie z uczniem na miesięczny pobyt w Zakopanym lub

innym dowolnym kurorcie za odpowiednio wysoką opłatą. Też odmówiłem.

* * *

Mój rocznik na studiach był pierwszym, który studiował według zmienionego systemu studiów z dwustopniowego, tj. najpierw inżynierskiego a dopiero potem magisterskiego, na jednolity, po którym otrzymywało się dyplom magistra inżyniera. Na Wydział Elektryczny PW przyjęto nieco ponad 200 studentów, w tym kilkanaście kobiet. Podzielono nas na 8 grup, w których składzie odbywaliśmy ćwiczenia laboratoryjne i rachunkowe, natomiast wykłady były prowadzone dla całego roku. Udział w ćwiczeniach był obowiązkowy, a na wykłady też uczęszczaliśmy prawie w stu procentowym składzie, bo notatki z wykładów były podstawowym materiałem do nauki ze względu na generalny brak podręczników. Tak duża liczba studentów ledwie mieściła się w niektórych audytoriach. Było rzeczą normalną, że gdy zmiana wykładu powodowała konieczność przejścia do innego audytorium, to najpilniejsi studenci biegli, by zająć miejsce w pierwszych rzędach, skąd lepiej było widać zapisy na tablicy i lepiej było słyhać.

Pamiętam jednego z takich pilnych studentów, któremu zwykle udawało się zająć miejsce w pierwszym rzędzie, skąd śledził uważnie wykłady. Matematykę wykładał docent Roman Hampel według podręcznika prof. Witolda Pogorzelskiego. Był to jeden z nielicznych podręczników, jakie mieliśmy do dyspozycji i ów pilny student cały czas porównywał wzory wypisywane na tablicy z zapisem w podręczniku. Gdy docent się gdzieś pomylił, student podnosił rękę i z mądrą miną mówił:

– Najmocniej przepraszam, ale wydaje mi się, że tam zamiast minusa powinien być plus.

Docent przepraszał za pomyłkę i poprawiał wzór, aż któregoś razu, zamiast poprawić powiedział:

– Nie, nie ma pomyłki. Obawiam się, kolego, że nie zajął pan do umieszczonej na końcu książki erraty.

Innym pilnym studentem był późniejszy profesor N., który za wszelką cenę chciał mieć same piątki. Gdy po ustnym egzaminie z części maszyn prof. Gutkowski ocenił jego odpowiedź na cztery, a N. powiedział, że chciałby uzyskać piątkę, profesor się zdenerwował i rzucił w niego słuchawką od telefonu. Na szczęście przewód był krótki i pocisk nie doleciał do celu. Czwórkę uzyskał N. również na egzaminie z wytrzymałości materiałów (albo z mechaniki – nie pamiętam dokładnie) i gdy zgłosił chęć poprawienia egzaminu na piątkę, egzaminator – doc. Zygmunt Konarzewski, znany z poczucia humoru, popatrzył na niego wnikliwie i powiedział tak:

– Proszę pana! Dziś mamy piątek przed południem, więc niech pan idzie do domu, zakuwa do wieczora, potem przez sobotę i niedzielę. W poniedziałek jest następny termin egzaminu, z pewnością przeciągnie się do popołudnia, bo jest dużo studentów, więc jeszcze całe rano może się pan uczyć. Niech się pan zgłosi koło pierwszej, to pana zapytam i zobaczymy, czy będzie pan umiał na piątkę.

N. pobiegł do domu i stawiał się w poniedziałek o pierwszej. Docent zadał mu jedno czy dwa pytania, poprosił o indeks i wpisując ocenę rzekł:

– Niestety, tylko cztery.

Bezpośrednim zwierzchnikiem doc. Konarzewskiego był prof. Bolesław Mayzel. Wykładał nam Mechanikę i Wytrzymałość materiałów. Doc. Konarzewski prowadził ćwiczenia z tych przedmiotów i pomagał profesorowi w przeprowadzaniu egzaminów. Jednym ze studentów mojego roku był Franek Mayzel – syn profesora Wiedząc, że ojciec jest wymagającym egzaminatorem bał się zdawać u niego i tak kombinował, by trafić na egzamin do docenta, co mu się udało. Doc. Konarzewski też solidnie go przepytał – czego byłem świadkiem przygotowując się do odpowiedzi i czekając na swoją kolejkę – i podając indeks profesorowi do wpisania oceny powiedział:

– Zdał na cztery.

– Chwileczkę – powiedział profesor – ja mam jeszcze dwa pytania. Zadał je, wysłuchał odpowiedzi i rzekł:

– Tylko trzy.

Ta scena wyraźnie wskazuje, że studenci będący synami pracowników Wydziału nie mogli liczyć na taryfę ulgową. Wiele lat później, gdy na Wydziale Elektrycznym studiował mój syn, to też podobnie kombinował jak Franek Mayzel, by nie mieć żadnych zajęć ze mną i nie zdawać u mnie żadnego egzaminu i to mu się udało. Gdy po skończeniu studiów spytałem go, czy miał łatwiej, czy trudniej z tej racji, że byłem profesorem na tym samym Wydziale a nawet jego dziekanem, odpowiedział, że średnio rzecz biorąc nie miało to znaczenia. Bywało, że go faworyzowano, ale bywało, że traktowano go ostrzej niż innych. Widocznie miałem tylu przyjaciół, co wrogów.

Nawiasem mówiąc mój starszy syn, Witold, który odziedziczył imię po mym ojcu a swym dziadku, był trzecim w rodzinnej sztafecie pokoleń studentem Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej. Mój ojciec w 1917 r. ubiegał się o przyjęcie go na Wydział Elektrotechniczny, który z braku kadr w tym czasie był częścią wspólnego Wydziału Budowy Maszyn i Elektrotechnicznego. W trakcie studiów dwukrotnie brał urlop, by walczyć o Lwów w 1919 r. i w wojnie 1920 r. jako lotnik-obszernik ręcznie rzucający bomby na nieprzyjaciela. Co ciekawe był przy tym takim krótkowidzem, że zawsze nosił w kieszeni zapasowe binokle, bo bez nich, gdyby mu spadły okulary, nie mógłby ich odnaleźć. Po wygranej wojnie ojciec wznowił studia, ale Politechniki nie ukończył. Ukończył Szkołę Główną Handlową w Warszawie i równoległe prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Mój syn Witek uzyskał doktorat i jest aktualnie adiunktem Wydziału Elektrycznego P.W. Może któryś z jego synów będzie czwartym studentem tego Wydziału? Mój młodszy syn, Zbigniew, gdy namawiałem go do studiowania elektrotechniki, powiedział, że trzech elektryków w rodzinie to za dużo i skończył Budownictwo Lądowe.

Przeciwnieństwem pilnego studenta był student Z., powtarzający trzeci raz pierwszy rok – nie wiem na jakiej łamiącej przepisach zasadzie. Ten nudził się na wykładach i

przepisy zasadzie. Ten nudził się na wykładach i organizował zakłady polegające na coraz głośniejszym wymawianiu przez kolejnych ich uczestników najpopularniejszego chyba w polskim języku, niecenzuralnego słowa zaczynającego się na literę k. Zwykle wygrywał, co doc. Hampel kwitował uwagą:

– Panie Z.! Pan znów się czymś zabawia!

* * *

Pierwsze dwie godziny moich zajęć przypadły na ćwiczenia z matematyki. Prowadził je asystent profesora Hampla, wówczas jeszcze inż. Zbigniew Ciok, student kursu magisterskiego. Dziś jest emerytowanym profesorem zwyczajnym, z którym od wielu lat łączą mnie więzy serdecznej przyjaźni. Zaczął od sprawdzenia poziomu naszej wiedzy z zakresu szkoły średniej. Na kolejnych zajęciach, zanim przystąpił do zadań związanych z programem wykładu, nauczył nas liczenia na suwaku logarytmicznym. Była to umiejętność bezwzględnie konieczna dla studiowania na technicznym wydziale. Zajęcia prowadził na wysokim poziomie, ale przystępnie i zrozumiale, cieszył się naszą sympatią. Podczas najbliższej sesji egzaminacyjnej był już po obronie pracy magisterskiej i egzaminował z matematyki równoległe z profesorem Hamplem. Trafiłem na egzamin do magistra Cioka i dostałem dwóję. Przyznaje: zasłużoną, bo nie miałem wtedy jeszcze wyczucia, jak solidną wiedzą trzeba dysponować, by zdać egzamin na Politechnice. Pamiętam ojcowską reprimendę opiekuna roku, prof. Stanisława Wocjana, który wygłosił ją wpisując mi do indeksu ocenę z egzaminu z przedmiotu "Kreślenia techniczne" i przestrzegając przed skutkami powierzchownego przyswajania wiedzy. Wziąłem sobie do serca tę uwagę. Ta dwójka z matematyki była jedyną niedostateczną oceną, jaką otrzymałem w czasie całych studiów. Egzamin zaliczyłem podczas sesji poprawkowej, ale ta dwójka bardzo dobrze mi zrobiła i do dziś jestem za nią wdzięczny.

* * *

Chciałbym przy tym podkreślić, że poziom wymagań był bardzo wysoki. Liczba przedmiotów egzaminacyjnych w semestrze sięgała 10, liczba dopuszczalnych poprawek nie mogła być większa od 2, pierwszego roku nie wolno było powtarzać. Liczba studentów zarejestrowanych na drugi rok niewiele przekroczyła połowę przyjętych. W efekcie tego spośród ponad dwustu osób, które rozpoczęły studia, ukończyło je 133 osoby, wliczając w to również tych, którzy ukończyli je z wieloletnim, czasem nawet dziesięcioletnim opóźnieniem, w trybie zaocznym, czy na innych wydziałach. Wśród nich był m.in. starosta naszego roku, przemysł Ludwik A., który nawet przetłumaczył z rosyjskiego pierwszy tom podstawowego podręcznika z podstaw elektrotechniki, a egzamin z tego przedmiotu oblał. Ludwik był od nas dużo starszy, a na studia przyszedł rezygnując ze służby wojskowej w stopniu kapitana. Po niepowodzeniach w Politechnice wrócił do służby wojskowej i skończył WAT. Gdy wspominam kolegów, których skreślono z listy w trakcie pierwszego roku lub później za brak dostatecznych postępów w nauce i porównuję poziom ich „niedostatecznej” według dawnych kryteriów wiedzy, z „dostateczną” wiedzą masy dzisiejszych studentów, to żal mi serdecznie jednych i drugich.

Podstawy Marksizmu – Leninizmu

Zajęć było bardzo dużo. Ich liczba w ciągu tygodnia przekraczała 30 godzin. Wykłady i ćwiczenia ze wszystkich przedmiotów przebiegały na ogół w podobny, typowy sposób i nie ma tu się nad czym rozwodzić, jednak jednemu z przedmiotów warto poświęcić więcej uwagi. Mam tu na myśli nieszczęsne „Podstawy Marksizmu-Leninizmu” w wymiarze, nie pamiętam 2 czy 4 godzin tygodniowo i 2 godzin ćwiczeń przez 2 semestry. Prowadził je mgr inż. A.S., zwany Asikiem. Był absolwentem kursu inżynierskiego naszego Wydziału i magisterium Uniwersytetu Warszawskiego. Tematem wykładu była głównie historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików. Podpadłem mu na pierwszych ćwiczeniach, gdy na zadawane kolejno wszystkim studentom pytanie, co przeczy-

tali z prac wielkiej czwórki, czyli Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, okazało się, że nikt niczego nie czytał, a ja zadeklarowałem, że przeczytałem 1. tom Kapitału. Rzeczywiście przeczytałem, bo propaganda wciąż bębniła na temat tego dzieła, więc chciałem wiedzieć, co tkwi w jego treści, a kupić można je było za jedyne 15 zł. Moje oświadczenie zostało potraktowane, jeśli nie jak kłamstwo, to przynajmniej z mającym mnie skompromitować kpiącym niedowierzaniem, ale odpowiedzi na kilka kontrolnych pytań wykładowcy wykazały, że jednak mówiłem prawdę. Dyskusje na ćwiczeniach z marksizmu stały na beznadziejnym poziomie. Po pierwsze tematyka była z gruntu rzeczy mieszaniną kłamstwa z propagandą, po drugie mało kto podzielał poglądy polityczne wykładowcy, po trzecie studenci Politechniki nie mieli raczej humanistycznych talentów. Jednym z wyjątków był niezwykle inteligentny oryginał, Józek Janowski – późniejszy działacz opozycyjny. Potrafił sparaliżować całe zajęcia wygłaszając szereg tez i zaprzeczających im antytez, ubierając swój bezsensowny słowotok w górnolotny, filozoficzny bełkot i prosząc na koniec o ustosunkowanie się do jego wypowiedzi. Wtedy już nikt łącznie z Asikiem nie był w stanie zabrać głosu. Sprawy się skomplikowały jeszcze bardziej, po słynnym referacie Chruszczowa ujawniającym zbrodnię Stalina. Wówczas towarzyszka Maria – zasłużona, ideowa komunistka kierująca mieszczącą się w Małej Auli PW czytelnia i biblioteką Marksizmu–Leninizmu – podobno popełniła samobójstwo. Asik tego nie zrobił, ale zmienił nieco ton i złożył przed studentami coś w rodzaju samokrytyki oświadczając, że o wielu wypaczeniach wiedział, jednak nie mógł głośno o nich mówić. Ciekawy przebieg miał ostatni, ustny egzamin, jaki zdawałem u niego. Zdawaliśmy we dwóch, z kolegą, który pełnił funkcję bodajże sekretarza partyjnej organizacji studenckiej.

– Oceniam wiedzę każdego z Panów na 4 i pół – rzekł egzaminator – ale ponieważ połówek się nie stawia muszę stopień zaokrąglić do wartości całkowitych, a więc Pan – tu zwrócił się do mnie – otrzymuje ocenę cztery czyli dobrą, a Pan – wskazał na kolegę – sekretarza – otrzymuje ocenę pięć czyli bardzo dobrą.

Nie wytrzymałem w tym momencie i parsknąłem śmiechem. Komentarza nie było. W późniejszych latach spotykałem dość często naszego wykładowcę marksizmu w pobliżu Politechniki. Zawsze się mu pierwszy kłaniałem, ale zauważyłem, że gdy mnie z daleka zobaczył, starał się unikać spotkania przechodząc przez jezdnię na drugą stronę ulicy.

* * *

Od czwartego roku studiów zaczynała się tzw. specjalizacja. Dzięki dobrym wynikom w nauce udało mi się dostać na „Miernictwo elektryczne i elektryczne przyrządy pomiarowe” – jeden z cieszących się największym powodzeniem kierunków specjalizacyjnych. Prowadził go doc. Stefan Lebson. Był wybitnym fachowcem w tej dziedzinie, z ogromną praktyką w przemyśle i świetnie wykładał. Prowadząc wykłady dla wąskiego, kilkunastoosobowego grona słuchaczy specjalizacji miał zwyczaj przerywać w pewnym momencie np. wyprowadzanie jakiegoś wzoru, kładł kredę przed jednym ze studentów i mówił:

– Proszę! Niech Pan wyprowadza ten wzór dalej.

W ten sposób mobilizował nas do uważnego śledzenia toku wykładu, a jednocześnie sprawdzał naszą wiedzę, możliwości itp. Nauczyłem się od niego bardzo dużo i nie tylko tajników metrologii elektrycznej, ale również sposobów radzenia sobie w nietypowych i trudnych, życiowych sytuacjach, aczkolwiek większość tej „pozaelektrycznej” wiedzy poznałem w późniejszych latach jako pracownik kierowanej przez doc. Lebsona Katedry Miernictwa Elektrycznego. Jednak tę „życiową” wiedzę przekazywał nam i w trakcie studiów. Przykładem może być jego ocena naszego zachowania podczas wycieczki do Zakładów „Lumel” w Zielonej Górze. Otóż zgodnie z jej planem we Wrocławiu dołączyli do nas studenci analogicznej specjalności tamtejszej Politechniki, ale nie znaleźmy ich, ani oni nas i obie grupy trzymały się raczej osobno, wybierając osobne przedziały w pociągu. Po wycieczce, na pierwszym wykładzie doc. Lebson ostro nas skarcił za taką postawę.

– Zmarnowaliście najważniejsze z tego, co miała Wam dać ta wycieczka – grzmiał docent – bo przecież nie była ona tylko po to, żeby zobaczyć, jak się produkuje mierniki. Chciałem, żebyście nawiązali kontakty z waszymi kolegami z Wrocławia, przecież tylko u nas i tam są liczące się specjalności w dziedzinie miernictwa elektrycznego, a osobiste znajomości wśród fachowców branży, w której będziecie pracować, są na wagę złota.

Podczas innej wycieczki studenckiej odwiedziliśmy m.in. jedno z licznych zakładów firmy „Inco” w Pyskowicach Śląskich, produkujące mostki pomiarowe, oporniki wzorcowe itp. Tam oniemiałem ze zdumienia, gdy w każdej hali produkcyjnej ujrzałem zawieszony na ścianie krzyż, a w dyrektorskim gabinecie dodatkowo portrety papieża i prymasa, a nie państwowych dostojników. Zaskakujące było, że w latach stalinizmu firma „Inco” produkująca wszystko – od pasty do butów po głowice ultradźwiękowe – należąca do niezależnego od kościelnej hierarchii katolickiego stowarzyszenia „Pax”, kierowanego przez przedwojennego falangistę Bolesława Piaseckiego, mogła sobie na to pozwolić. Dodajmy, że zatrudniała wielu byłych żołnierzy AK, którzy gdzie indziej nie mogli znaleźć pracy. Ale w Politechnice Warszawskiej, w Katedrze Wysokich Napięć sekretarką prof. Janusza Lecha Jakubowskiego, członka Komitetu Centralnego PZPR, była Danuta Zjawińska, też żołnierz AK, żeglarka, wyrzucona z pracy w Polskim Związku Żeglarskim, jego działaczka, której powiedziano:

– Wy, Zjawińska, w PRL żadnej pracy nie dostaniecie!.

Opowiadała mi o tym w późniejszych latach, gdy współpracowaliśmy po jej powrocie do pracy w PZZ po 1956 r. Takie były paradoksy PRL.

Przypadek Jurka Stokowskiego

Rok niżej ode mnie, na tym samym Wydziale studiował wspominany w rozdziale „Wojna” Jerzy Stokowski – syn właścicieli klucza posiadłości koło Grodziska Mazowieckiego,

którzy przygarnęli mnie z mamą po Powstaniu Warszawskim. Był starszy 5 czy 6 lat ode mnie, więc zdziwiłem się, że dopiero rozpoczyna studia. Opowiedział mi wówczas, że zaraz po zdaniu matury został aresztowany za przynależność do nielegalnej, szkolnej organizacji i skazano go na 10 lat. Mówił, że to i tak nie dużo. W celi, w której siedzieli ok. dwudziestu, średnia wyroku była wyższa od średniej wieku. Były też wyroki śmierci. Opowiadał, jak spośród jego trzech więziennych partnerów do bridża najpierw wywołano z celi jednego. Kontynuowali grę we trzech, „z dziadkiem”. Potem wywołano następnego, więc dalej grać się nie dało, a na końcu trzeciego. Na wszystkich kolejno wykonano wyroki śmierci. Więzienna gra w bridża odbywała się bez kart, czyli „wirtualnie”, choć wówczas nie znano jeszcze tego określenia. Jedynie rozdanie kart było prawie normalne. Prawie, bo kartami były odpowiednio poznaczone zapałki. Posługiwano się nimi wyłącznie przy rozdaniu, a cała dalsza gra odbywała się w pamięci, by zaglądnący przez „judasza” strażnik nie mógł się zorientować, że więźniowie oddają się zakazanej rozrywce. Uczyniło to z Jurka takiego mistrza, że w czasie studiów osiągał znaczące dochody z gry w bridża. Większa część odsiedzianych przez niego lat przypadła na pobyt w Jaworznie, w byłej filii oświęcimskiego obozu. Przez Jaworzno przewinęło się ok. 10 tys. młodych ludzi, skazanych za przynależność do młodzieżowych organizacji antykomunistycznych. Był to obóz pracy, m.in. w kopalni, ale i eksperyment polegający na „resocjalizacji wrogiego klasowo elementu”. Eksperyment nieudany, ale dający np. możliwość nauki w technikum, z czego Jurek skorzystał. W 1955 r. w Jaworznie wybuchł bunt spowodowany zastrzeleniem więźnia, który przekroczył rozciągającą się wzdłuż ogrodzenia strefę zakazaną. Bunt stłumiono po kilku dniach, a obóz zlikwidowano. Wydarzenie to opisał Kazimierz Koźniewski w wydanej w 1968 r. książce „Bunt w więzieniu”, ale przeinaczył wydarzenia, więźniów politycznych przekształcił w kryminalnych. Jurka zwolniono po odsiedzeniu ok. połowy kary. Postanowił podjąć studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, złożył papiery i zdał egzamin z wynikiem kwalifiku-

jącym go do przyjęcia na studia. Wtedy jeden z członków komisji rekrutacyjnej, reprezentujący dzielnicowy komitet PZPR, doszukał się w życiorysie Jurka pięcioletniej, niczym niewyjaśnionej luki. Bez trudu ją wyjaśnił i zażądał skreślenia Jurka z listy studentów. Wtedy przewodniczący komisji, doc. Stefan Lebson, zaprotestował rzucając na szalę cały swój autorytet.

– Chłopak pobłądził – powiedział – został za to ukarany, swoje odsiedział, egzamin zdał dobrze i ma prawo studiować. Gdy przedstawiciel komitetu dzielnicowego dalej się upierał przy swoim, Lebson sięgnął po ostateczny argument:

– Towarzysz Lenin nie podzieliłby waszego zdania – wy-palił.

Ze zdaniem Lenina towarzysz z komitetu nie ośmielił się już polemizować. Tę historię opowiadał mi jeden ze świadków ich rozmowy, a doc. Lebson, który był później promotorem mej pracy magisterskiej i doktorskiej oraz przez lata mym zwierzchnikiem, potwierdził ten fakt. Nawiasem mówiąc doc. Lebson rozumiał sytuację Jurka, jak rzadko kto, bo sam był w latach czterdziestych XX w. karany „zgodnie z prawem obowiązującym w ZSRR za samowolną zmianę miejsca osiedlenia” i musiał się tak właśnie z tego tłumaczyć w personalnych ankietach wypełnianych jeszcze kilkadziesiąt lat po tym.

Gdy spotkałem Jurka już po ukończeniu studiów, pracował w jakimś przemysłowym zjednoczeniu.

– Jak Ci się powodzi? – zapytałem – Czy nie masz kłopotów związanych z życiorysem?

– Ależ nie – odpowiedział – Ponieważ skończyłem też prawo, które zacząłem studiować jeszcze przed zrobieniem dyplomu na Elektrycznym, to jestem w zjednoczeniu bardzo ceniony. Zwłaszcza przez pierwszego sekretarza PZPR, któremu piszę wszystkie przemówienia, bo to prawie analfabeta.

Październikowa odwilż 1956 r.

Przemiany 1956 r. przewietrzyły zatęchłą atmosferę ostrożności, wzajemnej nieufności i podejrzliwości stwarzaną przez niektórych działaczy młodzieżowych, martwej w prakty-

ce, ale dotąd niebezpiecznej organizacji Związku Młodzieży Polskiej. Skończyły się akcje tzw. "Brygad Lekkiej Kawalerii" wywieszających „gazetki wielkich hieroglifów” piętnujące niewłaściwe postawy itp. Mogliśmy wreszcie głośno i bez obawy wyrażać swoje poglądy i korzystaliśmy z tego. Nie mógł tego zrozumieć An – Ben – Dżan, jeden z dwóch studiujących z nami studentów z Korei Północnej.

– Jak możecie tak mówić o swoim przywódcy? – oburzał się słysząc, jak ktoś z nas powiedział, że Cyrankiewicz powinien stanąć przed sądem za wypowiedź o ucinaniu rąk po wypadkach poznańskich. An-Ben-Dżan miał słuszne klasowo pochodzenie i w grupie Koreańczyków mieszkających w Domu Akademickim był kimś w rodzaju ich przełożonego, czy sekretarza partii. Jego przeciwieństwem był pochodzący z Phenianu inteligent Hon –Gen – Su, delikatny, uzdolniony muzycznie, bardzo ostrożny w wypowiedziach. Hon –Gen – Su odwiedził Polskę wiele lat później – był docentem na Politechnice w Phenianie.

Rok 1956 wśród wielu innych zmian przyniósł oficjalnie rozwiązanie ZMP. Pokój zajmowany przez zarząd ZMP na wydziale przydzielono Zrzeszeniu Studentów Polskich, a w tym pokoju została szafa z dokumentami. Miałem okazję do niej zajrzeć i przejrzeć swoją teczkę personalną. Przeraziły mnie znajdujące się tam donosy i polityczna charakterystyka mojej osoby. Po przemyśleniu postanowiłem skonfiskować tę teczkę, ale gdy poszedłem tam nazajutrz, szafa była pusta.

Po dwóch latach marksizmu, na 5. semestrze nastąpiła „Ekonomia polityczna”. Wysłuchałem tylko jednej, pierwszej godziny wykładu. Prowadził go ktoś z niedawnej jeszcze epoki i w beznadziejnym stylu. Zaczął od przekonywania nas, że zysku nie można osiągnąć w żaden inny sposób, jak tylko i wyłącznie w procesie produkcji. Wtedy jeden ze słuchaczy zauważył, że ogromne zyski osiąga się w domach publicznych, a tam się niczego nie produkuje. Wykładowca się zdenerwował, zareagował histerycznie, przerwał wykład i wyszedł. Wyszedłem i ja. Przyznam, że nie interesowałem się dalszym przebie-

giem tego przedmiotu do końca semestru, zwłaszcza, że miał być on kontynuowany w następnym semestrze, po czym zaplanowano łączny egzamin. Na kontynuowany wykład z „Ekonomii Politycznej” na semestrze 6. też nie zamierzałem chodzić, ale przypadkiem znalazłem się na pierwszej godzinie tego wykładu. Po prostu musiałem dokończyć opracowanie sprawozdania z jakiegoś laboratorium i nie miałem gdzie się rozłożyć z papierami i protokołem pomiarów. Postanowiłem ulokować się na ławce z tyłu audytorium, gdzie wykład by mi nie przeszkadzał. Tak zrobiłem. Tymczasem do sali wszedł zupełnie inny wykładowca niż ten z zeszłego semestru. Był to doc. J. Nowicki. Przedstawił się, powiedział, że w minionym okresie nie pozwolono mu wykładać, a nawet spędził jakiś czas w odosobnieniu, zaapelował żebyśmy zapomnieli o tych wszystkich bzdurach, których dotychczas nas uczono pod hasłem „Ekonomia polityczna”, a on nam wyłoży prawdziwą ekonomię. Przypomnijmy: był to już rok 1957. Zaczął wykład. Mówił tak interesująco, ze swadą, dowcipnie. Odłożyłem sprawozdanie na bok i zacząłem notować. Do końca semestru nie opuściłem ani jednej godziny wykładu. Ale zdanie egzaminu z ekonomii nie było łatwe. Pierwsza grupa chętnych przekonała się, że prawdziwa ekonomia to nie marksistowsko-leninowskie ple-ple-ple i poległa w całości. Byłem zapisany na egzamin wraz z kilkoma innymi osobami w następnym tygodniu. Docent zaprosił nas do gabinetu, usadził wokół stołu, po czym zdjął z bibliotecznej półki kilka grubych tomów. Zamarliśmy ze zgrozy, ale docent położył te tomy jeden na drugim na wolnym krześle, wdrapał się na nie i usiadł na wierzchu. Był człowiekiem ułomnym i tak drobnej postury, że gdyby nie te tomy, to siedząc na krześle sięgałby do blatu stołu najwyżej brodą. Odetchnęliśmy, ale tylko na chwilę. Egzamin był solidny, trwał dość długo. Zdałem na 4. Wiedza wyniesiona z tego wykładu przydała mi się również przy doktorskim egzaminie z ekonomii.

Ten doktorski egzamin zdawałem u prof. Szeflera. Musiało się to odbywać przed komisją, w której skład wchodził również mój promotor doc. Stefan Lebson. Po egzaminie toczyła

się towarzyska rozmowa przy kawie. Nawiązano przy tym do czasów okupacji niemieckiej i prof. Szefler powiedział, że musiał się wtedy ukrywać, bo z racji niemieckiego pochodzenia chciano go zmusić do podpisania volkslisty. Doc. Lebson, który nigdy nie ukrywał tego, że jest Żydem, a nawet się tym szczycił, powiedział z przekąsem:

– Myślę, że Pan Profesor musiał się ukrywać z zupełnie przeciwnego powodu.

Profesor Szefler zaprzeczył i zmienił temat pytając mnie o moje plany żeglarskie na lato, jako że obydwaj byliśmy członkami Jacht Klubu Politechniki Warszawskiej. Po wyjściu z gabinetu profesora zirytowany doc. Lebson powiedział:

– Panie! Z niego jest taki Niemiec, jak ze mnie Arab. Przyszedłem na ten egzamin, żeby Pana w razie czego wesprzeć, ale widzę, że niepotrzebnie, bo jesteście kumplami z klubu.

– Jakimi kumplami? – udałem oburzonego. – Ja jestem jachtowym kapitanem żeglugi wielkiej, a prof. Szefler ma zaledwie stopień żeglarza.

Doc. Lebsona i niektórych innych nauczycieli akademickich charakteryzowała pewna indywidualność, oryginalność zachowań, poczucie dowcipu. Jednak tych „kolorowych postaci” nie było wiele, bo władza w tamtych czasach niechętnie patrzyła na ludzi odbiegających od sztampy i skutecznie tłumiała jednostki nietypowe. Późniejsze czasy sprzyjające awansowaniu miernoty też nie mogły zaowocować wysypem postaci, o których krążą anegdoty, nie mówiąc już o legendach. Ale tych „nietuzinkowych” zupełnie nie zabrakło. Zainteresowanych odsyłam do poświęconemu im zbioru anegdot, wśród których jest sporo zebranych przeze mnie o pracownikach mojego Wydziału.*

* Edmund Pluciński: Refleksja i uśmiech. Anegdoty i pracownikach i studentach Politechniki Warszawskiej. Oficyna Politechniki Warszawskiej, Warszawa 2001.

Rok 1956 był, jak wiadomo, rokiem ogromnych przemian politycznych w Polsce. Najpierw wstrząsnęły Krajem krwawo stłumione przez władzę wydarzenia czerwcowe w Poznaniu. Reakcji środowiska studenckiego wobec tych wydarzeń właściwie nie było, bo sesja egzaminacyjna już się skończyła i uczelnia opustoszała. Natomiast Październik roku 1956 zapisał się w historii Politechniki Warszawskiej szeregiem wieców studenckich, bardzo ostrych w swej wymowie, ale niezwykle dojrzałych pod względem świadomości historycznej i odpowiedzialności. Odbywały się przez szereg dni, codziennie w Dużej Auli Gmachu Głównego Politechniki i gromadziły kilka tysięcy osób. Brał w nich udział Lechosław Goździk – ówczesny I sekretarz PZPR Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, która była jednym z najważniejszych miejsc społecznego buntu przeciw dotychczasowej polityce władz. Był wspaniałym trybunem ludowym, świetnym i dowcipnym mówcą, a nade wszystko rozsądnym człowiekiem. Gdy w obliczu sygnalizowanej możliwości wkroczenia do Warszawy radzieckich wojsk ktoś rzucił hasło „Na studium wojskowe! Po broń!”, Goździk natychmiast powstrzymał, raczej entuzjastę niż prowokatora.

– Na to jest jeszcze czas – powiedział – Jeżeli będzie potrzeba zablokujemy mosty naszymi samochodami z Żerania.

– Niech żyje Goździk! – odkrzyknęli zebrani.

– Dziękuję! Obiecuję, że postaram się żyć tak długo, jak tylko to będzie możliwe – odpowiedział zyskując sympatię, aplauz i zaufanie sali.

Później był pamiętny wiec mieszkańców Warszawy na Placu Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki oraz entuzjastycznie przyjęte przemówienie Władysława Gomułki, który stanął na czele reformatorskiego skrzydła władz partii i Państwa. Mój entuzjazm wygasł już w następnym roku przy pierwszych wyborach. Nazwisko Goździka ujrzałem na ostatnim miejscu listy wyborczej zawierającej więcej kandydatów do Sejmu niż miejsc, co przekreślało jego szanse, bo Gomułka zaapelował o głosowanie bez skreśleń.

Ciekawe były dalsze losy Goździka ilustrujące naiwność nadziei na rzeczywiste zamiary zreformowania Państwa. Kryty-

kował Gomułkę, więc szybko przestał być sekretarzem PZPR w FSO, ale partyjni i bezpartyjni pracownicy wciąż przychodzili do niego konsultować swoje działania, czy po radę. To nie mogło się podobać władzom i Goździk zaczął mieć kłopoty. M.in. pracujący w FSO jego brat został poproszony przez prowokatora, by wypróbował samochód, który tamten rzekomo zamierzał kupić. Wyjechał nim w tym celu za bramę – pewnie nieformalnie, ale bez przestępczych zamiarów – a tam już czekała milicja. Nazajutrz prasa doniosła, że Goździka z Żerania przyłapano na próbie kradzieży samochodu. Imienia nie podano. Wszyscy oczywiście skojarzyli to nazwisko z Lechosławem. Przestał być członkiem partii, stracił pracę. Widząc, że w Warszawie nie dadzą mu spokojnie żyć, przeniósł się w Bieszczady, a potem do Świnoujścia. Tam pracował jako rybak, skończył kurs szyprów i dzięki pomocy życzliwych ludzi udało mu się kupić za symboliczną złotówkę wycofany z eksploatacji kuter. Wyremontował go i łowił ryby. W latach dziewięćdziesiątych wybrano go dwukrotnie przewodniczącym Rady Miejskiej Świnoujścia. Jego działalność w Świnoujściu wywoływała krańcowo sprzeczne oceny.

Wiele wskazuje na to, że chyba spotkałem się z nim w latach jego rybaczenia w Świnoujściu. Cumowałem jachtem w basenie Certy, gdy przyplłynął kuter, którego szyper zażądał, żebym odcumowałem, bo chce stanąć na moim miejscu. Odmówiłem. Wtedy zagroził, że dobije do mojej burty, co groziło uszkodzeniem. Nie zgodził się, bym to ja zacumowałem do jego burty. Musiałem ustąpić i stanąć jachtem w niekorzystnym miejscu, narażonym na spore zafalowanie. Gdy szyper zszedł z pokładu, a ja głośno kląłem na takie jego zachowanie, ktoś miejscowy powiedział mi, że nie ma się co dziwić, bo Goździk taki już jest. Było mi przykro, że mój idol z 1956 r. potraktował mnie w tak grubiański sposób, ale nie rozpoznałem go i nie mam stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście to był on.

Rok 1957

Rok 1957 przyniósł zupełne rozczarowanie polityką Gomułki. Falę studenckich strajków wywołało zamknięcie studenckiego tygodnika „Po prostu”. Uliczne demonstracje milicja rozpędzała bezlitośnie przy użyciu pałek, petard, świec dymnych i gazu łzawiącego. Tłum też nie pozostawał dłużny, nacieirał na milicję, odrzucał w jej stronę świece dymne, rzucał kamieniami i wznosił okrzyki. W pewnym momencie szybkie natarcie milicji od Placu Politechniki wzdłuż ulicy Śniadeckich utrudniło mi wycofanie się przez zwężone przejście na Plac Konstytucji, więc schroniłem się z kilkoma osobami na klatce schodowej wychodzącej bezpośrednio na ulicę. Po kilku minutach milicja cofnęła się. Pozostaliśmy w środku strefy niczyjej: w głębi ulicy stał kordon milicjantów, przejście na Plac Konstytucji tarasowali demonstranci. Wówczas jeden z milicjantów wyszedł z kordonu, podszedł do drzwi służącej nam za schronienie klatki schodowej, otworzył drzwi i przemieszczając się w głąb klatki schodowej grzecznie przepraszał mijanych ludzi. Jakieś podejrzenie zaległo się w mym mózgu i na wszelki wypadek przesunąłem się jak najbliżej drzwi, ale zanim zdołało się do końca wykrystalizować, milicjant minął ostatnią osobę, odwrócił się z zaczął bić od tyłu po głowach, plecach, barkach. Błyskawicznie wypadłem na ulicę i zdążyłem uniknąć ciosów pałek kilku milicjantów czających się pod ścianą obok wejścia. Pozostałe osoby zbito bez litości. Schroniłem się w tłumie blokującym przejście na MDM. Ta perfidia milicji zdecydowała, że postanowiłem sięgnąć po ostrzejsze od słów środki protestu. Pognałem do domu, gdzie miałem schowane petardy i świece dymne „zaoszczędzone” w trakcie ćwiczeń wojskowych. Niestety, albo na szczęście, nie znalazłem ich. Mama była szybsza. Już wcześniej odkryła mój arsenał, słysząc i widząc, co się dzieje na mieście, bezbłędnie przewidziała moją reakcję i kilka godzin wcześniej wyrzuciła go do miejskiego kosza na śmieci. Nie chciała powiedzieć, do którego.

Teren Politechniki pozostawał przez kilka dni w oblężeniu przez milicję. Dochodziło do bardzo ostrych, słownych, a nawet prób fizycznych starć w drzwiach wejściowych do Gmachu Głównego, ale milicja nie zdecydowała się na ich sforsowanie. Czy powstrzymały ją nasze ustne groźby, czy widok studentów uzbrojonych w taborety, czy odgórny zakaz naruszenia zagwarantowanej prawem eksterytorialności uczelni – nie wiem. Podobnie, choć dużo ostrzej przebiegała sytuacja w Domu Akademickim na Placu Narutowicza. Tam podobno studenci wzięli do niewoli, a następnie wypuścili, dwóch oficerów milicji, którzy zagalopowali się przekraczając próg drzwi wejściowych, Poszły w ruch gaśnice itp. Mówiono, że jedna z nich zrzucona z wysokiego piętra spowodowała śmierć milicjanta, ale nie jestem tego pewien.

Wydarzenia marcowe 1968 r.

Następny taki strajk i wiece przeżyłem już jako pracownik Politechniki podczas wydarzeń marcowych w 1968 roku. Przyczyny i mechanizmy tych wydarzeń, polegające na rozgrywkach personalnych i antysemitkich wewnątrz grupy sprawującej w Polsce władzę, nie były znane ani studentom, ani reszcie społeczeństwa. Jednak zdjęcie mickiewiczowskich „Dziadów” z repertuaru Teatru Polskiego i pałowanie przez „aktyw robotniczy” występujących przeciw temu studentów Uniwersytetu Warszawskiego było wystarczającym impulsem protestu przeciw nie lubianej władzy. Oczywiście wraz z większością nauczycieli akademickich popierałem studencki strajk, ale pracownicy Politechniki oficjalnie nie strajkowali, więc nasza sytuacja była kłopotliwa. Wybrnąłem z niej w prosty sposób. Nie miałem trudności z porozumieniem się ze studentami, więc gdy przychodziłem na wykład zastawałem pustą salę, a na tablicy napis wykonany, jak wiem, ręką Tomka Radowskiego: „Przepraszamy za nieobecność, strajkujemy”. W ten sposób wilk był syty, czyli studenci mogli spokojnie strajkować mając moją aprobatę, a owca cała, bo chronili moją skórę.

Postawy pracowników były jednak różne. Jeden z moich zwierzchników notował nazwiska podwładnych uczestniczących w wiecach. Inna pani profesor, obecna na wiecu, zabrała głos tak zaczynając swe przemówienie:

– Studenci! Dwie rzeczy są święte dla każdego Polaka. Po pierwsze: niepodległość!

Tu przerwała na chwilę, by wysłuchać rześzystych braw i okrzyków aplauzu. Gdy sala ucichła, pani profesor mogła przystąpić do kontynuacji przemówienia, ale tylko na chwilę, bo następane zdanie brzmiało:

– Drugą świętością Polaków jest socjalizm!

I to było ostatnie zdanie jej przemówienia. Huragan gwizdów następnego zdania już nie pozwolił jej wygłosić.

W czasie tych wszystkich strajków ze studentami solidaryzowała się ludność Warszawy. Przynoszono im jedzenie, napoje, pobliska cukiernia Wróbla dostarczała ciastka. Natomiast ciekawym paradoksem strajku walczącego m.in. o wolność słowa i zniesienie cenzury było wprowadzenie przez Komitet Strajkowy wewnętrznej cenzury wywieszanych w oknach haseł (sic!). Miało to oczywiście na celu eliminację prowokacji. Takie niebezpieczeństwo było realne, bo władza wprowadzała do uczelni swoich agentów. Byli oni zaopatrzeni w autentyczne legitymacje studenckie, których udostępnienia władzom administracja uczelni nie mogła odmówić. Jednak nowiutkie legitymacje budziły podejrzenia studenckich służb porządkowych, które sprawdzały przy wejściu dokumenty każdego nieznanego im studenta. W przypadku najmniejszych podejrzeń przywoływano kogoś z wydziału, na którym miał studiować podejrzany i ten ktoś zadawał mu kilka pytań typu: „Kto wykłada materiałoznawstwo na 3. roku?”. Sprawa się wyjaśniała natychmiast i jeśli to był agent, wyprawiano go kilkoma kopniakami z powrotem za drzwi. Ci, którym mimo wszystko udało się przeniknąć do wewnątrz lub byli autentycznymi studentami, musieli przekazywać informacje swoim szefom. Robili to za pomocą miniaturowych radiotelefonów,

oczywiście z odosobnionych miejsc, czyli najczęściej z toalety, więc wiadomo było, gdzie ich szukać. Namierzali ich swym sprzętem radiowcy z Wydziału Elektroniki, zdradzały odcisnięte ślady na szyi od mikrofonów, ostatecznie demaskowała osobista rewizja.

A propos agentów będących rzeczywiście studentami. Rok niżej ode mnie, na tej samej specjalizacji oficjalnie studiował sierżant milicji, który otrzymał płatny urlop z pracy na czas studiów. Był o kilka lat starszy od nas i dobrze się uczył, tylko manier mu brakowało. Po obronie dyplomu przyszedł do swego promotora. Przyniósł pół litra i powiedział:

– No teraz ja jestem magistrem tak jak Pan, to się napijmy jak magister z magistrem.

Był bardzo zdziwiony odmową. Po skończeniu studiów wrócił do pracy w milicji. Co tam robił nie wiem, ale spotkałem go parę razy w kilkuletnich odstępach czasu w pobliżu Komendy Głównej MO na ul. Puławskiej, bo mieszkalem niedaleko tego miejsca. Witął mnie bardzo serdecznie, wymienialiśmy informacje o zdrowiu i stanie rodzinnym, a potem następowała niezmienna litania jego pytań i moich odpowiedzi:

– To ile teraz zarabiasz?

– Tyle a tyle.

– O to mało. Ja zarabiam więcej. A jakie masz mieszkanie?

– Takie a takie.

– O to ja mam większe. A masz daczę?

– Nie mam.

– A ja mam nad Zalewem Zegrzyńskim. Czym jeździsz?

– Tramwajem. Nie mam samochodu.

– A ja mam Poloneza. A jakie znasz języki?

– Angielski, niemiecki, rosyjski ...

– Nie o to chodzi. Ja znam Intercall i Fortran. A ile masz patentów?

Moja odpowiedź na to pytanie szybko kończyła rozmowę, bo zwykle do kilkunastu faktycznie posiadanych dołączałem jeszcze z dziesięć nieistniejących i suma widocznie przewyższała

osiągnięcia mego rozmówcy w tej dziedzinie. Szybko się żegnał nie ryzykując dalszymi pytaniami straty przewagi nade mną, uzyskanej w wyniku poprzednich pytań.

Strajk 1968 r. zakończył się w wyniku negocjacji rektora ze studentami i władzami. Strajk przerwano, a studenci zostali odwiezieni autokarami do domów akademickich. Do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy milicja nie złamie warunków ugody i nie zacznie aresztowań i pałowania, ale nie było żadnych incydentów. Indywidualne represje następowały później.

Stan wojenny 1981 r.

Z przypadkami indywidualnych represji po wydarzeniach marcowych 1968 r. bezpośrednio się nie zetknąłem i wiem o nich tylko tyle, ile ogólnie wiadomo o naciskach do emigracji na osoby pochodzenia żydowskiego usunięte z zajmowanych uprzednio wysokich stanowisk. Chciałbym jednak opisać mechanizm takich represji z okresu wybiegającego poza czas moich studiów, a mianowicie z okresu stanu wojennego. Tak się złożyło, że jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego zostałem wybrany i mianowany przez prof. Findeisena – rektora Politechniki – jednym z rzeczników dyscyplinarnych dla studentów. Sprawy, które z racji tej funkcji trafiały do mnie były typowymi wybrykami studenckimi powodowanymi brakiem kultury, nieopanowaniem czy alkoholem. Ale z chwilą wprowadzenia stanu wojennego do rzeczników dyscyplinarnych poczęły trafiać sprawy związane z zatrzymaniami przez milicję studentów biorących udział w demonstracjach, rozrzucaniu ulotek czy malowaniu haseł w rodzaju „WRON won za Don”. Przypominam: WRON to skrót nazwy Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego powołanej przez gen. Jaruzelskiego. Wraz z pozostałymi rzecznikami odmówiłem rozpatrywania tych spraw i podałem się do dymisji, jednak powiedziano nam, że dymisja może zostać przyjęta tylko razem z dymisją z pracy. Na to trudno było się zdobyć, zatem postanowiliśmy po prostu umarzać kierowane do nas sprawy o politycznym charakterze. Jednak

Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego zawieszało zatrzymywanych przez policję w prawach studenta do czasu rozpatrzenia ich sprawy przez Komisję Dyscyplinarną. A umorzenie sprawy nie było tożsame z rozpatrzeniem przez Komisję Dyscyplinarną, natomiast przed Komisją nie można postawić studenta bez wysunięcia przeciw niemu oskarżenia. Innymi słowy uniemożliwiano im studiowanie do czasu wyroku Komisji Dyscyplinarnej licząc zresztą na to, że wyrok ten będzie polegał na skreśleniu ich z listy studentów. To była perfidna metoda wykorzystująca bezduszną, prawną procedurę, zmuszającą do wyboru: albo kara i ewentualnie dalsze studia, albo rezygnacją ze studiowania. Jednak udało się nam nie tyle przeciąć, co rozwiązać ten gordyjski węzeł. Najpierw oskarżałem studenta, a gdy stanął przed Komisją, pytałem, czy poniósł już jakąś karę za zabroniony czyn. Okazywało się, że tak. Był to albo mandat, albo ustne upomnienie od dziekana. Wtedy zmieniałem zdanie i wycofywałem wnioski o ukaranie, bo dwa razy za to samo karać nie wolno. Sprawę umarzano, a student mógł wrócić na studia, bo jego sprawa była rozpatrywana przez Komisję.

Praktyki

Czasokres i forma praktyk studenckich na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej ulegały radykalnym zmianom wraz z modyfikacjami programów nauczania i wpływem lat. Ostatnio, wobec ograniczenia państwowego przemysłu i braku pieniędzy, prawie zupełnie z nich zrezygnowano.

W czasie moich studiów praktyki odbywaliśmy po każdym roku studiów z wyjątkiem roku czwartego, po którym obowiązywał sześciotygodniowy obóz wojskowy. Praktyki były różnorodne, a ich wybór spory, przy czym na bardziej atrakcyjne, np. w Porcie Gdańskim, nie było łatwo się dostać.

Po pierwszym roku wybrałem wraz z kilkoma kolegami praktykę w przedsiębiorstwie elektryfikacji rolnictwa. Zostaliśmy przydzieleni do brygady elektryfikującej wieś Netta położoną kilka kilometrów od Augustowa. Praktyka ta była

atrakcyjna pod względem finansowym, bo oprócz normalnego wynagrodzenia w wysokości 420 zł, jakie otrzymywaliśmy za każdą miesięczną praktykę, przysługiwał nam jeszcze dodatek za rozłąkę z rodziną oraz wynoszące 8 zł dziennie koszty wynajęcia mieszkania, gdyż praca była wykonywana poza siedzibą firmy. Biorąc pod uwagę, że mieszkaliśmy u miejscowych gospodarzy – jedni w stodole, ja z Andrzejem Bartoszewiczem na sianie nad stajnią – i płaciliśmy im za to 6 zł dziennie wraz z całodziennym wyżywieniem, zarobek był spory. Wystarczył mi m.in. na zakup butów narciarskich, które kosztowały ponad 700 zł i służyły mi przez 10 lat. Warto tu zaznaczyć, że ówczesne buty narciarskie były używane nie tylko do jazdy na nartach, ale do normalnego chodzenia przez całą zimę.

Najpierw, podzieleni na dwuosobowe zespoły, zostaliśmy dołączeni do również dwuosobowych ekip zakładających instalację elektryczną natynkową, w tzw. rurkach Bergmana, w budynkach mieszkalnych, stodołach i oborach. W każdym pomieszczeniu montowaliśmy jedno źródło światła i jedno jednofazowe gniazdo. Robotnicy pracowali na akord i w ciągu trwającego ok. 12 godzin roboczego dnia jednemu zespołowi udawało się „zelektryfikować” dwa gospodarstwa. W trakcie pracy każdy gospodarz podejmował robotników poczęstunkiem, okraszonym co najmniej jedną półlitrowką i omawiał z robotnikami sprawę założenia dodatkowych gniazd lub punktów świetlnych po oficjalnym odbiorze pracy, bo wcześniej harmonogram robót tego nie przewidywał. W ten sposób nasi robotnicy „obalali” codziennie minimum litr wódki na trzech – trzecim był gospodarz. Nasz udział ograniczał się najwyżej do jednego, symbolicznego kieliszka przy pierwszej półlitrowce, bo mieliśmy z robotnikami taką umowę: pracujemy uczciwie, ale tylko 6 godzin. Później konsumowaliśmy obiad u naszych gospodarzy i szliśmy kąpać się nad rzekę Nettę i kanał Augustowski oraz ujeżdżać pasące się tam konie. Czasem gościnność tych, u których zakładaliśmy instalacje, nie pozwoliła nam stać się na obiad w miejscu naszego zamieszkania, za co nasza gospodyni ostro nas łajała. Szczerze mówiąc jej obiady były nieco monotonne: w kółko zsiadłe mleko z ziemniakami, ziem-

niaki z peklowanym mięsem oraz deser w postaci białego sera i miodu w takiej ilości, że nie byliśmy w stanie zjeść nawet połowy.

Dwukrotnie zdarzyło się jednak, że gospodarze elektryfikowanych domów nie byli skłonni do częstowania robotników wódką. Gdy z związku z tym zacząłem sobie z nich pokpiwać, majster spojrzał na mnie z wyższością i powiedział:

- Słuchaj tylko, koleś, uważnie i ucz się. Hej gospodarzu!
- zawołał. – A macie w domu dobrą, dwuręczną piłę?
- Mam – odparł gospodarz. – A po co ona panu?
- A no trzeba będzie wyciąć tę lipę, co rośnie przed ganikiem, bo tędy pójdą przewody przyłącza do sieci, a lipa przeszkadza.

Rzeczywiście przed domem rosła piękna, chyba stuletnia lipa. Dom był położony na tzw. kolonii, czyli w pewnej odległości od wsi, a jego architektura i całe obejście odbiegało od charakteru zabudowań wsi. Ganek przed domem, ład na podwórzu, kwiaty, ta lipa – to wszystko odróżniało ten dom od innych. Gospodarz też był nietypowy. W podeszłym wieku, z pięknym siwym wąsem, utrzymywał pewien dystans do otoczenia, czego wyrazem był m.in. brak reakcji na przymówki o postawienie pół litra. Widać było, że on i jego rodzina to dawna szlachta, schłopiała, ale szlachta. Gospodarz miał łzy w oczach

– Jak to? Ściąć tą piękną naszą lipę? – mówił półgłosem do siebie.

Sam poradziłem mu, by postawił pół litra. Przyłączy poprowadzono nieco inaczej, lipa ocalała. Majster miał rację.

Podobna, prawie niewiarygodna historia zdarzyła się w innym obejściu. Właściciele nie chcieli, by im elektryfikowano chałupę! Robiono to im przymusowo. W tej sytuacji szansa na pół litra była równa zero, dopóki gospodyni obserwująca naszą robotę nie zapytała:

– A jak to zamontujecie, to można będzie założyć podsufitkę?

– Oczywiście, że nie będzie można – natychmiast odpowiedział majster.

– To przecież zamarzniemy zimą – zaczęła lamentować kobieta.

– No to zamarzniecicie, chyba że– tu majster zawiesił głos.

Pół litra wkrótce zjawilo się na stole. Dodajmy, że instalacja elektryczna i tak nie przeszkadzała w założeniu tzw. pod-sufitki, czyli dodatkowej konstrukcji z desek podtrzymujących izolującą warstwę siana czy słomy podwieszanej w zimie pod stropem.

Nasza praktyka elektryfikowania wsi nie ograniczała się do zakładania instalacji wewnątrz budynków. Montowaliśmy również izolatory na słupach niskiego napięcia, kopaliśmy również doły pod te słupy, stawialiśmy je, rozciągaliśmy wzdłuż linii odwijane z obrotowych szpul z użyciem koni przewody, mocowaliśmy je do izolatorów wchodząc na słupy w słupolazach itp. Oprócz tego mogliśmy przyjrzeć się z bliska życiu i obyczajom polskiej wsi. Zaproszono nas na trwające 3 dni wesela i chociaż na ogół wszyscy odnosili się do nas przyjaźnie, spędziliśmy tam tylko jeden wieczór. Dłuższy udział groził śmiercią lub kalectwem z powodu ilości wypitego przez weselników alkoholu. Mieliśmy już tego przedsmak biorąc udział w niedzielnej zabawie zorganizowanej w szkole. Po kilku sympatycznie spędzonych godzinach nasi gospodarze ostrzegli nas, że miejscowa młodź zamierza spuścić nam lanie, bez specjalnego powodu, ot tak, żeby obcy wiedzieli, kto tu rządzi. Na wycofanie się było już za późno, bo wszystkie drogi ewakuacji były obstawione przez miejscowych. Zgromadziliśmy się na podwórku szkoły obok stosu przeznaczonych do montowania izolatorów i żelaznych prętów, które mogły być dobrą bronią. I w tym momencie na podwórze wjechała ciężarówka z powracającą z sobotnio-niedzielnego wyjazdu do domu brygadą. Teraz my byliśmy w większości, bo robotnicy włączyli się do zabawy, która potoczyła się dalej, jak gdyby nigdy nic złego się nie szykowało. Ciekawym przyczynkiem do wiejskiego obyczaju była niebotyczna awantura zrobiona naszemu gospodarzowi przez jego siostrę o to, że w niedzielę po mszy wypił z kolegami pół

litra pod murem okalającym kościół. Podkreślam: nie o to miała pretensję, że pił, tylko o to, gdzie to robił.

Praktyka ta nauczyła mnie więcej niż wszystkie późniejsze razem wzięte. Dzięki niej potrafiłem w ciągu jednego dnia zelektryfikować letniskowy domek rodziców mego szkolnego przyjaciela Tadeusza Wróblewskiego. Po skończeniu praktyki kierownictwo brygady zaproponowało nam samodzielną pracę przy elektryfikacji następnych wsi, do końca wakacji lub dłużej, na takich samych warunkach, na jakich zatrudniani byli ich bardzo dobrze zarabiający robotnicy. To było kuszące, ale każdy z nas miał już jakieś plany i nikt propozycji nie przyjął. Na mnie czekał miesięczny obóz szermierczy w zakopiańskim ośrodku olimpijskim.

Nie wszyscy jednak trafili na tak sympatyczną praktykę. Kilka naszych koleżanek trafiło na jakąś warszawską budowę. Tam murarze używali tak rynsztokowego języka, że oburzone dziewczyny zaprotestowały przeciw temu u kierownika budowy. Ten powiedział, że zrobi z tym porządek. Następnego dnia podczas odprawy załogi przed rozpoczęciem pracy, w obecności dziewcząt wygłosił mniej więcej taki tekst:

– Czy wy, tacy nie tacy – nie żałował tu skrajnie niecenuralnych określeń – nie widzicie, że pracują z nami kobiety? Jak będziecie w ich obecności używać takich wyrażań, jak – tu padła litania zabronionych przekleństw – to ja wam, takim nie takim łachudrom od k..... nędzy, nogi z d..... powyrywam.

Chyba pomogło. W każdym razie panie przestały się skarżyć na niewłaściwy język robotników.

Po drugim roku studiów trafiłem na praktykę do Zakładów A1 w na Grochowie w Warszawie. Była to pierwsza polska Fabryka Aparatów Elektrycznych założona w 1918 r przez inż. Kazimierza Szpotańskiego. Wielu późniejszych profesorów Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej i nie tylko warszawskiej, w tej właśnie fabryce zdobywało zawodowe kwalifikacje. Szpotański był nie tylko świetnym menadżerem, ale też wielkim patriotą. Uważał, że polski przemysł elektro-

techniczny nie powinien być w najmniejszym stopniu uzależniony od zagranicy i w związku z tym produkował wszystko, co dla tego przemysłu było potrzebne, nawet jeśli produkcja niektórych urządzeń nie przynosiła mu zysku. Dbał o robotników. Przy fabryce działał żłobek, przedszkole, stołówka. Podczas praktyki miałem okazję rozmawiać o tym z robotnikami, którzy pracowali tam przed wojną – wszyscy nie mieli słów uznania dla Szpotańskiego. Po wojnie, przewidując bieg wydarzeń, Szpotański nie czekał na nacjonalizację, lecz przekazał fabrykę państwu. Dzięki temu mógł nią jeszcze jakiś czas kierować jako jej dyrektor i mieszkać w rodzinnym domu znajdującym się na przyfabrycznym terenie. Wkrótce jednak zwolniono go z pracy i wyrzucono z jego własnego domu. Fabryka pracowała nadal, a asortyment jej wyrobów był wciąż szeroki. Oprócz typowych urządzeń elektrycznych produkowano tam nawet suwaki logarytmiczne oraz mosiężne łuski do pocisków artyleryjskich, o czym przekonałem się zabłądziwszy niechcący do niezbyt starannie izolowanego działu. Dziś ta fabryka oraz jej filia w Międzylesiu została sprywatyzowana. Z perspektywy czasu ta darowizna była chyba błędem, bo w III Rzeczypospolitej jego spadkobiercy nie mogli odzyskać tego, co zostało darowane, a nie odebrane. W zakładach A1 oprócz podstawowych umiejętności obsługi tokarki jednak niewiele się nauczyłem.

Po trzecim roku były dwie praktyki. Pierwsza, którą odbyłem w warszawskiej Elektrociepłowni Żerań, była kompletnym nieporozumieniem. Miejscowy opiekun praktyk oprowadził nas po terenie, zapoznał z przepisami BHP, a potem powiedział żebyśmy sami sobie radzili. Zatem meldowaliśmy się codziennie, w bramie wejściowej starannie sprawdzano nam przepustki i po podpisaniu listy obecności wędrowaliśmy wzdłuż płotu odgradzającego teren elektrowni od ulicy aż do miejsca, w którym płot się kończył. Tam wychodziliśmy na zewnątrz i zdążając do pętli tramwajowej mijaliśmy kolegów, którzy nieco spóźnieni właśnie wysiedli z tramwaju i spieszyli „praktykować”.

Druga praktyka we wrocławskiej fabryce maszyn M5 też nie była udana. Zyskaliśmy pewien zasób wiedzy pracując w laboratorium miernictwa elektrycznego oraz na stacji prób maszyn i na tym się skończyło. Ponadto w pewnej chwili usiłowano nas wyrzucić z miejsca naszego zakwaterowania w jakiejś szkole, gdzie rozpoczynał się wakacyjny remont, a nasz fabryczny opiekun nie umiał nam pomóc. Podejrzewaliśmy, że nie chciał i odgrywał się w ten sposób za kpiny z jego usiłowań podrywania naszej koleżanki O swoje miejsce do spania musieliśmy walczyć sami. Spowodowało to konflikt, a jego wynikiem był brak podpisu opiekuna w dzienniczkach praktyk. Dziekan, prof. Władysław Latek, po wysłuchaniu naszych wyjaśnień praktykę nam zaliczył, ale udzielił nam ustnej nagany. Śmiesznie to wyglądało, bo ściskając każdemu dłoń mówił:

– Udzielam Panu nagany!

Praktyka we Wrocławiu miała też swoje uroki w postaci tamtejszej opery o bogatym repertuarze. W czasie miesięcznego pobytu obejrzelśmy kilkanaście spektakli. Kupowaliśmy najtańsze bilety na krzesła czwartego piętra, ale często wykorzystywaliśmy wolne, lepsze miejsca. Kiedyś trafiło mi się takie wolne miejsce w jednym z pierwszych rzędów na parterze. Obok siedział król cygańskiego taboru obozującego niedaleko naszego miejsca zamieszkania. Obóz ten mijaliśmy codziennie w drodze do fabryki i jego króla znaleźmy z widzenia. Cygan był w operze z żoną. Ubrany był w elegancki czarny garnitur, krawat, białą koszulę ze złotymi spinkami, sygnet na palcu. Gdy rozmawialiśmy podczas przerwy demonstrował kompletny garnitur złotych zębów. Tylko czarne lakierki miał nałożone na gołe nogi; nie miał skarpetek.

Te najtańsze bilety do opery kosztowały tylko 5 zł, lecz w sumie był to liczący się w naszym budżecie wydatek. Nikt z nas nie był bogaty. Obiady jadalśmy w taniej stołówce na drugim końcu miasta, a śniadania i kolacje robiliśmy wspólnie. Pamiętam, jak stojąc w sklepie zastanawialiśmy się, co kupić do jedzenia, aż zmobilizowała nas zniecierpliwiona ekspedientka:

– Namyślacie się od kwadransa, a i tak kupicie jak zwykle dwa kilo chleba i pół kilo marmolady.

Ta ekspedientka nie lubiła nas. Kiedyś rzuciła jakieś słowo, którego nie znałem, więc zapytałem, co ono oznacza.

– Od razu widać, że jesteście nietutejsi – odpowiedziała. – To znaczy nie ze Lwowa – sprecyzowała.

W trakcie ostatniego, dziesiątego semestru była praktyka zwana dyplomową. Odbywałem ją w Instytucie Elektrotechniki w Międzyzlesiu. Nie mogę powiedzieć, żebym się podczas niej ciężko napracował. Zbadałem jakiś silnik, coś kazano mi policzyć, coś zmierzyć oraz ułatwiono zrobienie własnych badań potrzebnych do zrealizowania projektu przejściowego, którym był wzmacniacz magnetyczny. Resztę czasu wykorzystywałem na flirtowanie z ładną laborantką, czemu sprzyjał charakter jej pracy; pracowała w ciemni fotograficznej.

4.1. SZKOLENIE WOJSKOWE

Tematem, który nierozzerwalnie łączy się ze studiami i któremu warto poświęcić sporo uwagi, jest wojskowe szkolenie studentów. Podlegali mu wszyscy studenci płci męskiej, zdolni do zasadniczej, czyli dwuletniej służby wojskowej, którą zastępowano szkoleniem w specjalnej komórce uczelni, zwanej Studium Wojskowym. W Akademiach Medycznych obowiązek szkolenia wojskowego obejmował również kobiety. Formy tego szkolenia bywały różne i ulegały zmianom z upływem czasu.

Studium wojskowe

W moim przypadku szkolenie rozpoczęło się na pierwszym semestrze studiów, trwało przez 4 lata i zostało zakończone 6-ciotygodniowym obozem, po którym przechodziło się do rezerwy ze stopniem podchorążego kaprała, plutonowego lub w wyjątkowych przypadkach – sierżanta.

Przez pierwsze dwa lata studiów szkoleniu wojskowemu był poświęcony jeden dzień w tygodniu. Wcześniej rano trzeba było zameldować się w Studium i pobrać z magazynu mundur, płaszcz, pas i buty. Wydawała je „porucznik” Szydłowska – podobno fizylierka spod Lenino, w typie markietanki Żubrowej z „Huraganu” Wacława Gąsiorowskiego, w sumie życzliwa studentom, ale potrafiąca ich rugnąć koszarowym językiem. Problem był w tym, że to wyposażenie wydawano praktycznie „jak leci” i dopiero później trzeba było drogą wymiany z kolegami dopasowywać mundury i płaszcze do wzrostu, a buty do rozmiaru nogi. Nie zawsze się to do końca udawało, stąd zdarzało się, czasem celowo „dla draki”, że niektórym np. spodnie sięgały nieco tylko poniżej kolan, a rękawy bluzy były dłuższe niż ręce.

Zajęcia rozpoczynały się od apelu, na którym dowódca Studium, płk. Łapkowski przyjmował meldunki dowódców kompanii i lustrował wojsko. Zdarzało mu się dostrzec rzeczy niedostrzegalne, że np. ósmy żołnierz w drugim szeregu ma trzeci guzik od góry nie przyszyty, ale umocowany prowizorycznie za pomocą zapalki wetkniętej w ucho guzika przełożone przez dziurkę płaszcza. Oczywiście było to starannie wyreżyserowane, ale robiło wrażenie. Potem były wykłady oraz zajęcia praktyczne na Polu Mokotowskim, do wieczora, z przerwą na obiad. Prowadzili je głównie zatrudnieni w Studium Wojskowym cywilni pracownicy, dawni oficerowie zawodowi, aktualnie oficerowie rezerwy. Był też jeden starszy sierżant. Stanowiska kierownicze, np. dowódcy Studium czy dowódców batalionów zajmowali oficerowie służby czynnej.

Na początku drugiego roku studiów miałem niebezpieczną wpadkę. Na zakończenie zajęć przed frontem kompanii pojawił się dowódca batalionu, kapitan Zbigniew Kugaczewski. Dowódca kompanii złożył mu meldunek, a kapitan powitał żołnierzy tradycyjnym „Czołem studenci”. Zwykle w takich sytuacjach robiliśmy sobie kpiny z formy odpowiedzi, którą wojsko w niezbyt zrozumiały sposób odkrzykiwało chórem. Formalnie powinna ona brzmieć „Czołem obywatelu kapita-

nie”, w praktyce wychodziło coś w rodzaju „ołem telu tanie”, co zwykle spora część z nas przekręcała złośliwie na „ołem telu tasie”. Tym razem wojsko było zmęczone po całodziennych ćwiczeniach i ledwie było słycać jego okrzyk. Tylko ja jeden, odruchowo i bezmyślnie, wydarłem się na całe gardło wrzeszcząc „ołem telu tasie”. Ten okrzyk był zrozumiały i wiadomo było z czyjego się gardła wydobył. Kapitan Kugaczewski natychmiast kazał mi za karę posprzątać po zajęciach jakiś magazyn i – jak się okazało – doskonale wiedział, co robi. Bo wtedy się zaczęło. W celu rozpatrzenia mojego zachowania zebrał się aktyw partyjno-zetempowski kompanii i zażądał usunięcia mnie z uczelni. Wtedy kapitan Kugaczewski powiedział, że zostałem już ukarany, a regulamin zabrania dwukrotnego karania za to samo przewinienie i definitywnie zamknął sprawę. Kapitana Kugaczewskiego, który awansował z czasem do stopnia pułkownika, spotykałem jeszcze wielokrotnie w trakcie mej pracy w Politechnice Warszawskiej; jako pułkownik w stanie spoczynku pełnił tam funkcję kierownika Działu Spraw Obronnych. Natomiast zawziętość aktywu partyjnego w stosunku do mnie wynikała stąd, że srodze się mu naraziłem ze dwa miesiące wcześniej. Otóż organizacja partyjna wydziału podjęła uchwałę, że wszyscy studenci, którzy nie mają poprawek po drugim semestrze pojedą w październiku na miesiąc do PGR-ów pomagać w wykopkach kartofli i buraków. Ja jeden z naszego roku odmówiłem. Powiedziałem, że nie po to dostaliśmy się na Politechnikę, by kopać kartofle, ale żeby się uczyć. Nie podobało mi się też premiowanie tych, co mieli słabsze wyniki w nauce i stwierdziłem, że chyba chodzi o „urawniówkę” w dół, co nastąpi po tych wykopkach w wyniku miesięcznej nieobecności na zajęciach tych lepszych studentów. Najgorsze jednak było to, że wśród studentów począł krążyć kawał o następującej treści:

– Jak przyjdą przymrozki, a na polu zostaną nie zebrane kartofle i buraki, to co się najpierw zbiera?

– Biuro Polityczne.

Na wykopki nie pojechałem powodując niepełne wykonanie uchwały.

– Wcześniej czy później noga się Czajewskiemu powinie. Poczekamy – powiedział jeden z aktywistów. No i doczekał się mojej wpadki z kpt. Kugaczewskim, ale nie przewidział, że dziwny jest ten świat i że człowiek, którego obraziłem, uratuje mnie przed moimi kolegami z roku.

A potem nadszedł pamiętny październik 1956 r. Razem z przyniesioną polityczną „odwilżą” nastąpiły zmiany organizacyjne personalne i kadrowe w Studium Wojskowym. Przede wszystkim mogliśmy sobie wybrać kolegów pełniących różne funkcje w kompanii, pozbywając się uprzednio mianowanych aktywistów. W ten sposób zostałem zastępcą dowodzącego kompanią chorążego Myśliwca.

Ponadto zamiast jednego dnia w tygodniu, zajęcia odbywały się przez dwa tygodnie w semestrze, dzień po dniu. Skończył się koszmar ранego wydawania mundurów oraz butów i ciągłego ich dopasowywania metodą wymiany z kolegami, bo przydzielone nam na cały okres szkolenia wyposażenie zabieraliśmy do domu i przychodziliśmy na zajęcia już umundurowani.

Zmieniła się też nasza wojskowa specjalizacja. Przez pierwsze dwa lata była nią artyleria. Zajęcia z tego przedmiotu prowadził płk. rezerwy Zielonka. Do dziś pamiętam obowiązującą odpowiedź na pierwsze pytanie z zestawu pytań do egzaminu po pierwszym semestrze:

– Skąd pochodzi słowo artyleria?

Odpowiedź miała brzmieć:

– Słowo artyleria pochodzi albo ze zbitki łacińskich słów arcus, co oznacza łuk, oraz telum, czyli strzała, albo z włoskiego określenia „arte de tirrale”, czyli sztuka strzelania. Pierwszy użył tego słowa Włoch Nicolo Fontana 1500 – 1557.

Oczywiście oprócz zagadnień związanych z artylerią uczono nas musztry i szeregu innych, podstawowych umiejętności. Po dwóch latach odgórnie zmieniono profil szkolenia. Odtąd mieliśmy specjalizować się jako piechota. Dlaczego? To wyjaśnił nam jeden z oficerów:

– Wyobraźcie sobie, że jest wojna i ginie oficer artylerii. Kto go zastąpi? Zastąpi go oficer piechoty. Dlaczego? Bo oficer piechoty jest wszechstronnie wyszkolonym oficerem. Albo wyobraźcie sobie inną sytuację: jest wojna i ginie oficer saperów. Kto go zastąpi? Oficer piechoty, bo jest wszechstronnie wyszkolonym oficerem. Albo ginie oficer ... itd.

Zmienił się też kierownik Studium i część kadry. Na przykład starszy sierżant rezerwy B. został przeniesiony do Studium Wojskowego Akademii Medycznej. Pierwszą godzinę swych zajęć zaczął od tradycyjnego zwrotu, którym zwykle inicjował wykłady w Politechnice, a mianowicie:

– K...a wasza mać studentki.

Zauważmy, że inteligentnie zamienił przy tym słowo „studenti” na „studentki”, jako że w Akademii Medycznej była ich przeważająca większość. Następnej godziny zajęć z sierżantem już nie było, bo wyleli go z tej roboty. Trochę przykro mi było, gdy widziałem go później, jak przekładał zwrotnice na pętli tramwajowej przy Placu Narutowicza, bo nie był to zły człowiek i nikomu z nas krzywdy nie zrobił.

Byliśmy teraz w piechocie. Trzeba przyznać, że szkolono nas solidnie, ale w dość konserwatywnym stylu walki z okresu II wojny światowej. Wpajane nam umiejętności szybkiego wyskakiwania z okopu czy walki na bagnety raczej nie przydałyby się na kolejnej wojnie. Bardzo poważnie traktowano pełnią przez nas służbę wartowniczą, którą odbywało się tylko raz, ale trwała całą dobę. Mnie przypadła w czasie ostrej zimy, gdy temperatura w dzień dochodziła do minus 30⁰C, a w nocy opadała jeszcze niżej. Warta zaczynała się regulaminową odprawą, która trwała na tyle długo, że zdążyłem odmrozić sobie czubki uszu, bo na czas odprawy nie pozwolono naciągnąć nauszników, co umożliwiałały nasze czapki – rogatywki. Potem już stacjonowaliśmy wewnątrz względnie ciepłego pomieszczenia Gmachu Nowej Kreślarni będącego wówczas siedzibą Studium Wojskowego. Posterunki powinniśmy trzymać przed tym gmachem i przed magazynem koło Gmachu Technologii Chemicznej. Dysponowaliśmy tylko jednym kozuchem, więc ze

względu na mróz posterunek sprzed gmachu Studium przeniesiono do wewnątrz. Zmiany warty przed magazynem dokonywaliśmy co godzinę, bo na tym mrozie dłużej nie dało się wytrzymać. Zmiana kożucha na otwartym powietrzu trwałaby za długo i wyziębiłaby obu wartowników – starego i nowego, więc przeprowadzaliśmy ją wewnątrz gmachu Studium. Tymczasem przez ok. 10 minut wartę trzymał ktoś inny, w samym szynelu. Gdy wracał po tym na wartownię, przypominał sopel lodu. Czas oczekiwania na procedurę następnej zmiany warty skracaliśmy sobie czytając głośno, właśnie wydaną książką „Zły” Leopolda Tyrmanda.

Obóz

Po ukończeniu w 1958 r. czwartego roku studiów i zarazem ostatniego roku Studium Wojskowego czekał nas 6-ciotygodniowy obóz wojskowy. Obóz rozbito w lesie miejscowości Wierzbiny, kilka kilometrów od Orzysza, nad jeziorem o tej samej nazwie. Zgromadzono tam ok. 1000 studentów podzielonych na 10 kompanii, po 3 plutony. W skład plutonu wchodziły 3 drużyny po 10 osób. Tu już nie było wyboru funkcyjnych, lecz ich odgórne mianowanie. Mnie „zdegradowano” do poziomu dowódcy drużyny. Spaliśmy w kilkudziesięcioosobowych namiotach, na szerokich, drewnianych pryzkach wyścielonych słomą. Każda pryzca była przeznaczona dla 4 osób. Dowódcom drużyn przysługiwał przywilej w postaci pryzcy dwuosobowych. Spałem razem z dowodzącym drugą drużyną Leszkiem Dwojakowskim. Za namiotami kompanii był barak pełniący rolę zbrojowni, oraz barak-magazyn, gdzie mieszkał też dowódca batalionu oraz jeden z naszych kolegów mianowany szefem kompanii. Ustawione w jednej linii i pewnych odstępach od siebie namioty w liczbie kilkudziesięciu rozciągały się na odległość ponad pół kilometra. Na obu końcach linii namiotów, w odległości ok. 100 metrów od ostatnich z nich, usytuowano latryny. Mój namiot znajdował się w samym środku tej linii. Łatwo sobie uzmysłowić, że każda wycieczka do latryny zmuszała do prawie kilometrowego spaceru, licząc w obie stro-

ny. Konstrukcja samej latryny warta jest osobnego opisu. Składał się na nią prostokątny dół, nad którego obu dłuższymi krawędziami umocowano po jednej, poziomej belce. Pół metra wyżej, nad środkiem dołu, biegła trzecia belka. Te niższe spełniały rolę deski sedesowej, wyższa służyła jako oparcie dla pleców. Z latryny jednocześnie mogło skorzystać z obu stron ok. 10 chętnych, ale wtedy potrzebę fizjologiczną załatwiała się, jak to określano, „rura w rurę”.

Wojsko nie cieszy się na ogół opinią mądrej instytucji, jednak bliższa obserwacja ujawnia, że wypracowało ono, podobnie jak kościół, bardzo skuteczne metody działania, stosowane z powodzeniem od tysięcy lat. Sam nie wiem jak to się stało, ale wystarczyło 2 – 3 dni, aby bez stosowania kar, tysięcy niedyscyplinowanych, wręcz buntowniczych, studenckich indywidualności przegnać w kierat wojskowej, bezmyślnej dyscypliny. Na przykład po terenie obozu nie wolno było przemieszczać się inaczej, jak biegiem i wszyscy biegali. Do tego nie po wytyczonych ścieżkach, tylko po trawie obok nich. Piaszczyste ścieżki powinny być zawsze świeżo zagrabione, bez śladów butów na nich. Kto wdepnął na ścieżkę, zaraz dostał w łeb grabiami od dyżurnego, bo ślad butów, odcisnięty na rysunku równoległych linii po zębach grabi, zagrażał interesom dyżurnego, świadcząc, że się leni i nie pilnuje porządku. W ten sposób dyscyplinowano nas naszymi własnymi rękami. W ciągu krótkiego czasu potrafiiono doprowadzić do tego, że w 3 minuty po ogłoszeniu nocnego alarmu pułk w stawał na zbiórce umundurowany i z bronią w ręku. Jak tego dokonano? Bardzo prosto. Powtarzano nocne alarmy tak długo, czasem dwa razy w ciągu jednej nocy, aż wojsko zdążyło wstać, ubrać się i jeszcze pobrać broń ze znajdującego się za namiotem magazynu. Doszło do tego, że próbowaliśmy się nie rozbierać na noc, aby zdążyć. Kiedyś dotarła do nas informacja, że komendant obozu, płk. Butkiewicz, kazał się obudzić o 3 w nocy. Wiadomo, będzie alarm. W całym pułku dyżurni wartownicy obudzili wojsko kilka minut wcześniej, by nie dało się zaskoczyć, a alarmu jak nie było, tak nie było. Rano, gdy niewyspani zbieraliśmy się

na poranny apel, ujrzeliśmy komendanta wracającego z nad jeziora z wędkami na ramieniu i rybami w siatce.

Nocne alarmy czasem były początkiem nocnych zajęć w terenie, ale częściej kończyły się wyrywkowym sprawdzeniem, czy mamy przy sobie całe wyposażenie. Broń i umundurowanie było widać gołym okiem, kontrolowano więc tylko dwa elementy. Pierwszym była zgodność numeru broni trzymanej w ręku z numerem broni przydzielonej, który każdy musiał znać na pamięć. Chodziło o to, by każdy miał własną broń, a nie przypadkowo chwyconą ze stojaka. Drugim, najczęściej sprawdzanym elementem były chusteczki do nosa. Każdy miał przydzielone dwie. Nigdy nie były używane. Starannie złożone i zawinięte w kawałek papieru służyły do wykazania, że żołnierz ma dwie gotowe w razie czego do wykorzystania, porządne, czyste chusteczki do nosa.

Kadrę obozu stanowili oficerowie służby czynnej ze Studium Wojskowego oraz przydzieleni z jednostek wojskowych. Jak zwykle reprezentowali różne charaktery i różny poziom. Dowódcą mojego plutonu został kapitan Selech. Był bardzo wymagający, ale mądry, sprawiedliwy i chciał oraz potrafił nas nauczyć tego, co uważał za przydatne. A wiedział, co może się przydać, bo chociaż był za młody, by się bić podczas II wojny światowej, to prochu nawąchał się po wojnie, walcząc przez kilka lat z bandami UPA w Bieszczadach. Starał się przekazywać nam wiedzę nie tylko czysto techniczną, ale i życiową. Tłumaczył np., że jeśli ktoś z nas dowodząc plutonem czy kompanią będzie starał się znaleźć najlepsze stanowisko ogniowe dla ciężkiego karabinu maszynowego, to nie powinien go sam szukać.

– Każcie wybrać miejsce na to stanowisko obsłudze ckm-u – powiedział. – Oni mają większe doświadczenie i zrobią to lepiej od was. Wtedy pochwalcie wybór, ale każcie przesunąć ckm o 10 cm w lewo lub w prawo. To nie będzie miało żadnego znaczenia, ale wasi podwładni utwierdzą się w przekonaniu, że jesteście od nich mądrzejsi.

Nie raz później stosowałem tę metodę z powodzeniem w cywilu.

Rozsądek i życzliwość kapitana Selecha miałem okazję poznać już kilka dni po rozpoczęciu obozu. Kierownictwo obozu wydało rozkaz oddania wszystkich zapasów żywności przywiezionych z domu. Powodem była obawa przed możliwością zatrucia nieświeżymi zapasami. Oczywiście nikt niczego nie oddał, więc nazajutrz po wymarszu na zajęcia zrobiono gruntowną rewizję w namiotach. Po powrocie zastaliśmy przed namiotem stos odkrytych i przygotowanych do utylizacji kiełbas, kotletów itd. Mój „szlafkamrat” Leszek Dwojakowski i ja też mieliśmy zapas suchej kiełbasy, którą schowaliśmy w zasłoniętym przybitą deską fragmencie drewnianej konstrukcji naszej przycy. Po rewizji stwierdziliśmy z satysfakcją, że kiełbasa jest tam nadal. Kapitan Selech wezwał nas wtedy do siebie i powiedział:

– Nie myślcie, że nie znalazłem tej waszej kiełbasy. Ale ponieważ sprytnie ją schowaliście i nie zepsuje się, bo to sucha kiełbasa, więc ją zostawiłem.

Mimo solidnej rewizji jednak nie wszystkie zapasy zdołały wykryć przez kapitana. Po kilku dniach pod jedną z przycy zazieleniły się pędy wyrosłe z zakopanej cebuli. Przetrwiała też kiełbasa zakopana przez Tadeusza Gąsiorowskiego. Niestety, po wykopaniu okazało się, że śmierdzi i nikt nie chciał jej jeść. Zawołano więc znanego głodomora z sąsiedniego plutonu i zapytano, czy ma ochotę na kiełbasę. Miał, a gdy zaczął jeść, całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

– Możecie się śmiać – odpowiedział głodomór – ale jestem taki głodny, że zjem i śmierdzącą kiełbasę.

Wkrótce mogliśmy się przekonać, że kapitan Selech potrafi też stanąć w obronie swych podopiecznych nawet kosztem narażenia się zwierzchnikowi. Podczas czyszczenia broni po zajęciach zastępca dowódcy plutonu, nasz kolega, zauważył, że zamek ręcznego karabinu maszynowego mojej drużyny jest cały brązowy od pokrywającego go nalotu rdzy. Poleciał z tym

na skargę do dowódcy kompanii, majora M. Major zaczął na nas wrzeszczeć i wtedy wtrącił się kapitan Selech.

– Kiedy było strzelanie z rkm-u? – zapytał.

– Na pierwszej godzinie zajęć – odpowiedziałem.

– Czy było czyszczenie broni po strzelaniu?

– Nie, cały czas były inne zajęcia.

– No to w porządku – stwierdził kapitan. – Padał deszcz, a broń nie czyszczona przez cały dzień po strzelaniu musi zarzewieć. Wyczyścić i nasmarować!

Na tym sprawę zakończono, a zastępca dowódcy plutonu podpadł nam wtedy po raz pierwszy.

Innym razem, też przy czyszczeniu broni, major M. począł sprawdzać skuteczność tego czyszczenia. Zajrzał w lufę rkm-u i stwierdził, że jest brudna. Wiedziałem, że jest czysta, bo sam sprawdzałem, ale zgodnie z wojskową pragmatyką demonstracyjnie obrugałem czyszczącego i kazałem mu powtórnie, porządnie wyczyścić, dorzucając po cichu:

– Poleż sobie spokojnie za namiotem i wróć za 10 minut.

Byłem przekonany, że jak to normalnie bywa, powtórne sprawdzenie zaowocuje akceptacją popartą uwagą w rodzaju „No, jak Was pogonić, to potraficie porządnie wyczyścić”, ale major znów uznał, że lufa jest brudna. Wtedy do akcji wkroczył kapitan Selech – dowódca plutonu. Popatrzył w lufę i stwierdził:

– Obywatelu majorze – lufa jest czysta.

– Popatrzcie dobrze, Selech – rzekł major – W połowie długości lufy jest plama.

– To nie plama, tylko otwór do oporo-powrotnika – wyjaśnił kapitan – Dzięki niemu rkm sam się powtórnie repetuje i może strzelać seriami.

– Rzeczywiście otwór – powiedział major jeszcze raz zaglądając do lufy – A ja 2 lata nosił w partyzantce rkm i nie wiedział, że tam jest dziura.

Mnie kapitan Selech uratował życie. Było to pod koniec obozu, kiedy braliśmy udział w szeroko zakrojonych manewrach. Naszym zadaniem jako piechoty było wspieranie ataku czołgów i ich ochrona. Kazano się nam okopać przed linią czołgów ukrytych przed naszym i „nieprzyjaciela” wzrokiem za

wzgórzem i czekających na sygnał do ataku. Każdy z nas miał wykopać sobie okop o głębokości dostosowanej do stojącego w nim strzelca. Wiedziałem, że chwilę po rozpoczęciu ataku opuszczę ten okop, więc nie chciało mi się tak głęboko kopać. Ograniczyłem się do okopu dla pozycji kłęczącego strzelca. Ponadto wokół działa się tyle ciekawych rzeczy. Salwy przygotowania artyleryjskiego efektownie rozwalaly stojące na widnokręgu budynki, a z lasu przed nami wyszło na przedpole stado kilkudziesięciu krów, pędzone przez jednego pastucha. Kilku pułkowników wybiegło próbując zawrócić te krowy z powrotem do lasu, ale bezskutecznie. Było więc na co patrzeć. I wtedy kapitan Selech zrugął mnie w niezwykle ostry sposób, kazał natychmiast pogłębić okop „do pozycji stojąc” i dopilnował, żebym to zrobił. Ledwie zdążyłem, gdy na niebie zabłyśły rakiety sygnalizujące start do ataku. Pułkownicy błyskawicznie zrezygnowali z zaganiaania krów i schronili się w okopach, a czołgi ruszyły pełną mocą wyjących silników i po kilku minutach przeszły obok nas i nad niektórymi z nas. Znalazłem się wśród tych ostatnich. Przyznam, że najadłem się strachu, gdy chrzęszcząca góra żelastwa przesłoniła mi widok nieba obsypując hełm piachem. Nie byłoby tych wspomnień, gdyby kapitan Selech nie zmusił mnie do wykopania odpowiednio głębokiego okopu. Wskoczyliśmy z okopów i gęsto strzelając ślepyimi nabojami posuwaliśmy się za czołgami, czasem biegiem, czasem marszem, czasem wskakując na nie i jadąc z tyłu wieżyczki artyleryjskiej. Krowy, które przeżyły szarżę czołgów, zupełnie się nie przejmowały ogłuszającą kanonadą wystrzałów. To był specjalny gatunek bydła: krowy poligonowe.

Dowódcami pozostałych plutonów naszej kompanii zostało dwóch młodych podporuczników oddelegowanych z jednostek służby zasadniczej. Początkowo odnosili się do nas nieufnie i z dużym dystansem. Podczas pierwszych zajęć poświęconych budowie, zasadzie działania i obsłudze ckm-u jeden z nich przytoczył szczegółowy, dość skomplikowany i ujęty w regulaminowe sformułowania opis lufy, po czym kazał powtór-

rzyć to jednemu ze studentów. Student powtórzył opis prawie bezbłędnie.

– Powiedziano mi, że to dla was nowy temat – rzekł podporucznik – ale widzę, że budowę ckm przerabialiście już wcześniej, na Studium Wojskowym.

– Nie, pierwszy raz mamy do czynienia z ckm – odpowiedzieli studenci.

Podporucznik był wyraźnie zaskoczony. Opisał kolejną część składową ckm-u i kazał powtórzyć jej opis następnemu studentowi. Ten też powtórzył przytoczony opis równie dobrze, jak poprzedni. Podporucznik nie mógł uwierzyć własnym uszom i oczom.

– Panowie! W ciągu dwóch godzin opanowaliście bezbłędnie budowę i działanie ckm-u! My w jednostce poświęcamy na to dwa miesiące!

Obydwa podporucznicy nie mogli wyjść z podziwu dla swoich podopiecznych. Odtąd na każdym kroku okazywali im swą pomoc i życzliwość.

Ale nie wszyscy byli tacy. Już drugiego dnia obozu przyszedł do naszego namiotu dowódca kompanii, major M. i oświadczył, że w namiocie jest brudno, bo nie ma przed nim wycieraczki. Podłoga w namiocie była wprawdzie naturalną warstwą piachu, otaczający namiot grunt też był piachem, ale zrobiliśmy wycieraczkę w postaci warstwy sosnowych gałązek. Następnego dnia major powiedział, że to ma być porządna wycieraczka z drewnianych szczelków, które będą skutecznie zeskrobywać piach z podeszew butów. Zrobiliśmy taką. Major pochwalił, ale powiedział, że ten piach z butów wypełnia przestrzeń między szczelkami wycieraczki, która przestaje wtedy być skuteczna. Nazajutrz pod wycieraczką był dół głębokości pół metra, którego ściany i dno wyłożono ceglami.

– O to właśnie się mi rozchodziło – powiedział major – ale taką samą wycieraczkę trzeba zrobić i przy drugim wyjściu z namiotu, z przeciwnej strony.

Zrobiliśmy i przez kilka dni był spokój. Potem jednak major zauważył, że drewno wycieraczki jest brudne, bo zmieniło

barwę z jasnego koloru drewna na szary, a w dole pod wycieraczką jest mnóstwo nieusuniętego piachu. Piach został usunięty, wycieraczki wyszorowane do białości i odtąd przy wchodzeniu do namiotu nikt nie śmiał postawić nogi na wycieraczkę, bo natychmiast dostawał w łeb. W namiocie oraz przed namiotem był taki sam piach, wycieraczki były czyste, rozkazy wykonane, a major usatysfakcjonowany. W końcu nie pozwolił nam na bezmyślne marnowanie wolnego czasu i dopilnował, byśmy go wykorzystali na wykonanie czegoś pożytecznego, np. wycieraczek.

Pewnej niedzieli major zaproponował, by chętni zabrali ze sobą menażki i jakieś inne naczynia, to on ich zaprowadzi na jagody. Jagód na poligonie była obfitość. Kupowaliśmy je po 5 zł za pół litra od okolicznych wieśniaczek uzupełniając w ten sposób skąpe i niesmaczne jedzenie, jakim nas karmiono. Zgłosiło się nas kilkunastu. Poszliśmy, najedliśmy się za wszystkie czasy i pogubiwszy się wzajemnie w lesie, wróciliśmy indywidualnie na kolację do obozu. Po kolacji major zarządził zbiórkę plutonu i kazał wystąpić z szeregu wszystkim, którzy byli na jagodach. Już wtedy utwierdziłem się w przypuszczeniach, jakie żartem wymienialiśmy między sobą, nie przypuszczając jednak, że te żarty były prawdą. Na wszelki wypadek nie wystąpiłem z szeregu. A major zwracając się do „jagodziarzy” powiedział:

– Ot za kilka dni przyjeżdża do mnie moja żona. Ja chciał jej zrobić niespodziankę, zasypać jagody cukrem i przygotować kilka litrów soku. Wziął was, żeby mi nazbierali jagód, a wy wszystko sami zeżarli.

Na zakończenie wyznaczył im karę, nie pamiętam jaką, bo mnie ominęła.

Major chętnie wizytował nasze zajęcia strzeleckie i oglądając nie zawsze najlepsze wyniki sam dawał przykład, jak należy celnie strzelać. Oczywiście natychmiast powiadaliśmy telefonicznie odczytujących wyniki z tarcz, kto strzela, a oni zawsze meldowali:

– Wszystkie pociski w dziesiątce.

Różnice intelektualne między studentami a częścią kadry dało się zauważyć podczas dyskusji na temat oceny wojskowego zespołu kabaretowego, który zawitał do nas z występami. Poziom prezentowanego przez ten kabaret dowcipu był, delikatnie mówiąc, koszarowy i artystów wygwizdano. Część kadry nie mogła zrozumieć, dlaczego występy się nam nie podobały. Odwrócenie ocen o 180 stopni nastąpiło, gdy przyjechał kabaret „Stodoła”. Wprawdzie rozczarowałem się nieobecnością Hani Ciszek – jednej z gwiazd „Stodoły” i jednocześnie naszej koleżanki z roku – ale występy były udane, studenci przyjmowali je z aplauzem, a część kadry ze wzruszeniem ... ramion.

Z przyjazdem kabaretu „Stodoła” kojarzy mi się wydarzenie też charakteryzujące poziom intelektualny niektórych zawodowych dowódców wysokiego szczebla. Otóż trzeba było przygotować estradę. Dysponowaliśmy dwunastoma drewnianymi paletami, które należało ustawić w układzie trzy na cztery na pewnej wysokości. Tę wysokość miały zapewnić wbite w ziemię pale długości 2 m każdy, ustawione na rogach paneli, przy czym rogi, gdzie stykały się 2 czy 4 panele, wymagały tylko jednego, wspólnego pala. Tych pali nie mieliśmy, ale dowódca pułku uzgodnił z dowódcą garnizonu, że ten ostatni przekaze nam na ten cel sosnowe belki. Zajechaliśmy po nie ciężarówką. Darczyńca w stopniu pułkownika, po wyjaśnieniu mu konstrukcji estrady, zaczął się zastanawiać, ile ośmiometrowych belek powinien nam przekazać. Myślał, liczył i nie był w stanie policzyć. Staliśmy karnie w szeregu i widać było po naszych minach, że każdy już dawno to obliczył. Nie śmieliśmy się odezwać, bo pułkownik mógłby się obrazić, a zależało nam na udanym występie „Stodoły”. Wreszcie pułkownik wrzasnął:

– Sierżant! Do mnie!

Stojący ok. 20 m od niego sierżant biegiem stawiał się przed swoim zwierzchnikiem.

– Urwij mi gałązkę! – rozkazał pułkownik wskazując na krzak odległy od niego o 2 metry.

Sierżant urwał gałązkę i podał pułkownikowi. Pułkownik ukucnął, narysował na ziemi kształt estrady i zaczął liczyć. Po kilku minutach rzucił ze złością patyk, machnął ręką i powiedział:

– A weźcie sobie sami, ile wam potrzeba !

Trzeba przyznać, że szkolono nas solidnie i solidnie przy tym „dostawaliśmy w kość”. Zajęcia odbywały się na poligonowych polach odległych o kilka kilometrów od obozu, a więc najpierw należało tam dojść, potem wrócić na obiad, po obiedzie znów pomaszzerować na popołudniowe zajęcia. Na tych zajęciach też się człowiek nabiegał. W sumie dziennie przemierzaliśmy minimum 20 – 30 kilometrów, do tego w hełmie, z bronią i plecakiem zawierającym cały posiadany prywatny i służbowy majątek. Usiłowaliśmy stawiać się na zbiórkę do wymarszu bez plecaków, wracając się po nie tylko wtedy, gdy na ich brak zwrócił uwagę idący z nami oficer. Niestety, nasz zastępca dowódcy plutonu na ogół mu o tym przypominał. Sam korzystając z uprzywilejowanej funkcji plecaka nie nosił. Na polu odbywały się też teoretyczne wykłady. Wysłuchiwaliśmy ich stojąc w dwuszeregu. Wykład często był przerywany stukiem upadającej na ziemię broni, upuszczonej przez zasypiającego na stojąco żołnierza. W czasie kilkuminutowych przerw między zajęciami wojsko natychmiast kładło się na ziemi z głową na zsuniętym na kark plecaku i zasypiało. Dobudzenie się plutonu po przerwie nie było łatwe.

Kiedyś na wykład na polu zaprowadził nas major M. Stańeliśmy w dwuszeregu, a major jeszcze nie zdążył zacząć, gdy z odległego o sto metrów skraju lasu oderwała się sylwetka żołnierza, który począł biec w naszym kierunku. Gdy dobiegł, zameldował się majorowi i oznajmił, że za chwilę ten teren znajdzie się pod ostrzałem z moździerza i on prosi, aby natychmiast stąd się usunąć. Major spokojnie rozejrzał się dookoła i powiedział:

– Nie widzę żadnego moździerza, niedaleko jest szosa, nie wydaje mi się – rzekł major.

– Obywatelu majorze. Ja uprzedzałem. Czy mogę się już odmeldować? – spytał wyraźnie zdenerwowany żołnierz.

– Tak, oczywiście, meldunek przyjąłem – rzekł major. – Zostajemy.

Salutujący żołnierz nie zdążył jeszcze oderwać palców od daszka czapki, a już biegł co sił z powrotem w stronę lasu. Nie zdążył dobiec, gdy usłyszeliśmy dalekie „bum”, potem świst i eksplozję granatnika wyrzucającego fontannę piasku ok. 200 metrów od nas. Bez komendy rzuciliśmy się w stronę szosy. Zanim dobiegliśmy do niej, jeszcze kilka granatników eksplodowało za naszymi plecami. Następnie obserwowaliśmy już z bezpiecznej odległości. Chociaż byliśmy przyzwyczajeni do widoku przelatujących nad naszymi namiotami artyleryjskich pocisków, które zakreślały w nocy świetlne smugi, ale wybuchwały one daleko na poligonie, a nie kilkaset metrów od nas. Te robiły wrażenie.

Większość zajęć „w polu” miała jednak charakter praktyczny. Trenowaliśmy różnego rodzaju ubezpieczone marsze, pościgi itp., zarówno w dzień, jak i w nocy. Trasy takich zajęć w prostej linii przekraczały 30 kilometrów, a po drodze trzeba było jeszcze skoczyć w bok, do przodu i z powrotem, żeby sprawdzić i zameldować, że za krzakiem nie kryje się wróg. Oprócz broni osobistej pluton taszczył jeszcze 3 rkm-y, ważące 44 kg ckm, taśmy amunicji, apteczkę, radiostację. Wtedy wychodziły na jaw prawdziwe, złe i dobre cechy charakteru człowieka. Nie zapomnę, jak np. Jurek Przybysz, sam zlany potem, wziął rkm od kolegi padającego na twarz pod jego obciążeniem, choć nie musiał tego robić i nikt go o pomoc nie prosił. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że można spać podczas marszu w czwórkowej kolumnie; należy tylko unikać pozycji w zewnętrznym szeregu ze względu na zakręty.

Kiedyś podczas tego rodzaju zajęć przypadła mi wraz z dwoma kolegami rola nieprzyjaciela. Kapitan Selech w bojowym rozkazie szeroko i daleko określił cele natarcia kompanii, jak na limitowany porą obiadu czas, który zamierzał na to szkolenie poświęcić. My, czyli tzw. nieprzyjaciel, mieliśmy się cofać minując po drodze mosty, otwierając ogień z zasadzek itp. i dopiero w odległej osadzie Skomack Wielki pozwolić wziąć się

do niewoli. Oczywiście były to teoretyczne założenia i kapitan z braku czasu zamierzał przerwać tę zabawę w połowie, by wojsko zdążyło na obiad, lecz z góry tego nie zapowiedział. Domyślaliśmy się, że tak będzie, ale postanowiliśmy dotrzeć do celu. Zapachniało nam wolnością. Chcieliśmy skorzystać z okazji i zafundować sobie coś smaczniejszego od kiepskiego, obozowego wyżywienia. Przygotowaliśmy sobie tłumaczenie, że polecenia nie odwołano i że byliśmy pewni, że kapitan zadbał o powrotny, samochodowy transport dla nas i całego plutonu, na który mieliśmy czekać w Skomacku. Tam nasze pojawienie się było lokalną sensacją. Jedna z gospodyń zaprosiła nas do domu i usmażyła nam pyszną jajecznicę z piętnastu jaj, które kupiliśmy w miejscowym sklepie. Tłuszcz, chleb, masło do chleba i mleko dodała gratis. Powiedziała, że jej syn też służy w wojsku gdzieś na Śląsku i może jemu też ktoś usmaży jajecznicę. Nie doczekawszy się naszego wojska wróciliśmy do obozu dopiero następnego dnia wieczorem. Korzystając ze swobody i mijanych restauracji wracaliśmy okrężną drogą, autostopem, przez Orzysz. Zastępca dowódcy plutonu, gdy nas zobaczył, zapowiedział sąd wojenny za dezercję, a kapitan Selech wysłuchał naszego raportu i udał, że w niego wierzy. Powiedział, że to jego wina, bo nie określił terminu przerwania ćwiczeń.

Ciekawe były zajęcia związane ze zdobywaniem zabudowań i ich obroną, przeprowadzaniem nocnych ataków i rozpoznawaniem, że nadciągają, wyskakiwaniem w biegu z samochodów, strzelaniem z ckm-u i rkm-u, rzucaniem granatami. Bardzo skutecznie uczono nas szybkiego zakładania maski gazowej. Polegało to na wpuszczeniu drużyny z maskami do dużego, zamkniętego namiotu i wrzuceniu do niego granatu z gazem łzawiącym. Najgorzej wyszli na tym ci, którzy uprzednio podłożyli podkładki pod zawór wydechowy. Nie zamykał się on wtedy przy wdechu, co pozwalało pominąć pochłaniacz gazu i ułatwiało oddychanie na męczących ćwiczeniach prowadzonych w maskach, ale tu kończyło się kłęką.

Uczono nas też wielu innych, pożytecznych rzeczy. Jedną z nich było terenoznawstwo. Jego praktyczna nauka przybierała różne formy, a o nawigacji satelitarnej wtedy jeszcze u nas nie słyszano. Uczyliśmy się identyfikowania odległych obiektów obserwowanych ze wzgórza z ich oznaczeniami na mapie, wyznaczania własnej pozycji na mapie na podstawie rzeźby i pokrycia terenu, pilotowania kierowcy szybko jadącego krętymi ścieżkami samochodu. Ciekawe ćwiczenie polegało na wywiezieniu grupy studentów zakrytym szczelnie samochodem i wypuszczaniu co kilka kilometrów dwuosobowych patroli, w nieznanym miejscu, z kompasem i mapą, na której mieli zaznaczone współrzędne punktu zbiórki. Należało do niego dotrzeć w określonym czasie. Kto zdążył, wracał samochodem na obiad. Kto nie zdążył, wracał do obozu kilkadziesiąt kilometrów na piechotę, dopiero na kolację. Zdarzyło się to jednemu z patroli. Chłopcy byli dobrzy w terenoznawstwie, ale zapomnieli, że współrzędne oznaczane w wojsku jako X i Y mają odwrotny kierunek niż w matematyce; X jest współrzędną pionową, a Y – poziomą. Po drodze dostali się też niechcący pod ostrzał artylerijski, ale na szczęście uszli cało.

Były też zajęcia polityczne. Ich tematyka koncentrowała się głównie na przygotowaniu nas do złożenia przysięgi. I powstał problem. Studenci najpierw zapytali, czy złożenie przysięgi jest obowiązkowe. Okazało się, że tak, więc wtedy zapytali, czy przysięga złożona pod przymusem jest ważna. Biedny politruk wił się, jak wąż, zażarte dyskusje trwały przez kilka kolejnych zajęć i niczego nie wyjaśniły. W końcu i tak musieliśmy się stawić na uroczystość złożenia przysięgi. Jeden z oficerów odczytywał jej treść zdanie po zdaniu, a wojsko chórem powtarzało za nim. W końcu doszedł do frazy mówiącej o dotrzymaniu wierności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wojsko ją powtórzyło, ale kolejne słowa o wierności dla armii Związku Radzieckiego powtórzyło może kilkanaście głosów. Cisza w tym momencie została jeszcze bardziej uwypuklona głośnym powtórzeniem kolejnej frazy o dotrzymaniu wierności innym armiom sojuszniczym. Na zakończenie uroczystości

bateria armat oddała salut iluś tam salw. Nawiasem mówiąc tą „artylerią” była ukryta za wzgórzem drużyna wojska odpalająca w regularnych odstępach wiązki petard.

Niedziele mieliśmy wolne. Większość po prostu wypoczywała, nic nie robiąc, czy grając w bridża. Do jedyne go kina w odległym o kilka kilometrów Orzyszu nie chciało się nikomu chodzić. Po zmroku wyświetlano nam filmy w obozie na rozwieszonym między drzewami ekranie. Można je było oglądać z dwóch stron, przy czym ci patrzący z tyłu nie mogli odczytywać napisów, jeśli takie były, no i musieli się pogodzić z tym, że aktorzy zamieniali się w mańkutów.

Niektórzy z nas odkryli po przeciwnej stronie jeziora wojskowy ośrodek wypoczynkowy i tam spędzali czas. Ale na terenie ośrodka w żadnym wypadku nie mogli przebywać szeregowcy. Chłopcy chowali mundury w krzakach i wkradali się na plażę w samych spodenkach, po których trudno było poznać szarżę. Większość wczasowiczów stanowiły żony oficerów, często z dziećmi, ale na ogół bez mężów, więc bywało miło. Liczba studentów odwiedzających ośrodek wzrastała z niedzieli na niedziele i w końcu doszło do jakiegoś damsko-męskiego skandalu. Zorientowano się przy tym, że nie wszyscy plażowicze płci męskiej są zameldowanymi w ośrodku oficerami i podjęto akcję ich wyłapywania. Naszych studentów łatwo było rozpoznać po identycznych wojskowych gatkach, nie pozostało im więc nic innego, jak szybko opuścić teren ośrodka. Wszystkim się to udało, ale jeden schował mundur nie w lesie poza ośrodkiem, lecz pod pomostem w ośrodku i nie mógł po niego wrócić. Zameldował się w obozie bez munduru. Mundur odzyskano, ale student dostał 3 dni aresztu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby to był areszt ścisły, gdyby nie głupota profosa, czyli szefa aresztu i gdyby nie to, że areszt był aż w Orzyszu. Zasada aresztu zwykłego polega na tym, że chodzi się na zajęcia, a siedzi po ich skończeniu i w nocy. Zatem po zajęciach stawili się w obozie dwaj strażnicy, zabrali aresztantowi sznurówadła od butów oraz pasek od spodni i popędzili kilka kilometrów do Orzysza. Rano przypędzili z powrotem do obozu na

zajęcia i dopiero wtedy oddali sznurowadła i pasek. Już po tych dwóch spacerach w butach bez sznurowadeł, nie trzymających na miejscu onuc, chłopak miał rany na nogach, a czekało go jeszcze wiele godzin biegania na zajęciach i kolejne wędrówki bez sznurowadeł przez następne dwa dni. Zrobiła się afera i chyba zamiast do aresztu trafił do lekarskiej izolatki w namiocie – dokładnie zakończenia tej sprawy nie pamiętam.

Jak wspomniałem wyżywienie na obozie było kiepskie. Raz zdarzyła się nawet śmierdząca słonina, którą podawano zamiast masła do chleba, drugi raz śmierdzące kotlety. Głośny protest studentów spowodował natychmiastowe wycofanie tych produktów i podanie zastępczych, ale w niezadowalającej ilości. Na dodatek jak zastępca dowódcy plutonu skończył jeść, to nie czekając na innych, wstawał i wołał:

– Koniec jedzenia! Powstań! Wychodzimy! Zbiórka!

I czy ktoś skończył jeść, czy nie, musiał wstać i wyjść.

Kilka przyczyn złej jakości jedzenia zdołałem poznać odbywając służbę w kuchni. Trafiłem tam za karę, bo zbyt intensywnie protestowałem przeciw przydzieleniu naszego plutonu poza kolejką do obierania kartofli. Przed wejściem do kuchni lekarz sprawdzał czystość mających tam pracować. Wiedziałem, że ogranicza się do oglądania rąk, więc postarałem się, by były wyjątkowo brudne. Myślałem, że może nie zostaną dopuszczony do pracy w kuchni. Nic z tego.

– Czyste, w porządku – zawyrokował lekarz.

Pracę zaczęliśmy po śniadaniu. Fachowa część załogi kuchni to byli zawodowi kucharze, rezerwiści powołani na ćwiczenia. Mieli poczucie humoru. Pierwszym kawałem, jaki nam zrobili, było polecenie wygaszenia ognia pod kotłem z gotującymi się kartoflami, bo kocioł był zbyt wielki i ciężki, aby można było go odstawić z paleniska.

– Kolego! – rzekł starszy kucharz do jednego z naszych – To musi być wygaszone błyskawicznie, bo się kartofle rozgotu-

ją. Trzeba po prostu otworzyć drzwiczki od paleniska i chlusnąć w nie kubłem wody.

Chłapak tak zrobił. Ogień rzeczywiście zgasł natychmiast, ale cały kłęb pary zmieszanej z popiołem i niedopaloną, węglowym miałem buchnął przez otwarte drzwiczki zamieniając delikwenta w Czarnego Piotrusia. Część tej popiołowo-węglowej zamieci unosiła się w powietrzu opadając powoli na przygotowaną sałatkę, zupę i wszystko inne. Śmiechu było co niemiara. Odtąd też pusty śmiech mnie ogarnia, gdy widzę w restauracji dbającego o higienę gościa, który wyciera podane mu sztućce w serwetkę. Sam nigdy tego nie robię, bo zdaję sobie sprawę, ile brudu wchodzi w skład tego, co konsumuję. Na przykład w zupie, którą za chwilę mieliśmy podawać, znajdowały się dwie kostki mydła, bo pomyliłem je z kostkami sproszkowanej zupy. Były podobne i leżały obok. Jak się zorientowałem, było już za późno na wyciągnięcie ich z dna głębokiego kotła z gorącą wodą. Jednak wydawanie baniaków z zupą w ostatniej chwili kucharz wstrzymał, ale z zupełnie innego powodu. Mianowicie począł dosypywać do każdego baniaka po wazowej łyżce soli i mieszać.

– Co pan robi? – krzyknąłem. – Zupa była już solona w kotle.

– Cicho! – odparł kucharz. – Temu w kantynie zepsuło się piwo, a musi je sprzedać. Rozumiesz?

Zrozumiałem. Zrozumiałem też, dlaczego kartofle nie były nigdy kraszone. Otóż były kraszone. Wierzchnią warstwę kartofli każdego gara z wydawanymi kartoflami kucharz osobiście polewał topioną słoniną ze skwarkami. Potem każdy członek kuchennej ekipy stawał przy jednym garze i przekładał te okraszone kartofle na swój talerz. Na stołówkowe stoły żadna skwarka nie miała szansy trafić.

Po obiedzie przyjechał samochód dostawczy. Przywiózł kiełbasę na kolację. Duży pojemnik z kiełbasą dźwigało dwóch konwojentów w towarzystwie kierowcy uzbrojonego w klucz francuski. Każdy członek personelu kuchni usiłował porwać dla siebie z tego pojemnika przynajmniej jedno pęto kiełbasy. Dość skutecznie przeszkadzał temu wymachujący kluczem kierowca

oraz rozdający kopniaki konwojenci. Trwało to aż do postawienia pojemnika na wagę i zanotowania jej wskazań. Od tego momentu sytuacja uległa odwróceniu o sto osiemdziesiąt stopni. Kierowca i konwojenci usiłowali porwać kielbasę z pojemnika, a personel kuchni uzbrojony w noże bronił kielbasy. W sumie wynik tej rozgrywki był remisowy. Każda ze stron ukraffała na własny użytek kilka pęt kielbasy, którą powinno zjeść wojsko.

Na obozie kwitło też życie artystyczne. Podczas wielogodzinnego, wieczornego obierania kartofli przez naszą kompanię odgrywaliśmy liczne skecze, a Jurek Piskorski z dużym aktorskim talentem naśladował głos radiowego profesora Pęduszki wykpiwając różne aspekty naszego żołnierskiego losu. Występy te zyskały dużą popularność i przychodzili przysłuchiwać się żołnierze innych kompanii. Pewnego dnia przyszło nawet całe dowództwo obozu. Wtedy prowadzący te występy w roli konferansjera Jurek Ocioszyński wręczył komendantowi trzymany w ręku kartofel będący substytutem mikrofonu i poprosił o wywiad. Komendant speszył się, nic nie powiedział, oddał kartofel i odszedł wraz ze swym sztabem. W marszu wojsko śpiewało piosenki wykorzystujące popularne melodie, ale o treści nawiązującej do aktualnych wydarzeń w naszym obozie. Przed wieczornym capstrzykiem odbywano też rytualne obrzędy, podczas których z ulgą odnotowywano, że upłynął kolejny dzień wojska i ze zgrozą podawano liczbę dni pozostałych do końca obozu. Treści wznoszonych przy tym okrzyków ani tekstów śpiewanych piosenek nie mogę przytoczyć ze względu na obyczajową autocenzurę.

Po zdaniu końcowych egzaminów oczekiwaliśmy z utęsknieniem na zakończenie obozu. Ostatniego dnia przydzielono nam na drogę prowiant w postaci konserw. Jego nieuczciwy podział przez zastępcę dowódcy plutonu utwierdził nas w przekonaniu o konieczności spuszczenia mu lania po zakończeniu obozu i za to, i za całokształt postawy. Tymczasem oddaliśmy broń i całe wyposażenie, zwrócono nam z magazynu cywilne

ubrania, ale wciąż nie wręczano świadectw ukończenia obozu, awansowania na podoficerskie stopnie i książeczek wojskowych z wpisami przeniesienia do rezerwy. A czas odjazdu jedynego na dobę pociągu z Orzysza do Warszawy zbliżał się niebezpiecznie szybko. Zbiórkę do wydania dokumentów zarządzono godzinę przed odjazdem pociągu, natomiast do stacji było ze 7 kilometrów. Komendant celebrował wręczanie, gratulował, ścisnął dłonie, a każdy po otrzymaniu dokumentów wypryskiwał jak biegacz na sto metrów z bloków startowych i pędził do Orzysza. Wkrótce, jak szosa długa, jej wstęgą maszerował i podbiegał na zmianę peleton studentów, a komendant powoli wyprzedzał go jadąc gazikiem, uśmiechał się i pozdrowiał nas machając dłonią. To była przedostatnia nauka, jaką wyniosłem z wojskowego obozu, ucząca jak można zapobiec tzw. mordobiciu byłych zwierzchników. Po prostu należy nie dać na to czasu. Na peron wpadłem dwie minuty przed przyjazdem pociągu. Fakt, że czekało na niego tysiąc dodatkowych pasażerów skłaniał mnie do chęci wskoczenia do wagonu zanim jeszcze pociąg stanie na dobre, by zająć siedzące miejsce. Ale po tym biegu nogi miałem jak z waty. Zrezygnowałem. W przedziale ulokowało się nas czternastu. Jakoś dojechalśmy. Wszyscy klęli komendanta, że mógł przecież uprzedzić PKP o dodatkowej liczbie pasażerów tego dnia i by podstawiono więcej wagonów.

– Moglibyśmy wtedy w pociągu dać po pysku zastępcy dowódcy plutonu – rzekł ktoś z żalem.

– No właśnie – dorzucił inny. – A tak nie możemy, bo precyzyjnie się nie da, żeby go w tym tłoku znaleźć.

Komendant wiedział, jak chronić funkcyjnych nawet już po zakończeniu szkolenia. I to była ostatnia nauka wyniesiona przez nas z obozu.

Po powrocie do domu zabrałem się za lekturę wiekopomnego dzieła Jarosława Haszka pt. „Przygody dobrego wojaka Szwejka”. Czytałem je oczywiście i zachwyciałem się nim już wcześniej, ale dopiero powtórna jego lektura, po odbyciu szkolenia wojskowego w Studium i na obozie umożliwiła mi zrozumienie wielu, niedostrzeganych wcześniej

zumienie wielu, niedostrzeganych wcześniej niuansów, podtekstów, sytuacyjnego humoru, różnic w mentalności zawodowych wojskowych i tych z poboru. Żeby w pełni ocenić i docenić tę książkę trzeba przejść tę szkołę życia, jaką – z wszelkimi jej wadami i zaletami – jest służba w wojsku. Pokolenie moich synów na przykład, które ona zupełnie ominęła, jest w pewnym stopniu uboższe o doświadczenia pozwalające mu w pełni pojąć geniusz Jarosława Haszka. Może jednak ta strata jest wartą do zapłacenia ceną.

Tu przypomina mi się rozmowa, jaką wiele lat później odbyłem z prof. Janem Podoskim – byłym dziekanem Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, który w czasie wojny był bliskim współpracownikiem generała Sikorskiego, a po wojnie został skazany na 8 lat więzienia za rzekome szpiegostwo i przesiedział 5 lat.

– Każdy powinien posiedzieć, bo to jest świetna szkoła życia – powiedział profesor – ale najwyżej rok. Dłużej to strata czasu.

Podobnie jest chyba z wojskiem.

Szkoła Oficerska

Dalszy ciąg mojej wojskowej przygody wykracza już poza ramy okresu studiów, ale opowiem je tu dla zamknięcia tematu. Przeniesienie do rezerwy w stopniu plutonowego – podchorążego nie oznaczało końca wojskowych obowiązków. Zgodnie z założeniami absolwenci wyższych uczelni powinni mieć oficerskie kwalifikacje. W 1962 r., czyli drugim roku mej pracy zawodowej, dopadło mnie wezwanie do ukończenia trzymiesięcznego kursu dla oficerów rezerwy. Dano mi nawet do wyboru kilka szkół oficerskich. Wybrałem najbliższą i chyba „najmądrzejszą”: Oficerską Szkołę Łączności w Zegrzu.

Kurs zaczął się w początku stycznia 1962 r. Po przyjeździe na miejsce umundurowano nas, podzielono na kompanie i plutony i przedstawiono nam dowódców kompanii. Wtedy Jurek Przybysz – z którym wspólnie „wojowaliśmy” na obozie

koło Orzysza, a też tu trafił – zapytał, kiedy wybierzemy dowódców plutonów. Dowódca naszej kompanii, kapitan K., oświadczył wówczas ze złośliwym uśmiechem, że dowódców to podobno żołnierze wybierają w chińskim wojsku, a u nas to on będzie ich mianował. Tak się stało. Widząc nas pierwszy raz w życiu musiał się przy tym kierować danymi z naszych teczek personalnych, ale jakie kryteria decydowały o wyborze, nie wiem. Pewnie szukał zdyscyplinowanych członków partii, Związku Młodzieży Socjalistycznej czy Związku Młodzieży Wiejskiej. Mianowani przez niego spełniali posłuszenie swe funkcje i chyba o to głównie chodziło. Byli to spokojni, przyzwyczajeni chłopcy, którzy w mej pamięci nie zapisali się niczym złym.

Zakwaterowano nas w dużym, koszarowym budynku, w kilkudziesięciosobowych salach. Dowódca kompanii przydzielił do każdego plutonu zawodowego podoficera w roli pomocnika dowódcy plutonu. Zadaniem tych pomocników było nauczyć nas porządku, musztry i dyscypliny. Zaczęli od ścielenia łóżek. Miały być one posłane zgodnie z regulaminem. Wywinęty na wierzch koca pas prześcieradła zastępującego poszwę musiał mieć wymiary dotrzymane z dokładnością milimetra, żadnej fałdki na kocu itd., itd. Praktycznie żadne łóżko nie było dla nich właściwie posłane, więc robili nam po kilkanaście „pilotów” dziennie wywalając pościel na podłogę. Wieczorem mieliśmy już gotowy plan ucywilizowania tych zakupów. Stołowali się oni w tym samym kasynie, co my, ale my jadaliliśmy pierwsi, oni w drugiej turze. Postanowiliśmy wykorzystać ten fakt oraz to, że przy spotkaniu się podoficerów równych stopni, pierwszy powinien oddać honor podoficer, który nie jest podchorążym. A najstarszy stopniem z nich był zaledwie plutonowym. Zaraz po zjedzeniu obiadu ustawiliśmy w niewielkich odstępach na drodze od kasyna naszych kolegów ze stopniami plutonowych i sierżantów. Gdy instruktorzy od ścielenia łóżek spiesząc na obiad zasalutowali pierwszemu z podchorążych, ten ostrym głosem zatrzymał ich, obrugał za niedbałe salutowanie, pouczył, jak to się powinno robić i kazał powtórnie oddać honor. Znów doszukał się jakiejś nieprawi-

dłowości, powtórzył lekcję salutowania kilka razy i wreszcie pozwolił im odejść życząc smacznego. Ale kilkanaście metrów dalej stał następny podchorąży, za nim kolejny itd. Przy piątej powtórce tej kabaretowej sceny poczęli naszych instruktorów mijać ich koledzy wracający już z kasyna po obiedzie. Głodówka, bo na obiad nie zdążyli, dobrze zrobiła naszym prześladowcom: więcej się na terenie kompanii się nie pokazali.

Dzień w Szkole Oficerskiej zaczynał się pobudką, po której następowała gimnastyka. Polegała ona na biegu dookoła obozu, jeszcze w nocnych ciemnościach, po wykrotach i wertepach, na których można było połamać sobie nogi. Takiej gimnastyki nie akceptowałem i zastępowałem ją załatwianiem w tym czasie czynności fizjologicznych. Potem był uroczysty apel i defilada przed dowództwem obozu. Nie cierpieliśmy tej parady i zawsze wyznaczaliśmy dyżurnego, który niby niechcący przewracał się, na niego wpadało kilku innych i cała kolumna musiała się zatrzymać. Doszło do tego, że na kilka lat „znielubiłem” piękną melodię „Warszawianki”, w której takt codziennie przez 3 miesiące musiałem maszerować defiladowym krokiem. Kiedyś ulepiliśmy w nocy bałwana i ustawiliśmy na trybunie honorowej, w miejscu zajmowanym zwykle przez komendanta. Bałwan miał wojskową czapkę i guziki od munduru. Prezentował się wspaniale, prawie jak komendant. Niestety, został rozwalony przez służbę porządkową zanim komendant przybył. Po apelu było śniadanie, a po nim zajęcia do obiadu. Po obiedzie teoretycznie był czas wolny, ale o tym za chwilę.

Co do posiłków, to muszę przyznać, że były one smaczne i wystarczająco obfite. Zawdzięczaliśmy to fachowości personelu, który prawie w całości został niedawno przeniesiony za karę z oficerskiego kasyna w Warszawie. Mieściło się ono i mieści nadal w kompleksie budynków MON między ul. Nowowiejską, Filtrową i Al. Niepodległości, a jadają tam nawet oficerowie sztabu generalnego. Skąd to wszystko wiem? Stąd, że ja też się tam stołowałem przez pewien czas w studenckich latach, gdy nie byłem w stanie jeść tego, co podawano w aka-

demickich stołówkach, chociaż było w nich prawie trzy razy taniej. Do oficerskiego kasyna udało mi się dostać, bo pracowała tam znajoma mamy jeszcze z czasów wojny. Dzięki niej tolerowano w kasynie nie tylko mnie, ale i mojego przyjaciela ze szkoły, Tadzia Wróblewskiego oraz jego trzech kolegów, z którymi studiował medycynę. W kasynie była obsługa kelnerska, 2 zupy i 3 drugie dania do wyboru oraz deser. Dodatkowo w dobrze zaopatrzonym bufecie można było trafić bez kolejki na szynkę i inne trudnodostępne produkty. Jakość i ilość potraw była często kontrolowana. Od czasu do czasu w jadalni pojawiali się niespodziewanie dwaj oficerowie, każdy z tzw. trojaczkami, czyli naczyniami przystosowanymi do transportu 3 dań. Przepraszali konsumentów zabierając im podane właśnie porcje obiadowe, przekładali je do trojaczek. Konsumenci otrzymywali oczywiście nowe porcje, a tamte trafiały do laboratoryjnego badania. Dwukrotne powtórzenie się negatywnych wyników badań spowodowało przeniesieniem całego personelu kasyna z Warszawy do Zegrza. Opowiedziała mi o tym w zafaniu jedna z pracownic, która pamiętała mnie z warszawskich czasów i poznała, choć mundur zmienia wygląd. A poznała, bo zapamiętała jako mimowolnego uczestnika skandalu wywołanego przez jednego z kolegów Tadeusza. Ów przyszły lekarz począł adorować bardzo ładną żonę jednego z oficerów, która przychodziła na obiady do kasyna, czasem z mężem, czasem sama. Gdy odmówiła umówienia się na randkę, amant nie zrezygnował. Utalentowany wokalnie postanowił ją oczarować odśpiewując na klęczkach przed nią arię „Usta milczą, dusza śpiewa” z operetki „Wesoła wdówka” Lehara. Skutkiem tego było wyrzucenie nas z kasyna i przekazanie portierowi polecenia, by nas więcej nie wpuszczał.

Same zajęcia w szkole Oficerskiej były nawet ciekawe i potrafiły nauczyć czegoś nowego. Prowadzili je oficerowie – praktycy i absolwenci Wojskowej Akademii Technicznej, niekoniecznie dobrowolni. Jeden z nich opowiadał, że był studentem Politechniki Warszawskiej i wraz z wielu innymi przepisano go do WAT nie pytając o zgodę. Bał się protesto-

wać, bo mogłoby się to skończyć relegowaniem z uczelni i zasadniczą służbą wojskową. A w WAT dostał dodatkowo wyżywienie, umundurowanie, darmowy akademik, stypendium. Po skończeniu i odpracowaniu w wojsku iluś tam lat mógł pójść do cywila, ale ex oficer-inżynier nie był specjalnie pożądany w cywilnych instytucjach, a poza tym wojsko dało mu mieszkanie. Więc został.

Oprócz teoretycznych wykładów były zajęcia praktyczne. Polegały one na nauce obsługi radiostacji różnych typów, dalekopisu, rozwijania linii telefonicznych i reperacji sprzętu. Organizacja tych ostatnich była imponująco sprawna. Każdego uczestnika zajęć sadzano przy stole laboratoryjnym, wyposażonym w kilkadziesiąt różnego rodzaju narzędzi i przyrządów, od śrubokręta przez lutownicę po miernik uniwersalny. Dostawał uszkodzoną radiostację, łącznicę telefoniczną czy telefon, musiał w określonym czasie znaleźć i naprawić uszkodzenie. Zajęcia te dla 15-osobowej grupy prowadził jeden oficer. Służył radami i fachową pomocą. Najbardziej podobał mi się przy tym system odbioru kilkunastu narzędzi od każdego z kilkunastu ćwiczących. Trwało to w sumie nie dłużej niż trzy minuty. Otóż narzędzia te były ułożone, każde na wyprofilowanym do jego kształtu i rozmiarów miejscu, w pionowo ustawionej tablicy przypominającej ołtarz Wita Stwosza z rozłożonymi, bocznymi skrzydłami. Oficerowi wystarczyło tylko rzut oka, by stwierdzić, że wszystkie miejsca przeznaczone na narzędzia są nimi zapełnione, zamykał boczne skrzydła i przekręcał kluczyk w zamku.

Wypełnienie wolnego czasu po zajęciach rodziło problemy. Nie bardzo było wiadomo, co z nim robić, dokąd pójść. Aby opuścić obóz potrzebna była przepustka, kilkunastostopniowe mrozy nie zachęcały do spacerów, znajdujące się na terenie obozu kino uruchamiano raz w miesiącu. Na miejscu mieliśmy bibliotekę, kawiarnię, a przy każdej kompanii świetlicę z telewizorem. W niej spędzaliśmy chyba najwięcej czasu grając w brydża i oglądając ciesząc się ogromnym powodzeniem serial „Zorro”. Ale tu nasz dowódca kompanii nie dawał

spokoju. Nudząc się w domu wpadał kilka razy w ciągu popołudnia i zarządzał zbiórki do czyszczenia broni, porządkowania terenu itp. Co sprytniejsi starali się tego unikać chodząc do świetlicy sąsiedniej kompanii, ale kapitan po pewnym czasie zorientował się i wyciągał nas również stamtąd. Wtedy z Jurkiem Przybyszem odkryliśmy znajdującą się na terenie szkoły przychodnię rehabilitacyjną i czarując dyżurujące tam pielęgniarki wpisaliśmy się na listę pacjentów. Codziennie po południu spędzaliśmy tam kilka godzin poddając się różnym rehabilitacyjnym gimnastykom i innym zabiegom. Kapitan wciąż nas szukał, bo nie bywaliśmy na tych dodatkowych zbiórkach, ale nie mógł odkryć, gdzie się podziewamy. Gdy nas o to pytał stwierdzaliśmy, że trenowaliśmy właśnie marszobiegi w wolnym czasie, ale gdybyśmy wiedzieli, że będzie zbiórka, to oczywiście stawilibyśmy się natychmiast. Po dwóch tygodniach zdradziła nas intensywna opalenizna uzyskana na skutek nasświetlań lampą kwarcową. Kapitan stwierdził, że nie mamy skierowań od lekarza na te rehabilitacje i zabronił nas tam wpuszczać. Był okres, że chodziłem po południu przespać się na stercie koksu w kotłowni, ale zrezygnowałem, bo było niewygodnie.

W nocy też nie było spokoju. Gdy zasnęliśmy na dobre, kapitan przychodził, zapalał światło budząc wszystkich i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Za którymś razem rzucono w jego kierunku kilka soczystych wiązek niecenzuralnych określeń oraz kilkanaście boleśnie celnych, ciężkich, podkutych gwoździami, żołnierskich butów. Uciekł zabierając kilka ze sobą. Rano, gdy zaczął straszyć konsekwencjami tych, którzy stawili się na zbiórkę bez butów lub tylko w jednym, ci wytłumaczyli mu, że nie wiedzą, kto rzucał ich butami, a ponadto regulamin pozwala na zapalanie światła po capstrzyku tylko w przypadku pobudki na zaplanowane zajęcia nocne. Długo nie musieliśmy na nie czekać. Następnej nocy kapitan ogłosił alarm i zorganizował nocny marsz. Ustawił kompanię w kolumnie czwórkowej, wyprowadził na szosę, stanął na jej czele i pomaszzerowaliśmy różnym krokiem w dal. Ale ostatnie szeregi natychmiast zwolniły idąc powolutku, krok za krokiem.

Po pewnym czasie kapitan zorientował się, że kolumna marszowa rozciągnęła się za bardzo, stanął na poboczu szosy, poczekał na nadejście ostatnich szeregów i począł je przyspieszać. Skutek był mizerny, a pierwsze szeregi w tym czasie maksymalnie przyspieszyły tempo marszu. Kolumna rozciągnęła się jeszcze bardziej. Kapitan pognał na czoło, krzycząc by zwolniło, ale z powodu dużej odległości rozkazy te nie były słyszalne, a tylne szeregi znów zmniejszyły tempo do minimum. Efekt był taki, że odległość od czoła kompanii do ostatniego jej szeregu osiągnęła ponad kilometr i nie było możliwości dowodzenia nią jako całością. Biegający wzdłuż kolumny kapitan począł wykrzykiwać rozkaz powrotu do obozu. Ten rozkaz został, o dziwo, usłyszany, zrozumiany i sprawnie wykonany. Więcej marszów nocnych nie było.

Ja podpadłem kapitanowi już na samym początku przedstawiając mu pismo z mojej pracy proszące o zwalnianie mnie raz w tygodniu, w środy, z obozu, w celu przeprowadzenia zajęć ze studentami, na których nie było komu mnie zastąpić. Oczywiście było w tym tylko pół prawdy, bo niezastąpionych są pełne cmentarze, ale kapitan nie musiał o tym wiedzieć. Zwolnił mnie bardzo niechętnie i wykreślił z listy zapisanych na przyznawaną wszystkim przepustkę od soboty po południu do poniedziałku rano.

– Byliście na przepustce w środę – powiedział – to wystarczy.

Pojechałem więc do domu bez przepustki, czego się nie dało ukryć. Za karę kapitan cofnął mi zgodę na środowe przepustki w ogóle, a na sobotnio-niedzielne do odwołania. W środę więc nie pojechałem, bo to byłaby dezercja, a w sobotę znów przelałem przez dziurę w płocie i pojechałem do Warszawy. Mogłem sobie na to pozwolić, bo cały kurs rezerwy podjął uroczyste zobowiązanie, że będzie tak zdyscyplinowany, iż nikt nie będzie ukarany dyscyplinarnie. Areszt mi więc nie groził, bo dowództwo – forsując takie idiotyczne, formalnie przyjęte i ogłoszone zobowiązanie – nie mogło sobie pozwolić na jego złamanie i musiało przymykać oczy na lekceważenie dyscypliny. W następną sobotę też pojechałem, ale żeby nie przeciągać

struny poprosiłem jednego z kolegów, by spał na moim łóżku. On był z Krakowa, więc nie mógł w czasie weekendu wykorzystać przepustki na wyjazd do odległego domu. Urządzała go przepustka kilkudniowa. Tę mógł uzyskać np. w nagrodę za wybitne wyniki w strzelaniu. Tym mu się właśnie rewanżowałem. Wystarczyło, że podczas strzelania zajmowaliśmy jeszcze z jednym kolegą stanowiska strzeleckie po obu stronach Krakusa i zamiast do swoich tarczy, strzelaliśmy razem z nim do jego tarczy. Wyniki były rewelacyjne. Czasem przewyższały maksimum punktów możliwych do uzyskania. Krakus więc chętnie przenosił się na moje łóżko. Kapitan już nie zapalał w nocy światła, ale przychodził z latarką sprawdzać, czy jestem. Tym i następnym razem się udało, ale a trzecim razem się zorientował. Postanowiłem się nim nie przejmować i jechać w następną sobotę, ale okazało się, że kapitan zabronił dyżurnemu wydawania mi od soboty po południu do niedzieli mojego wojskowego płaszcza. A zima była sroga, bez płaszcza jechać nie mogłem. Był to jedyny przypadek, kiedy zostałem na weekend w obozie i czułem się bardzo źle, jak w więzieniu. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca i czułem się nieszczęśliwy, że nie mogę się spotkać z Wandą – moją wówczas narzeczoną, a od kilkudziesięciu lat ukochaną żoną – do której bardzo tęskniłem. Powetowałem to sobie kilkoma służbowymi wyjazdami w środku tygodnia do okulisty ordynującego w Centralnej Przychodni Lekarskiej dla wojska w Warszawie. Kapitan wątpił w moje nagłe odkrycie krótkowzroczności, ale przekonały go wyniki strzelania. Ich analiza wykazała, że nie trafiałem nawet w tarczę. O tym, że strzelałem do tarczy sąsiada nie przyszło mu do głowy. Zresztą okazało się, że rzeczywiście brakuje mi w jednym oku pół dioptrii, a w drugim całej i dostałem okulary. W następną sobotę pożyczyłem płaszcza od kolegi. Kapitan też to rozszyfrował i kolega miał nieprzyjemności. W końcu rozwiązałem problem przez pożyczanie płaszcza z sąsiedniej kompanii, gdzie kapitan nie miał żadnej władzy, ani nawet wpływów. Kompanią tą dowodził przesympatyczny kapitan Przeniosło, którego wszyscy bardzo lubili.

Do końca obozu wyjeżdżałem w każdą sobotę nielegalnie, bez przepustki. Nikt mnie za to nie ukarał, chociaż kierownictwo obozu w końcu musiało złamać zobowiązanie o niekaraniu i skazało jednego z kursantów na trzy dni aresztu, czemu trudno się dziwić. Pojechał na przepustkę, upił się, narozrabiał, został zatrzymany przez wojskowy patrol na wezwanie milicji, znaleźli przy nim wywiezioną poza obóz, wbrew przepisom, instrukcję do pistoletu TT z pieczętą tajne przez poufne. Poza tym usiłując połączyć się przed wyjazdem z obozu telefonicznie z domem zbluzgał ordynarnie telefonistkę. Ta ostatnia kropla chyba przelała czarę, bo w wojskowych centralach telefonicznych, kantynach, księgowości itp. były na ogół zatrudniane żony oficerów.

W trakcie pobytu w Szkole Oficerskiej przekonałem się, jak duże znaczenie ma wywiad. Kierownictwo obozu organizowało posiedzenia tzw. aktywu, a więc podchorążych pełniących funkcje dowódcze oraz członków partii, ZMS i ZMW. Omawiano tam różne posunięcia, inicjatywy i plany dotyczące wszystkich podchorążych i zobowiązywano ten aktyw do agitowania na ten temat. Żeby wiedzieć, co się tam knuje Jurek Przybysz podał się za członka ZMS, ale jego dokumenty tego nie potwierdziły. Powiedział więc, że był członkiem ZMS jako student, ale po skończeniu studiów zaniedbał formalności związane z przeniesieniem do koła działającego w instytucji, gdzie pracuje, złożył samokrytykę, obiecał, że po obozie to zrobi i został przyjęty do grona aktywu. Dzięki niemu wiedzieliśmy zawsze, co nas czeka i mogliśmy się do tego odpowiednio przygotować. Jedną z bulwersujących wieści, jaką nam Jurek przekazał, dotyczyła budowy basenu przeciwpożarowego, który miał być jednocześnie basenem pływackim. Myśl sama w sobie była przednia, tylko ten basen mieliśmy wykopać w czynnie społecznym w wolnym czasie, łopatomy w zamarzniętej zimnej ziemi. Zaplanowano, że zobowiązanie na ten temat podejmie zebranie żołnierskie. Zostało ono wkrótce zwołane, ale byliśmy dobrze przygotowani. Zebranie otworzył główny aktywista. Powitał przybyłe w komplecie dowództwo oraz podchorążych i

już zamierzał referować sprawę, gdy na sali podniósł się ktoś i powiedział, że dobrze by było formalnie wybrać przewodniczącego zebrania.

– Oczywiście – zgodził się aktywista – i zapytał, jakie są kandydatury.

Czujny komendant natychmiast wysunął kandydaturę aktywisty, a z sali padła inna kandydatura; dalszych nie było.

– Kto jest za pierwszą kandydaturą, czyli moją? – zapytał aktywista.

Ręce podniosło całe prezydium, czyli dowództwo i paru lizusów czy strachajłów z sali; w sumie było to mniej niż 20 głosów. Aktywista zmieszał się bardzo, ale musiał zapytać:

– Kto jest za tą drugą kandydaturą?

Do góry podniósł się las rąk. Pytania o liczbę wstrzymujących się nie było już sensu stawiać.

Wybrany przewodniczący stanął za stołem prezydialnym, uprzejmie podziękował aktywiście za rozpoczęcie zebrania, jeszcze raz serdecznie przywitał dowództwo oraz podchorążych i zapytał o program zebrania.

– Właściwie jest tylko jeden punkt – powiedział komendant – Chcielibyśmy, żebyście uchwalili budowę w czynie społecznym basenu przeciwpożarowego, który w lecie też przyda się naszym studentom do nauki pływania i kąpieli

– Świetnie – powiedział przewodniczący. – Poddaję wniosek pod głosowanie. Kto jest za?

Uniosło się w górę kilkanaście rąk, tych samych uczestników zebrania, którzy głosowali za wyborem aktywisty na przewodniczącego.

– Kto jest przeciw?

Prawie wszyscy podnieśli ręce.

– Dziękuję – powiedział przewodniczący. – Nie ma potrzeby liczyć. Wniosek, niestety, został odrzucony przeważającą liczbą głosów. Czy są jeszcze jakieś sprawy do omówienia? Nie ma? W takim razie dziękuję wszystkim z przybycie i zamykam zebranie.

Dodajmy, że całe zebranie trwało nie dłużej niż 5 minut. A to, że uniknęliśmy katorżniczej pracy zawdzięczaliśmy Jurkowi Przybyszowi.

Jurek zasłynął jeszcze jednym wyczynem. Miał wtedy dyżur „na bramie” wjazdowej i obowiązek sprawdzania, czy chcący się dostać do środka mają odpowiednie przepustki. W pewnym momencie do okienka, za którym urzędował Jurek podszedł jakiś żołnierz, przedstawił się jako kierowca generała Urbana i zażądał otwarcia bramy, bo generał Urban przyjechał z wizytą do komendanta. Jurek potraktował to jako głupi żart. Powiedział, że nie zna takiego generała, nikt go nie uprzedził o jego przyjeździe i nie chciał otworzyć bramy. Skończyło się na tym, że komendant przybiegł osobiście powitać i przeprosić generała. Jurkowi uszło to na sucho; przecież wykazał czujność.

Na koniec kursu odbyły się egzaminy. Były o tyle łatwe, że w każdym, losowanym zestawie pytań jedno dotyczyło uruchomienia i nastrojenia radiostacji. Przygotowujący się do egzaminu uruchamiał radiostację, chował za nią głowę, zakładał słuchawki i łączył się z grupą oczekującą na swoją kolejkę, która też miała do dyspozycji radiostację. Wystarczyło tylko uzgodnić wcześniej długość fali i zanotować na kartce podyktowane odpowiedzi na przekazane przez radio pytania. Były to przeważnie pytania o liczbowe dane techniczno-taktyczne urzędzeń, których nikt rozsądny nie uczył się na pamięć. Komisja była zachwycona poziomem naszej wiedzy i intelektualnymi możliwościami zapamiętania setek danych liczbowych. Nie wiem, czy rzeczywiście nie orientowała się w tej technice podpowiedzi, czy tylko udawała.

Oprócz egzaminów z przedmiotów technicznych był też egzamin z wychowania politycznego. Postanowiłem zdać go bardzo słabo, albo nawet oblać, licząc na to, że taki niepewny politycznie nie będzie chętnie w wojsku widziany. Pierwsze z dwóch pytań, jakie wylosowałem dotyczyło przyczyn klęski wrześniowej. Przy tak prostym zagadnieniu trudno było robić z

siebie głupka. Powiedziałem, że obronę oceniam jako bohaterką i prawidłową, a przyczyny klęski były trzy: różnica potencjału gospodarczego, bierność sojuszników i Związek Radziecki. Egzaminator nie komentował odpowiedzi i szybko przeszedł do pytania drugiego. Brzmiało ono mniej więcej tak: „Wpływ morale socjalistycznego żołnierza na przebieg i wynik wojny w warunkach atomowych”. Tu odpowiedziałem wprost, że nie wierzę we wpływ żadnego morale w tych warunkach.

– Wierzę, że w czasach, gdy walczyło się szablą, morale było niezwykle ważne – dodałem – ale nie teraz. Przecież uczyli nas na zajęciach z taktyki, że jak jakiś nieodpowiedzialny imbecyl naciśnie atomowy guzik, to trzeba się położyć nogami w kierunku wybuchu, nakryć pałatką i trzymać oburącz mocno głowę, żeby jej nie urwało. Nie wierzę w żadne morale.

– To chyba moja wina – uderzył się w piersi egzaminujący mnie oficer – bo nie zdołałem Was przekonać na wykładach. Przykro mi, zdaliście bardzo słabo, tylko na cztery. Zapomniałem, że niżej nie mógł mnie ocenić. Przecież kursanci złożyli zobowiązanie, że nikt nie zda poniżej czwórki.

Do domu zwolniono nas na trzy dni przed terminem. Powodem tego była podobno potrzeba zakupu nowych telewizorów do żołnierskich świetlic i przeznaczono na to pieniądze zaoszczędzone w ten sposób z funduszu przeznaczonego na wyżywienie wojska. Nikt z nas przeciw temu nie protestował.

Ćwiczenia

Uzyskanie oficerskich szlifów nie kończyło wojskowych powinności. Wciąż byłem zobowiązany brać udział w różnych ćwiczeniach, które mogły trwać jeden dzień, albo kilka tygodni. W pewnym okresie miałem nawet przydzielony mundur, który musiałem trzymać w domu. Ale bywało i gorzej. Niektórych wcielano zgodnie z prawem do armii na dwa lata i kazano pracować na potrzeby wojska za niewielką pensję podporucznika. Jeden z moich znajomych – Sergiusz Sinicyn – dobrze zarabiający inżynier budownictwa, mający właśnie otrzymać służbowe mieszkanie, dostał takie powołanie na dwa lata i przydział do

jednostki w Nowym Dworze. Mieszkanie przepadło, a kończąca w ciąży studia jego żona Hania musiała po urodzeniu dziecka wyprowadzić się z domu akademickiego. Gehennę, jaką wówczas przeżyli, trudno opisać. Były i odwrotne sytuacje. Inny mój znajomy – syn przedwojennego sierżanta, wychowany w kulcie wojska i jego entuzjasta – gdy po wezwaniu do odbycia dwuletniej służby nie tylko nie bronił się przed nią jak wszyscy, ale wyraził zadowolenie z powołania, nie został przyjęty. Taka postawa była zbyt podejrzana.

Moja metoda migania się od wojska polegała na odmowie przyjmowania przynoszonych przez listonosza wezwań. Po jakimś czasie przysłano po mnie wojskowy patrol: dwóch żołnierzy uzbrojonych w peemy. Gdy nieświadomy, kogo wpuszczam do mieszkania, otworzyłem drzwi zapytali:

– Pan Czajewski?

– Nie – odpowiedziałem beczelnie.

– A jest w domu?

– Nie, nie ma.

– A gdzie jest i kiedy będzie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem – Ja w ogóle nie chcę mieć z tym łobuzem nic wspólnego i nie podpiszę za niego żadnego wezwania, bo nie mogę ręczyć, czy je przyjmie.

Na takie dictum poszli. Nie przyszło im do głowy, a może nie było im wolno mnie wylegitymować. Nie zapytali, kim jestem dla poszukiwanego. Niestety następne wezwanie przyszło w dzień imienin mojej mamy. Urodzony jeszcze grubo przed wojną listonosz, który służbę w wojsku traktował jako zaszczyt i święty obowiązek, nie mógł zrozumieć mej postawy. Wykorzystał to, że razem z wezwaniem przyszedł telegram z życzeniami imieninowymi. Dał mamie telegram, podsunął druk pokwitowania wezwania, a po podpisaniu wręczył wezwanie. Mama myślała, że kwituje odbiór telegramu.

Tym razem musiałem się stawić w Wojskowej Komen-dzie Uzupełnień na ul. Złotej (wówczas Kniewskiego).

– No, to długo wymigiwaliście się od służby – rzekł urzędujący tam oficer – ale teraz macie się stawić w Wojskowych Zakładach Naprawczych, w Zegrzu na

Zakładach Naprawczych, w Zegrzu na dwutygodniowe ćwiczenia w okresie – i tu podał datę początku i zakończenia ćwiczeń.

– Ten termin mi zupełnie nie odpowiada – powiedziałem – mogę się stawić, ale w innym okresie.

– To już nie moja sprawa. Pojedźcie do jednostki i tam pertraktujcie – zakończył kwestię oficer.

Termin rzeczywiście mi nie odpowiadał, bo kolidował z zaplanowanym rejsem morskim, jaki miałem prowadzić. Pojechałem do Zegrza próbować załatwić zmianę terminu. Przyjął mnie major Z. Przedstawiłem mu sprawę, powiedziałem, że mogę przyjechać tydzień wcześniej, ale chciałbym wyjechać też o tydzień wcześniej. Powiedział, że wie o moich próbach unikania ćwiczeń, ale ku memu zdziwieniu zgodził się bez dyskusji na zmianę terminu. Stawiłem się punktualnie, umundurowano mnie, zakwaterowano, wypłacono żołd i kazało zaprojektować oraz wykonać z pomocą miejscowego warsztatu zasilacz do oświetlenia tablicy z planem dróg ewakuacyjnych. Zrobiłem, co kazali, ale tymczasem pojawił się poważny problem organizacyjny. Za trzy dni miała się pojawić grupa ok. 20 oficerów rezerwy powołanych na ćwiczenia, a major Z. też dostał wezwanie na odbywające się w tym czasie ćwiczenia weryfikujące zasady musztry. Dowódca jednostki, w stopniu pułkownika, zwołał odprawę oficerów, m.in. w tej sprawie. Mnie poproszono również. Pułkownik poinformował, że wszelkie starania o zwolnienie majora z tych ćwiczeń nie powiodły się i teraz nie wiadomo, kto zajmie się przyjęciem tych oficerów rezerwy, bo on z pewnością tego robić nie będzie. Zastępca dowódcy, podpułkownik, też powiedział, że on nie ma czasu się tym zajmować i wskazał na kapitana P., ale komendant oświadczył, że się nie zgadza, bo kapitan P. nie da sobie z tym rady. I tak obowiązek ten spadł na mnie.

W dalszej części tej odprawy omówiono szereg innych spraw wynikających z odgórnych wytycznych i wojskowej praktyki. Dowiedziałem się wówczas również, że jeśli zawodowy oficer chciał się żenić, jego wybranka musiała uzyskać akceptację czegoś w rodzaju rady oficerów. Podobnie było przed wojną: kandydatka na żonę oficera powinna mieć maturę

i nienaganną opinię. Teraz, jak mi powiadano, matura nie była konieczna, aczkolwiek najchętniej w roli żon oficerów widziane były nauczycielki, bo najłatwiej było im znaleźć pracę w tzw. zielonych garnizonach. Nie do przyjęcia były córki bogatych ojców, bo potem taki młody oficer przyjeżdżał do pracy lepszym samochodem niż jego dowódca. Co do nieposzlakowanej opinii narzeczonej, to w praktyce było wręcz odwrotnie niż przed wojną. Jeśli dziewczyna była na tyle łatwa, że większość składu rady oficerskiej miała z nią wcześniej coś wspólnego, to chętnie i z ulgą popierali jej kandydaturę na żonę kolegi. Na koniec odczytano rozkazy ministra obrony, gen. Jaruzelskiego, dotyczące degradacji i wyrzucania z wojska oficerów za „pijackie wyczyny”. To, co oficerowie w stopniu podporuczników potrafili robić na służbie w pijanym widzie i ilu takich było, przechodziło ludzkie pojęcie. Co wyrabiali porucznicy, kapitanowie i oficerowie wyższych stopni, nie wiem, bo zgodnie z wojskową procedurą mogłem być obecny tylko przy odczytywaniu rozkazów dotyczących oficerów o randze nie wyższej od mojej, czyli do podporuczników włącznie. Zanim pułkownik przeszedł do wyczynów poruczników, musiałem wyjść.

Nazajutrz mieli przyjechać na ćwiczenia oficerowie rezerwy. Wcześniej dostałem ich listę, klucze od kwater i czterech żołnierzy, którzy pobrali z magazynu pościel i mundury, posłali łóżka w kwaterach i położyli na nich mundury. Oficerom zrobiłem odprawę w świetlicy, powiedziałem, gdzie jest dziura w płocie, że według zarządzenia dowództwa nie wolno chodzić do „Zegrzynianki” tylko do „Krystynki”, a najlepiej do zakładowego bufetu, zaprowadziłem do kasy po żołąd, na kwatery, gdzie założyli mundury wymieniając się między sobą, by dopasować odpowiednie ich rozmiary i rozprowadziłem zgodnie z listą do przydzielonych im działów. To było wszystko.

Następnego dnia wrócił major Z. i w gabinecie dowódcy znów odbyła się narada, ale bez mojego udziału. Po naradzie wezwał mnie do siebie major i powiedział, że wszyscy byli zachwyceni moją działalnością. Pułkownik stwierdził, że jest zaskoczony, iż tak trudne zadanie, któremu by nie podołał na-

wet zawodowy oficer kapitan P., wykonał zwykły podporucznik rezerwy i postanowił wystąpić o awans dla mnie na stopień porucznika. Ale jest pewne „ale”. Otóż w moich dokumentach major znalazł negatywną opinię o mojej osobie, wydaną w Oficerskiej Szkole Łączności. Z opinii wynika, że jestem wprawdzie zdyscyplinowany, lecz niezaradny, leniwy, łatwowierny, nieodpowiedzialny i na dodatek ze skłonnością do alkoholu.

– Znam tę opinię, sam ją sobie napisałem – przyznałem się majorowi, bo trochę żał mi się zrobiło tego awansu. W wojsku każda gwiazdka więcej to mniej rządzących człowiekiem, no i żołd wyższy.

– Jak to? – zdumiał się major. – To dlaczego napisaliście sobie taką złą opinię?

– Po prostu chciałem, żeby wojsko myślało, że się do niego nie nadaje.

– To niemożliwe żebyście sami sobie pisali opinię – nie chciał uwierzyć major.

Wytłumaczyłem mu jak to było. Opinię pisali nam dowódcy plutonów. Mój dowódca był sympatyczny, każdemu wystawił pozytywną opinię i dał do zaakceptowania. Wszyscy mu podziękowali, tylko ja powiedziałem, że tą opinia wyrządzi mi więcej złego niż dobrego,. Wtedy obraził się, podarł ją i powiedział, żebym w takim razie sam sobie napisał opinię. No to napisałem.

– Ta opinia jest pisana moją ręką. Można sprawdzić charakter pisma –dodałem.

Major dał mi papier, długopis i zaczął dyktować pierwsze zdanie opinii. Napisałem. Wyrwał mi kartkę z ręki i począł porównywać z oryginałem.

– Rzeczywiście – stwierdził – Ta sama ręka.

I tak wkrótce zostałem porucznikiem, a tymczasem dla uczczenia przyszłego awansu opróżniliśmy z majorem pół litra w „Krystynie” przechodząc przy okazji „na ty”. Musiałem mu przyznać rację, że wojsko nie jest takie złe, jak myślałem, a on obiecał mi, że jak będę miał jakieś trudności czy kłopoty związane ze służbą wojskową, to mam się zwrócić do niego, a on mi we wszystkim pomoże.

Nazajutrz jechałem już do Świnoujścia, gdzie czekał na mnie jacht.

Nie minął rok, gdy skorzystałem z oferty majora. Znów miałem zaplanowany atrakcyjny rejs w lipcu, gdy mój zwierzchnik – prof. K., dyrektor instytutu, w którym pracowałem – odmówił mi udzielenia urlopu w tym czasie kierując mnie do obsługi egzaminów wstępnych na uczelnię. Nie musiałem to być ja, nie było takiej konieczności. Mimo, że prosiłem go, by nie psuł mi zaplanowanego wcześniej urlopu, zrobił to złośliwie, by pokazać, kto tu rządzi i wręcz mi to zakomunikował. Uprzedziłem go, że w takim razie narobi sobie kłopotu i będzie musiał kogoś delegować w ostatniej chwili zamiast mnie, bo ja będę na ćwiczeniach w wojsku. Roześmiał mi się w nos i decyzji nie zmienił. Zadzwoiłem do majora, przedstawiłem mu sprawę i poprosiłem o pomoc.

– Za kilka dni otrzymasz wezwanie na ćwiczenia w tym terminie, tylko tym razem pokwituj wezwanie – powiedział major nieco złośliwie. – Przyjedziesz, dostaniesz wpis do książeczki, pojedziesz i wrócisz po wypis dwa tygodnie później.

Rejs, mimo sztormowej pogody, był udany.

Po pewnym czasie zadzwonił do mnie major, powiedział, że potrzebują mojej pomocy i zapytał, czy wezwanie na ćwiczenia w takim to a takim terminie nie będzie kolidowało z moimi planami. Zawsze był to pewien ambaras, ale proponowany termin nie powodował totalnego zamieszania w życiorysie, więc nie oponowałem mając dodatkowo na względzie sympatyczne stosunki między nami. W jednostce spotkałem jeszcze kilku innych rezerwistów, w tym też znajomych ze studiów, szkoły oficerskiej i poprzednich ćwiczeń. Najpierw pokazano nam wnętrza kilku samochodów – radiostacji zwracając uwagę na płataninę licznych przewodów łączących poszczególne elementy wyposażenia. Następnie część rezerwistów zwolniono na parę dni do domu z poleceniem przemyślenia sposobu łatwego, przejrzystego mocowania tych przewodów na ścianach samochodu i przedstawienia projektów rozwiązań tego proble-

mu. Liczono, że świeże spojrzenie kogoś, kto nie jest zmęczony nieudanymi próbami rozwiązania zagadnienia, może zaowocować genialnym pomysłem. Trzeba przyznać, że zaskoczyło mnie tego rodzaju podejście do sprawy, może typowe dla jakiegoś amerykańskiego koncernu, ale nie dla Ludowego Wojska Polskiego.

Pozostałej trójce rezerwistów, wśród nich i mnie, powierzono inne zadanie. Mieliśmy uruchomić urządzenie w postaci tablicy dydaktycznej, pomocnej przy omawianiu w czasie szkoleń schematów blokowych radiostacji i innych urządzeń elektrycznych i elektronicznych. Tablica miała zmienną liczbę podświetlanych pól przedstawiających poszczególne bloki schematu, które można było konfigurować zależnie od potrzeby i zaznaczać kierunki przepływu sygnałów. Podświetlenia były uruchamiane przez zbliżenie materialnego wskaźnika z magnesem na końcu. Dwóch z nas miało usprawnić jakieś elektroniczne elementy sterowania, a ja sporządzić opis działania i instrukcję obsługi tablicy. Do pracy mieliśmy przystąpić dopiero następnego dnia. Wieczór nasza trójka spędziła na kolacji w prywatnym domu majorostwa Z.

Ćwiczenia, które właśnie odbywaliśmy były formalnie zaplanowane na 3 tygodnie, ale major oświadczył, że jak zrobimy to w 3 dni, to będziemy wolni dysponując usprawiedliwioną nieobecnością w pracy. Mnie zapytał, gdzie chciałbym pracować: w domu, w zakładach, czy np. w altance na jego działce mieszczącej się sto metrów od jednostki. Na razie wybrałem altankę, bo nikt tam mi nie przeszkadzał, a w razie konieczności zajrzenia do opisywanego urządzenia, miałem do niego blisko. Po południu wiedziałem już, że resztę pracy będę mógł wykonać w domu. Nie spiesząc się ukończyłem ją kilka dni później, oddałem i przy okazji sprawdziłem jak urządzenie spisuje się w praktyce. Działało bez zarzutu. Kilka tygodni później otrzymałem kopię pochwalnego pisma skierowanego do rektora mojej uczelni. Stwierdzało ono, że wykonałem bardzo trudną i wartościową pracę o niezwykłym znaczeniu dla obronności Kraju i dyplomatycznie sugerowało rektorowi, że powi-

nieniem być za nią nagrodzony w sposób, jaki rektor uzna za stosowny. Rektor widocznie uznał, że nic mi się nie należy, bo żadnej nagrody nie dostałem. Natomiast później doszły do mnie słuchy, że ta wybitna praca była wspólną dyplomową pracą inżynierską aż trzech oficerów Wojskowych Zakładów Naprawczych w Zegrzu Południowym, obronioną w Wyższej Szkole Oficerskiej też w Zegrzu, tylko Północnym.

Być może z tego powodu zostałem wkrótce po tym przeniesiony do innej jednostki wojskowej, a mianowicie do Pyr. Byłem tam dwukrotnie na jednodniowych ćwiczeniach. Pierwsze miały na celu poznanie dojazdu do jednostki i ogólne z nią zapoznanie. Na drugich zostałem dowódcą urządzenia szyfrującego rozmowy telefoniczne. Ta funkcja mi bardzo odpowiadała, bo urządzenie było zamkniętą w pancерnej skrzynce tajemnicą wojskową, a dowodzenie polegało na sprawdzeniu, czy jest z jednej strony dołączone do telefonu, z drugiej do linii telefonicznej, a z trzeciej do zasilania. Reszta, która szatkowała rozmowę przed wysłaniem na linię, była tajna i nic nie musiałem, ani nawet nie wolno mi było o niej wiedzieć. Na drugim końcu linii było analogiczne urządzenie deszyfrujące, którym dowodził pewnie drugi taki specjalista jak ja. Ciekawe, że przed wojną też tu właśnie mieścił się wojskowy ośrodek dekryptażu i tu odbyło się przekazanie w 1939 r. aliantom rozwiązanego przez polskich matematyków szyfru Enigmy.

Przy okazji dowiedziałem się od dowódcy kompanii, do której mnie przydzielono, o problemach z poborowymi. Otóż wśród normalnych żołnierzy w każdym pododdziale trafiał się przynajmniej jeden „gitowiec”, zwykle były kryminalista, który terroryzował oddział, w nosie miał dyscyplinę i był odporny na wszelkie kary, łącznie z aresztem przedłużającym służbę wojskową o czas jego trwania. Było mu wszystko jedno, czy będzie w wojsku dwa lata, czy cztery i czy spędzi ten czas na ćwiczeniach, czy w areszcie. Jednym słowem bez stosowania kar cielesnych nie było sposobu, żeby sobie z takim poradzić. Można było oczywiście podpuścić resztę oddziału, żeby wzięła sprawę w swoje ręce, ale było to trudne. Gitowiec miał tam większe

wpływy niż oficer, który ponadto ryzykowałby przy tym całą swoją karierą, a nawet wyrokiem więzienia. To był przerażający obraz.

W trakcie tych, ostatnich już w mojej wojskowej karierze ćwiczeń, okazało się, że nie wiedzieli tam o moim awansie i że mam wyższy stopień niż mój dowódca. Być może dzięki temu, a może z powodu wieku, wkrótce dostałem zawiadomienie o przeniesieniu mnie na stałe do rezerwy i wezwanie do zwrotu munduru. Ten rozkaz spełniłem z entuzjazmem i odtąd żadne wojsko się już o mnie nie upomniało.

Z majorem Z. spotkałem się jeszcze raz. Był już wtedy pułkownikiem w stanie spoczynku i działał społecznie w jakiejś organizacji wojskowej, z której ramienia walczył o podniesienie wynagrodzeń w wojsku. Złożył mi wizytę w pracy z prośbą o informacje o wysokości zarobków nauczycieli akademickich, co chciał wykorzystać jako argument, że nawet słabo opłacani nauczyciele zarabiają więcej od wojskowych. Byłem wtedy dziekanem, więc dysponowałem pełną listą płac pracowników mojego wydziału. Nie ujawniając nazwisk pokazałem mu, ile zarabiają profesorowie, adiunkci ze stopniem doktora i magistrowie – asystenci. Był kompletnie zaskoczony wysokością, a raczej „niskością” naszych wynagrodzeń. Nie sądzę, by mógł użyć tych danych jako argumentu korzystnego dla kadry oficerskiej.

4.2. RANCZO W WILCZEJ DOLINIE

Wiosną 1959 roku uzyskałem absolutorium, dostałem temat pracy dyplomowej i ...przeczytałem w tygodniku „Dookoła Świata”, że organizuje on wypas krów na ranczu w Bieszczadach, w związku z czym poszukuje kandydatów na kowbojów. Była to wspaniała okazja realizacji jednej z moich pasji, czyli jazdy konnej i przeżycia emocji, jakie zawsze budziły we mnie wszelkie książkowe i filmowe westerny. O Bieszczadach mało wówczas wiedziano. Po wysiedleniu stamtąd

miejscowej, ukraińskiej ludności stanowiącej naturalne zaplecze band UPA, był to prawie bezludny obszar. Jego urodę i przyrodę z zachwytem zachwalał mi jeden ze znajomych, który odbywał tam służbę wojskową. Zgłosiłem się i zostałem zakwalifikowany. Na jakiej zasadzie nie wiem, bo zgłosiło się 3136 chętnych. Według oficjalnej wersji rekrutacja przebiegała na podstawie losowania. W połowie maja zameldowałem się punkcie skupu bydła w miejscowości Szczawne-Kulaszne, obok stacji o tej samej nazwie na linii kolejowej Zagórz – Łupków. Stamtąd pojechaliśmy traktorem z przyczepą na właściwe rancho, które znajdowało się w miejscowości Kalnica koło Baliogrodu. Wraz ze mną z pociągu wysiadło jeszcze dwóch kandydatów do pracy. Byli przyjaciółmi i przyjechali z wybrzeża. Jeden z nich, ułomny, bardzo drobnej postury, miał uprawnienia traktorzysty i zamierzał pracować w tym charakterze. W związku z tym powierzono mu poprowadzenie traktora. Umiejętności nowego traktorzysty czujnym okiem weryfikował spełniający dotychczas dorywczo tę rolę właściciel niewielkiego gospodarstwa położonego tuż przy ranchu. Droga wiodąca na rancho ze Szczawnego była bardzo kręta, wąska i usiana kamieniami, a więc wyjątkowo wyboista. W pewnym momencie traktor wjechał na jakiś głaz i gwałtownie z niego zeskoczył, a sprężyste zamocowane siodełko traktorzysty wyrzuciło go na ziemię jak z procy. Traktor toczył się dalej, bo droga wiodła na tym odcinku z góry. Zaraz był zakręt, a za nim przepaść o głębokości kilkunastu metrów. Wszyscy jak jeden mąż wyskoczyliśmy z przyczepy, przy czym ten kontrolujący traktorzystę wykazał się nieprzeciętnym refleksem, bo wskoczył na puste siodełko i zdążył wykręcić. Niedoszły traktorzysta i jego przyjaciel zabrali swoje manatki i wrócili piechotą na stację rezygnując z pracy. My pojechaliśmy dalej.

Na rancho przyjechaliśmy przed wieczorem. Zabudowania rancha składały się z rozległego, parterowego budynku mieszkalnego o kilku dużych pokojach i kuchni, małego budynku magazynowego, dwóch wielkich obór i stajni oddzielonej wzgórzem od głównego kompleksu zabudowań. Oprócz

nich stały tam jeszcze dwa jednopiętrowe domki zamieszkałe przez rolników mających obok niewielkie gospodarstwa. Na ścianie głównego budynku widniał wymalowany czarną farbą, duży, rzucający się w oczy napis:

RANCZO W WILCZEJ DOLINIE

i drugi:

NAJPIERW KROWY, POTEM KONIE, NA KOŃCU MY

Spróbujmy trzymać się tej kolejności.

Krowy

Gdy przybyłem na ranczo było w nim tylko jedno stado bydła liczące ok. 200 sztuk, nocujące w dwóch wielkich oborach. Wszystko było własnością Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Rzeźnymi w Sanoku, które skupowało bydło z przeznaczeniem na rzeź w jesieni. Wcześniej, podczas letniego wypasu, każda sztuka bydła miała przybrać na wadze kilkadziesiąt kilogramów. Zatem wśród skupowanych krów tylko wyjątkowo trafiały się dorodne, mleczne sztuki. W większości były to jałówki, młode byczki, stare krowy, które nie dawały już mleka, a nawet zwierzęta „wybrakowane”, np. z przerośniętymi racicami, utrudniającymi chodzenie. Trafiały się też, niestety, krowy cielne. Zakupione bydło przywożono do naszego punktu odbioru w Szczawnym. Mieliśmy tam dla siebie wynajęte pomieszczenie, a dla bydła duży korral. Jednak przy korralu nie było pastwiska. Wewnątrz korralu trawa została dawno wyjeżdżona, a ziemia zamieniona w wyrobione setkami racie błoto. Bydła nie można było trzymać tam dłużej niż kilka godzin, zwłaszcza, że przybywało ono wygłodzone i spragnione. Powodowały to procedury handlowe zabraniające karmienia i pojenia zwierząt na pewien czas przed sprzedażą, by sztucznie nie zawyżać jego rzeczywistej masy. Zatem po przyjęciu partii bydła staraliśmy się je jak najszybciej napoić w strumieniu, oznaczyć i przeganiałiśmy na teren rancza. Oznaczanie bydła odbywało

się nie przez bolesne wypalanie numerów na skórze zwierzęcia, jak to robili amerykańscy kowboje. Numer sztuki i stada, do którego należała, wypalaliśmy na kopytach. Był to nie rzucający się w oczy dowód własności, możliwy do wykorzystania w razie zagubienia lub kradzieży zwierzęcia. Dla naszej orientacji numery poszczególnych sztuk wystrzygaliśmy w sierści zwierzęcia nożyczkami na jego bokach. Czynność ta była bardzo męcząca, a efekt, choć z początku jako tako widoczny, z czasem zacierał się, bo sierść odrastała.

Przeгон bydła kilkunastokilometrowym szlakiem na rancho trwał dość długo. Wygłodzone zwierzęta szły jedząc po drodze, szukając trawy zbaczały z właściwego kierunku marszu. Trzeba było je nieustannie zaganiać i poganiać. Jeżeli jeszcze w trakcie przepędu zdarzył się deszcz i wiatr z niekorzystnego kierunku, zaganianie krów stawało się bardzo trudne. Krowy za nic nie chciały pójść pod siekący deszczem wiatr i uciekały w przeciwnym kierunku. Potrafiły przy tym wspinać się, byle z wiatrem i deszczem, pod tak stromy stok, pod który nie udawało się wdrapać koniowi z jeźdźcem. Znalezienie się na kierunku spłoszonego stada liczącego kilkadziesiąt sztuk groziło stratowaniem. Takie stado trzeba zawracać stopniowo, galopując nie przed nim, ale obok niego i naciskać końmi na jego czoło z jednej strony. Wymaga to sporo miejsca. Kiedyś zwlekaliśmy z przegonem bydła ze Szczawnego chcąc przecze-kać zbliżającą się burzę. Gdy nadeszła, setka krów poczęła napierać na ogrodzenie korralu. Nie pomogły krzyki, machanie bluzami ani nawet bicie batami po pyskach. Krowy z pierwszego szeregu, pchane przez te z tyłu, rozwały ogrodzenie i stado popędziło z wiatrem. Tu nie było miejsca na zawracanie stada. Na szczęście łąka rozciągająca się przed koralem była zamknięta gęstymi, nie do przebycia, krzakami rosnącymi wzdłuż strumyka. Zatem krowy daleko by nie uciekły. Jednak w jednym miejscu było wśród krzaków wąskie przejście. Jeżeli krowy by je pokonały, to rozbiegłyby się po okolicy i dwa dni by minęły, zanim byśmy je spędzili. To przejście nie leżało wprost na linii wiatru, więc czterech jeźdźców, a tyłu nas tam było, mogło je

zablokować. Tym razem musieliśmy galopować przed stadem, a że koń jest zawsze szybszy od krowy, udało się nam dopaść do przejścia i zasłonić je końmi oraz sobą. Krowy bezpiecznie utknęły w krzakach, burza szybko przeszła, można było zebrać stado i popędzić na ranczo.

Z normalnie pasącymi się stadami i zaganiem ich do korrali czy obór nie było większych problemów. Te pojawiały się tylko w okresach suszy i dokuczliwych upałów, gdy uaktywniały się gzy i bąki. Potrafiły one doprowadzić stado do szału. Biegło ono wtedy do lasu, strumienia lub rozbiegało się we wszystkich kierunkach. Krowy ploszył też zapach podchodzących wilków, choć one same w lecie nie stanowiły większego zagrożenia. Przykry też był deszcz; było mokło w jego strugach, a z nim konie i kowboje. Ciężka praca była związana z akcją szczepienia bydła przeciw wąglikowi. Trzeba było złapać każdą sztukę z osobna i przywiązać do ogrodzenia, aby weterynarz mógł jej zrobić zastrzyk pod ogonem. Złapanie pierwszych sztuk było łatwe, bo tłok w korralu utrudniał im ucieczkę, ale ostatnie, zwykle młode, energiczne byczki, skutecznie uciekały po prawie pustym już korralu. A jego podłoże było gęstym błotem nieustannie mieszanym racicami z krowim łąjnem. Błoto to, głębsze miejscami niż wysokość cholewy gumiaków, chwyciło je jak klej. Gdy wyciągnęło się z trudem jedną nogę, druga grzęzła jeszcze bardziej. Tu pomocne byłoby lasso, ale sztuki rzucania lassem nikt z nas nigdy nie opanował. Bydło zaganialiśmy za pomocą batów, długich witek lub napierając na nie sobą lub koniem. Konie z początku nerwowo reagowały na krzyki czy machanie batem, ale z czasem zrozumiały, że to dotyczy krów, a nie ich i przestały się płoszyć. Próbowaliśmy też chwytania krów południowoamerykańską metodą, polegającą na oplątywaniu im nóg rzucaną linką o trzech końcach z przywiązanymi do nich ciężarkami. Metoda była dość skuteczna, ale groziła skaleczeniem zwierzęcia. Nauczylismy się też prostej metody przewracania zwierząt. Należało schwytać krowę za rogi i skręcać jej łeb w jedną stronę. Gdy krowa była silniejsza od kowboja, to dodatkowa pomoc

kolegi w postaci szarpnięcia zakroczonej, tylnej nogi w przeciwnym kierunku niezawodnie przewracała krowę.

Oprócz pierwszego stada stacjonującego w dwóch oborach na rancho, w miarę przybywania krów tworzyliśmy kolejne ich stada. Stacjonowały one w osobnych korralach, które były usytuowane wokół ranca, w promieniu kilku kilometrów od niego. Docelowo powstały 4 stada liczące po ok. 250 sztuk bydła każde. Przez każdy korral przepływał potok, więc krowy zawsze miały dostęp do wody, natomiast codziennie trzeba było je wyganiać na pastwiska, na których pozostawały do wieczora. Stadem zajmowało się 3–4 kowbojów. Mieszkali w dużych wojskowych namiotach wyposażonych w 3 maszty. Zwykle rezygnowano ze środkowego masztu i z centralnej części namiotu czyniono przegrodę oddzielającą dwie części pozostałe. Jedną z nich przeznaczano na stajnię dla koni.

Konie

Koni mieliśmy około dwudziestu, czyli mniej więcej tyle, ilu kowbojów. Każdy koń miał swój osobny boks w budynku stajni oraz nowe wojskowe siodło.

Konie miały różne charaktery. Z powodu tych właśnie charakterów niektóre z nich zostały sprzedane przez poprzednich właścicieli i trafiły na rancho. Jeden z koni na przykład – piękny siwek, potężnie zbudowany i silny – miał kłopoty z sercem lub płucami. Bardzo szybko się męczył i po wyprowadzeniu ze stajni natychmiast do niej wracał. Używaliśmy go głównie do robienia kawałów wizytującym rancho VIP-om. Dawaliśmy takiemu na przejażdżkę tego siwka, który niespodziewanie zawracał do stajni, a że jej wrota wejściowe były niewiele wyższe od konia, zgarniały zwykle jeźdźca na ziemię.

Był i taki koń, który nie lubił, gdy ktoś klepał go po pierś. Natychmiast kopał wtedy przednimi nogami i gryzł. Oczywiście też wykorzystywano to dla robienia głupich kawałów nie znającym tej jego przywary

Z kolei zgrabna kobyłka, zwana Dereszka, lubiła uciekać. Potrafiła zerwać zębami pęta i daleko wywędrować. Raz odbie-

gła, pociągając za sobą jeszcze innego konia, tak daleko, że straciłem całą dobę, żeby je odnaleźć. Noc musiałem spędzić przy tym w lesie chroniąc się przed deszczem pod brzuchami schwytych, przywiązanych do siebie i drzewa koni. Samo ich wytropienie nie było trudne, bo ślady pozostawione przez konie na bujnej trawie były wyraźnie widoczne. Gdy pierwszego wieczoru po przeprowadzce z rancza do namiotu przy korralu konie nam niespodziewanie znikły, wytropiliśmy ich ślady w nocy przy świetle latarki. Okazało się, że nieprzyzwyczajone jeszcze do nowego miejsca, wróciły do stajni.

Inny koń – zwany Zegarmistrzem, bo kiedyś przestawił któremuś z nas zębami wskazówki zegarka, nie uszkodzając go – był cierpliwy i świetnie chodził pod siodłem. Stał spokojnie, gdy nie schodząc z niego sięgałem po kapelusz, który spadł na ziemię. Potrafiłem kierując tylko nogami przewieźć na nim trzymane w rękach dwa kubły pełne mleka, do tego po drodze wiodącej pod stromą górkę i z górki. Dlaczego właściciel sprzedał takiego, świetnego konia? Zrozumiałem to przy przeprowadzce z rancza do namiotu ustawionego przy odległym o 2 kilometry korralu. Nasze rzeczy i wyposażenie zamierzaliśmy przewieźć wozem. Już z zaprzęgnięciem Zegarmistrza były pewne kłopoty. Podróż zakończyłem zaledwie sto metrów od startu ratując życie skokiem z wozu, a właściwie z tego, co po nim zostało. Został dyszel i para przednich kół. Koń w zaprzęgu dostał szału i rozwalił wóz. Mój szkolny rusycysta, prof. Gebel, dawny ułan, opowiadał, że sprzedane chłopom z demobilu kawaleryjskie konie usłyszawszy grany na trąbce sygnał ćwiczącego szwadronu, wykonywały wygrywaną komendę nie zważając, że ciągną za sobą pługi czy brony, do których akurat je przyprzęgnięto. Czyżby Zegarmistrz miał kawaleryjską przeszłość i uważał ciągnięcie wozu za dyshonor?

Ludzie

Szefem rancza był Jeremi Maruszewski – jak sam o sobie mówił, człowiek wielu zawodów. Wówczas był na etacie tygodnika „Dookoła Świata”, później bardzo pozytywnie zapisał się

jako kierownik produkcji wielu filmów i seriali telewizyjnych. Poznałem go już wcześniej, w Warszawie, podczas mojej wizyty w redakcji „Dookoła Świata”. Po moim przybyciu na ranczo przywitał się grzecznie ze mną, powiedział, gdzie mam zostawić plecak, wręczył mi kubeł i kazał nadoić mleka.

Spędzone już z pastwiska krowy były zamknięte w dwóch wielkich oborach. Wszedłem do jednej z nich i nie wiedziałem jak się zabrać do tego dojenia. Samo dojenie nie było dla mnie problemem, robiłem to już wcześniej przy różnych okazjach. Ale tu krowy nie miały osobnych stanowisk. Stłoczona masa krow, wciąż pobudzana do ruchu próbami wskakiwania na nie młodych byczków, kłębiła się w przepelnionej oborze na półmetrowej warstwie zagnojonej słomy. Po kilku próbach udało mi się przyprzeć do ściany jedną z krow i zacząć dojenie. Okazało się, że ta krowa nie ma mleka, choć wyglądała na mleczną. Druga miała. Udoilem ćwierć kubła, znosząc cierpliwie machanie po twarzy krowich ogonów, gdy napierające krowy wyróciły kubeł i mleko się wylało. Zacząłem od początku i znów miałem ćwierć kubła, po czym mleko tej krowie się skończyło. Zabrałem się za dojenie następnej, ale z wymienia zamiast mleka siknęła do kubła żółta ropa. Musiałem wylać mleko i znów zacząć od początku. Tym razem krowa wsadziła mi do kubła z mlekiem zagnojoną nogę. Teraz już wiedziałem, że dojenie w oborze się nie powiedzie. Sprawdziłem tylko, czy następna krowa ma mleko i sikając nim przy dojeniu na cholewę gumiaka stwierdziłem, że ma ono zdrowy wygląd, po czym wyprowadziłem krowę z obory i wydoilem. Następna krowa była niespokojna, więc przywiązałem ją za rogi do okucia drzwi obory kombinacją paska od spodni i linki od noża. Trzeci udój pozwolił mi wypełnić kubeł w trzech czwartych, co uznałem za wystarczające ze względu na to, że musiałem go jeszcze przemieścić na kilkusetmetrową odległość. Ta próba wystarczyła. Zostałem zaakceptowany.

Obserwowałem później, jak radzili sobie z dojeniem inni kandydaci do kowbojowania. Jeśli nie liczyć takiego, który od razu odrzucił propozycję dojenia i natychmiast poszedł jak przyszedł, to rekordzista zrezygnował po kwadransie. Więk-

szość walczyła przez 1–2 godziny, ale mało kto wracał z kulem mleka. W ten sposób, przyjęty początkowo jako wolontariusz bez zapłaty za pracę, zostałem szybko zaangażowany na płatny etat kowboja – w oficjalnej nomenklaturze chyba pastera.

Jak wynika chociażby z przytoczonego wyżej opisu sposobu sprawdzania odporności nowoprzybyłych na rancho, zespół kowbojów składał się raczej z ludzi twardych. Dodam, że w większości sympatycznych, ale były wśród nich i czarne charaktery. Zanim pojawiły się nowe stada spaliśmy wszyscy w zbiorowych salach mieszkalnego budynku ranca. Osobny pokój miał tylko szef. Gdy o czwartej rano robił pobudkę pukając do drzwi naszego pokoju, jeden z tych czarnych charakterów rzucał w drzwi nożem przebijając je na wylot. Inny, później dopiero okazało się który, nazajutrz po moim przybyciu ukradł mi 500 zł. Była to spora suma i stanowiła całą moją gotówkę. Zostałem bez grosza, a właśnie miałem wpłacić swój udział na koszty wspólnego wyżywienia. Kowboje, a oprócz mnie było ich wówczas dwudziestu, złożyli się po 25 zł, by mi wynagrodzić stratę. Byłem zaskoczony, że nie znając mnie, uwierzyli w to, że ukradziono mi te pieniądze i że to tyle właśnie było. Wówczas dziękując im za solidarność powiedziałem, że przecież ze mną jest nas 21 osób, więc ja też powinienem uczestniczyć w składce na siebie i żeby nie komplikować rozliczeń wpłaciłem do wspólnej kasy żywnościowej drugie 25 zł oprócz normalnego udziału, czym zyskałem ich dodatkową przychylność. Nieujawniony jeszcze złodziej wkrótce zrezygnował z pobytu na rancho i wyjechał. Skorzystał z okazynego transportu samochodowego, który podrzucił go do stacji kolejowej. Wkrótce po jego odjeździe okazało się, że jednemu z nas zginęły nowe, zagraniczne dżinsy. Poszkodowany i dwóch innych kowbojów błyskawicznie osiodłało konie i puściło się w pogoń. Dopadli złodzieja na stacji, zrewidowali mu plecak i znaleźli dżinsy. Przyznał się też do kradzieży pieniędzy, chciał je zwrócić, ale nie wzięli obawiając się oskarżenia o rozbój, bo oczywiście stłukli go przy tym na kwaśne jabłko.

Kolejny, nieprzyjemny incydent miał miejsce w Szczawnym, dokąd dotarł księgowy z Sanoka przywożąc wypłatę dla kowbojów. Miał stamtąd zabrać się traktorem na rancho, ale ktoś coś pomylił i traktor nie przyjechał. Księgowy postanowił wrócić pociągiem do Sanoka. Wtedy ten świetnie rzucający nożem, który akurat wraz z dwoma kumplami pełnił dyżur w Szczawnym, powiedział, żeby księgowy przynajmniej im wypłacił pensję, skoro już tu jest. Księgowy nawet się zgodził, ale oni nie mieli przy sobie dokumentów tożsamości, więc w konsekwencji odmówił wypłacenia pieniędzy.

– Przecież ja Panów nie znam – argumentował logicznie.

– Co, to ty nam nie wierzysz? To może my jesteśmy oszuści? – zagrzmiały oburzone głosy urażonych kowbojów.

Jeden z nich zarzucił księgowemu jakąś szmatę na głowę, drugi przytrzymał, trzeci wyrwał teczkę z pieniędzmi. Wypłacili sobie należność – trzeba zaznaczyć, że dokładnie tyle, ile się im należało zgodnie z listą płac – pokwitowali, oddali teczkę z resztą pieniędzy i pożegnali księgowego kopniakiem. Sami czym prędzej osiodłali konie i wrócili na rancho nic nikomu nie mówiąc. Księgowy oczywiście zameldował o zdarzeniu zwierzchnikom i milicji. Ta ostatnia i tak się nie kwapiła do złożenia wizyty na rancho, chociaż mieli podobno informację – nie wiem, czy prawdziwą – że wśród nas ukrywa się poszukiwany przez prawo przestępca. Skutek był taki, że i milicja, i księgowy uznali, że wizyta na rancho może być niebezpieczna i długo nie mogliśmy otrzymać należnych nam wynagrodzeń.

Tak się złożyło, że nazajutrz po tym incydencie miałem dyżur w kuchni. Polegał on na samodzielnym przygotowaniu trzech posiłków dla ok. dwudziestu głodnych ludzi, łącznie z narąbaniem drzewa na ogień, przyniesieniem wody ze studni, pozmywaniem itd. Była to katorżnicza praca. Najgorsze jednak było to, że trochę przymieraliśmy głodem, bo nie bardzo było co jeść. Stawka dzienna czasem wynosiła poniżej 2 zł na głowę. Obliczał ją ex post, co tydzień sympatyczny, niezwykle uczynny i koleżeński kowboj o ksywie Delfin, który zginął tragicznie wracając z ranca do domu. Firma wprawdzie napełniła nam

piwnicę darmowymi kartoflami, krowy dawały mleko, a więc była śmietana oraz masło i ser. Resztę trzeba było kupić, dowieźć, a z pieniędzmi było krucho, z dowozem też. Najbliższy sklep był w odległości kilkunastu kilometrów, a gdy popadało przez dwa dni droga zamieniała się w grząskie błoto, którego nie był w stanie pokonać żaden traktor, wóz, ani piechur, a jedynie jeździec na koniu. W dniu mego dyżuru pomyślnie przeżywszy problemy z wydaniem śniadania, miałem już na obiad prawie gotową kartoflanekę, która dla lepszego efektu i smaku miała być posypana posiekaną trawą, a na drugie danie przygotowywałem kluski z serem. Sera było dość, ale mąka się kończyła i obawiałem się, że ciasta na kluski będzie ciut za mało. A w południe przyjeżdżali kowboje z pastwisk, wiązali konie do koniowiązu przed kuchnią i jak obiad nie był gotowy lub był niesmaczny czy skąpy, to kucharz dostawał po pysku. A tu właśnie wszedł do kuchni mistrz noża, wyciągnął swój majcher, ciachnął kawał ciasta przygotowanego do rozwałkowania i pokrojenia na kluski i oświadczył, że upiecze sobie z niego podpłomyk. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale chwyciłem za duży, kuchenny nóż, zbluzgałem ordynarnie amatora podpłomyków i powiedziałem, że jak nie odda ciasta, to mu łapy pocięcinam. Musiał wyczuć moją determinację, bo położył ciasto na stole i wyszedł mamrocząc pod nosem jakiś tekst będący próbą zamiany incydentu w żart. Świadcami tego wydarzenia było kilka osób, sprawa nabrała rozgłosu i skończył się mit nożownika, z którym lepiej nie zadzierać. Gdy na dodatek doszły wieści o jego wyczynie z księgowym, opuścił ranczo po krótkiej rozmowie z szefem.

Pozostali na ranczo kowboje też nie byli święci. Do historii rancza przeszedł kowboj, który skrócił drabinę za pomocą siekiery. Miał coś umocować na ścianie budynku, na pewnej wysokości, ale drabina była za długa i nie mieściła się pod okapem dachu wystającego poza obrys ściany. Odrąbał zatem jedną trzecią jej długości. Inni potrafili skakać w nocy konno przez namioty turystów na kempingu w Komańczy i wjeżdżać na koniu do knajpy. Zdarzył się też wypadek pijaństwa, o kary-

godnej genezie i skutkach. Było to już po moim wyjeździe z rancza, gdy powstał ostatni, trzeci korral dla czwartego stada. Opiekujący się nim kowboje od kilku dni nie pokazali się na ranczo. Nieco zdziwiony i zaniepokojony tym szef pojechał do nich sprawdzić, jak im idzie. Gdy wjechał na szczyt wzgórza dotąd zasłaniającego widok na korral, ujrzał dwie setki krów rozsypanych na przestrzeni sięgającej do widnokregu zakreślonego okiem stojącego w strzemionach jeźdźca. W namiocie pijackim snem spało trzech nieprzytomnych kowbojów. Okazało się, że kowboje zaraz po objęciu stada podzielili się pracą. Dwaj pilnowali krów, a trzeci objeżdżał okolicznych gospodarzy proponując im wymianę dużej, ciężkiej krowy na małego cielaka z dopłatą części różnicy wartości w naturze, czyli w butelkach bimbru. Interes kwitł, bo nas rozliczano z liczby krów, a nie z ich mięsnej masy, więc wszystko się zgadzało. Do spędzenia rozproszonego stada trzeba było oddelegować dodatkowo kilku ludzi. Zajęło to parę dni, bo niektórymi „bezpiecznymi” sztukami zaopiekowali się okoliczni gospodarze i trzeba było im je wyciągać z obory. Numery wypalone na kopytach odegrały wówczas swoją rolę.

Zdarzyło się kilka razy, że mimo solidnego nadzoru nad stadem też nie mogliśmy doliczyć się kompletu krów przy zganianiu ich na noc do korralu, bo jednej brakowało. Wówczas po zapadnięciu zmroku rozpaliliśmy wielkie ognisko na wzgórzu w nadziei, że zagubione zwierze powróci zwabione blaskiem ognia, ale nigdy się to nie udało. Być może była to krowa skradziona przez sprytnych złodziei lub cielak uprowadzony przez wilki. Te kiedyś zagryzły nam krowę, ale spłoszone, porzuciły ją. Zawiadomiliśmy telefonicznie przedsiębiorstwo. Przyjechali, pokroili mięso na tusze, weterynarz stwierdził, że nadaje się do spożycia, wyciął dla siebie wątrobę, tusze wrzucili na ciężarówkę i pojechali. Nam nic nie zostawiono, choć z naszą apro wizacją było bardzo kiepsko. Kilka krów straciliśmy też z innych powodów. Jedna padła z nieznanych nam przyczyn i trzeba było ją zarznąć. Inna wpadła w zarośniętą, niewidoczną studnię w opuszczonym w ramach akcji Wisła ukraińskim go-

spodarstwie, po którym nie było prawie śladu i połamała nogi. U jeszcze innej zootechnik stwierdził wzdęcie. Rzeczywiście krowa miała brzuch jak balon, ryczała i pokładała się. Zdecydował, że krowa padnie, jeśli się wzdęcia nie zlikwiduje. Powinno się to zrobić przebijając krowie brzuch w konkretnym miejscu specjalnym narzędziem w postaci wąskiej rurki o ostrej krawędzi, by wzdymające krowę powietrze uszło przez tę rurkę. Tego narzędzia nie miał, ale w zastępstwie postanowił użyć swojego ostrego noża. Wyzначył odpowiedni punkt odmierzając w pionie i poziomie odległość od krowiego biodra miarą odpowiadającą rozstawowi kciuka i dużego palca rozciągniętej dłoni i zakomenderował:

– Wal tu, ale stań z boku, bo jak tryśnie powietrze, to cię ochlapie krwią.

Walnąłem. Nic nie wytrysnęło, tylko krowa zaryczała z bólu.

– Cholera! – rzekł zootechnik – Chyba źle wymierzyłem miejsce. Zaraz poprawię.

Odmierzył powtórnie. Znów walnąłem. Z tym samym skutkiem, to znaczy bez skutku. Chociaż niezupełnie. Był skutek: po kwadransie krowa padła. Okazało się, że nie była wzdęta, lecz cielna.

Inne ciele też straciliśmy nie wiedząc, że krowa była cielna. A nie powinna być, bo takich krów na wypas nie kupowano, ale sprzedający je chłopcy oszukiwali ukrywając ten fakt dla osiągnięcia zysku ze zwiększonej masy krowy. Ta urodziła nocą w korralu, gdzie tłoczące się zwierzęta zdeptały cielaka. Po tym wypadku byliśmy już ostrożniejsi. Jeśli podejrzewaliśmy, że krowa może być cielna, nie wprowadzaliśmy jej na noc do korralu, lecz przywiązaliśmy do niego na długiej linie na zewnątrz. W ten sposób stado zwiększyło się w sumie chyba o dwie sztuki.

Po doświadczeniu z pierwszą krową, której mięso zostało zabrane przez przedsiębiorstwo, tak się zazwyczaj zdarzało, że gdy padła krowa, to jednocześnie, nie wiadomo dlaczego, zrywała się linia telefoniczna. Nie można było zawiadomić przedsiębiorstwa o wypadku i krowę utylizowaliśmy sami z pomocą własnych żołądków. „Rozebranie” takiej krowy nie było łatwe.

Zawieszaliśmy ją nad ziemią za parę nóg, patroszyliśmy, obdzieraliśmy ze skóry i ćwiartowaliśmy. Była to trudna, brudna i niewdzięczna praca. Kiedyś urwało się zawieszenie i krowa spadła kryjąc domorosłego rzeźnika w swym rozplatanym brzuchu.

Wśród kowbojów trafiały się też nieprzeciętne indywidualności w pozytywnym sensie tego słowa. Taką był bezsprzecznie kowboj o ksywie Harcerz. Ze stacji kolei w Szczawnym przybył na ranczo piechotą, na skrót, przez góry, z dużym kapeluszem Kanadyjskiej Królewskiej Konnej Policji na głowie, z mapą i kompasem w rękę. Rzeczywiście był harcerzem i działaczem harcerstwa, które w pewnym stopniu odrodziło się po 1956 roku. Studiował na Politechnice Warszawskiej i właśnie uzyskał absolutorium przed dyplomem. Do jego obowiązków należało m.in. przywożenie drzewa z lasu na użytek naszej kuchni. Trzeba było to robić w dwie osoby, co 2–3 dni. Harcerz dobierał sobie partnera, jechał po drzewo i przywoził je. Ale nikt, kto z nim raz pojechał, nie chciał pojechać powtórnie. Dziwiło mnie to, ale gdy pytałem kolegów, dlaczego tak jest, odpowiadali:

– Pojedź sam, to się przekonasz.

Pojechałem. Wrzuciliśmy do wozu piłę i siekiery, zaprzęgliśmy konie i wio! Powoziłem jadąc stępem.

– Pogoń konie do ostrego kłusa – powiedział Harcerz – wóz jest pusty, nie ma co ich oszczędzać, a będziemy szybciej na miejscu. Tam wypoczną czekając na nas.

Pogoniłem. Zajechaliśmy na skraj lasu. Harcerz wyskoczył, rzucił mi siekiere, sam chwycił drugą oraz piłę, wszedł między drzewa i natychmiast zabrał się do pracy, a ja z nim. Wybrał jedno z drzew i zrąbał. Jeszcze zrąbane drzewo na dobre nie zdążyło upaść na ziemię, a Harcerz już przystąpił do ścinania drugiego, trzeciego i kolejnych. Gdy zrąbaliśmy tyle, ile było możliwe zabrać na wóz, pomyślałem, że należy nam się chwila przerwy, jak to się mówi „na papieroska”. Ale żaden z nas nie palił, więc bez zwłoki przystąpiliśmy do odrąbywania gałęzi od powalonych drzew. Po skończeniu tej pracy miałem już dość

roboty bez najmniejszej przerwy i zaproponowałem nieśmiało chwilę odpoczynku wskazując na obfitość jagód, ale Harcerz powiedział, że najpierw musimy skończyć to, co zaczęliśmy. Zabraliśmy się więc do przepiłowania pni na krótsze odcinki, łatwiejsze do przeniesienia i ułożenia na wozie. Myślałem, że teraz chwilę odpoczniemy, ale nie. Zaraz potem załadowaliśmy pocięte pnie na wóz, a następnie to samo zrobiliśmy z odrąbanymi gałęziami.

– Już jest późno, musimy jechać – rzekł Harcerz i trzeba było zapomnieć o jagodach. Gdy przyjechaliśmy na miejsce chciałem pójść do kuchni i napić się wody, ale Harcerz powiedział, że najpierw trzeba wyładować drzewo. Po wyładowaniu zdecydował, że trzeba je jeszcze posegregować i porządnie ułożyć. Potem wyprzęgliśmy konie i odprowadziliśmy je do stajni. Napiłem się przy okazji ich pojenia. Przy kolacji kowboj indagowany uprzednio przeze mnie na temat wyjazdów z Harcerzem po drzewo, zapytał, a właściwie stwierdził:

– Teraz już chyba wiesz, dlaczego nikt nie chce jeździć z Harcerzem po drzewo?

Wiedziałem. Nikt z nas, wychowanych w warunkach „socjalistycznego” traktowania pracy nie był przygotowany, ani fizycznie, ani tym bardziej mentalnie, do wykonywania jej bez przerwy „na papieroska”. Skąd u Harcerza wzięło się to odmienne, „kapitalistyczne”, może trochę nieludzkie, a może po prostu niezwykle rzetelne podejście do pracy – nie wiem. Harcerz zaskoczył mnie raz jeszcze. Był to nasz ostatni dzień pobytu na ranczo, z którego razem wyjeżdżaliśmy. Czekaliśmy przy naszym korralu tylko na samochód, który miał nas dowieźć do stacji. Wtedy Harcerz powiedział:

– Dotąd nie mieliśmy czasu, żeby zmajstrować sobie jakiś stół do jedzenia. Można wykorzystać ten pień i deski, które tam leżą i zmajstrować fajny stół.

– Po co nam on? Przecież już wyjeżdżamy! – odparłem.

– No tak, ale przyda się on tym, co nas zmieniają.

– Ale nawet nie zdążymy go skończyć, bo najdalej za pół godziny będzie samochód.

– Nie szkodzi. Zacznijmy, a oni sobie dokończą.

Zaimponował mi tą postawą i ostatnie chwile pobytu na ranczo spędziliśmy konstruując pracowicie stół, nie dla siebie, ale dla innych. To znaczy głównie robił to Harcerz, a ja pomagałem mu jedną ręką, bo drugą miałem w gipsie. W drodze powrotnej wypytywałem go o plany na przyszłość. Miał je sprecyzowane do ostatniego szczegółu. Po dyplomie zamierzał pracować w warszawskiej Stoczni Czerniakowskiej. Zabrzmiało to w moich uszach bardzo sympatycznie, bo mój ojciec był przed wojną przez jakiś czas dyrektorem tej stoczni. Harcerz wiedział, ile mniej więcej będzie zarabiał, i jaką sumę miesięcznie będzie musiał zaoszczędzić, by w określonym horyzoncie czasowym dorobić się mieszkania i samochodu. Był to odległy horyzont i bardzo drastyczny stopień codziennych wyrzeczeń.

– Żadna baba nie wytrzyma z Tobą takiego reżimu ograniczeń finansowych – wątpię.

– Mam taką, która to zaakceptowała – odpowiedział.

Nigdy potem nie spotkałem Harcerza i nie dowiedziałem się, jak ułożyło mu się życie.

Inną, wyjątkową indywidualnością był Robert Urbanowicz z Gdańska. Właśnie wygrał bardzo trudny konkurs na spikera Gdańskiej Telewizji, wymagający od kandydata, oprócz miłej aparycji i świetnej dykcji, również wysokiego stopnia kultury, erudycji, znajomości kilku języków, refleksu itp. Wygrał i zamiast ekskluzywnej posady w TV wybrał kowbojowanie. W jego trakcie ułożył, w pewnym stopniu wspólnie z nami, kilka piosenek nawiązujących do naszej kowbojskiej pracy, które chętnie śpiewaliśmy przy ognisku. Oto one:

Wilcza Dolina

(na mel. z filmu „O’ Cangaceiro”)

*Na bieszczadzkich połoninach
Wśród zielonych szczytów gór
Kryje Wilcza się Dolina
Nuci pieśń kowbojów chór.*

*Nasze Ranczo położone
Wśród strumieni, łąk i drzew,
Tchnieniem lata rozbudzone
Polskiej prerii rzuca zew.*

refren:

*O leć piosnko kowbojska,
O leć przez deszcz i mgłę.
Ta melodia płynie swojska
Poprzez szczyty, nocą, dniem.*

*A słońce, chmury, burze, deszcze, no i grad
Słuchają piosnki tej nieznannej tu od lat,
Zamglone szczyty śpią
Lecz piosnki słuchać chcą
I oto znowu w naszej pieśni dźwięczy to:*

refren:

O leć piosnko kowbojska,

* * *

(na mel. „Jak dobrze nam zdobywać góry”)

*Kowbojska pieśń w Bieszczadach dzwoni,
A echo niesie ją do chmur,
Dźwięczą kopyta rączych koni,
Słuchają pieśni szczyty gór.*

refren:

*Melodię serc roznosi wiatr,
Z którym jest każdy za pan brat.
Koniu pędź! Koniu goń!
Poprzez las, poprzez błóń,
Rumak rwie, rumak gna,
Pędzi w dal przyjaciel koń.*

*Zapada zmierzch w Wilczej Dolinie,
Słońce się skryło już za las,
Tylko melodia tęskna płynie,
Chłopcy na Ranczo wracać czas*

refren:

Melodię serc roznosi wiatr, ...

*Nastaje noc groźna i ciemna
I pełna wycia wilczych stad
Lecz trwoga tutaj jest daremna,
Choć wkoło huczy, gwizdże wiatr.*

refren:

Melodię serc roznosi wiatr,...

* * *

(na mel. „*Płonie ognisko i szumią knieje*”)

*Hej posłuchaj kowbojska gromado,
Konie siodłaj, ścigaj wiatr,
Na spotkanie cudownym Bieszczadom.
W mateczniki wilczych stad.*

refren:

*Niech piosenka powędruje z nami,
Niech rozbrzmiewa ponad strumieniami,
Niechaj z jodłami na szczytach gada
Niestyszalna tu od lat.*

*Niech odurzy czar wielkiej przygody
I zatętni w żyłach krew,
Pędźmy, bracia, z wichrami w zawody
Na bieszczadzkich lasów zew.*

refren:

Niech piosenka powędruje z nami,...

Wydarzenia

Niedaleko rancza znajdowała się bacówka, obok zagroda, a w niej nocował kierdel owiec. Pieczę nad nimi sprawował baca z pomocą czterech juhasów i kilku psów – podhalańskich owczarków. Wszyscy zresztą byli z Podhala, a w Bieszczady przyjeżdżali tylko na sezon wypasów od wiosny do jesieni. Baca mieszkał w bacówce z żoną i kilkuletnim synkiem. Juhasi, dla ochrony owiec przed wilkami, spali razem z psami przy owcach, pod gołym niebem. Podczas deszczu chowali się w przenośnych skrzynkach, w których mieścili się, jak się zwinęli

w kłębek. Wilki potrafiły zaatakować również w dzień. Ich ofiarami były zwykle jagnięta lub okulawione owce, wlokące się na końcu stada. Przyczyną okulawień było najczęściej ugryzienie przez żmije – miedzianki, których było tu mnóstwo. Bywało, że jeden wilk pokazywał się demonstracyjnie w pobliżu czoła kierdelu, a gdy w jego kierunku biegły psy i juhasi, z tyłu dwa inne wilki zagryzały owcę i unosiły ją ze sobą. Nasza znajomość z bacą zaczęła się konfliktem. Baca zajął część pastwisk, które formalnie należały do rancza, ale nie było sensu się o to spierać, bo pastwisk mieliśmy więcej niż potrzeba. Obie strony przestrzegały niepisanego porozumienia, że baca pasie na jednym brzegu strumienia, my na drugim. Ale kilka trzymanyh przez bacę krów – jałówek przeszło na naszą stronę i chłopcy je „zajęli” zamykając w komórce. Baca przysłał po krowy juhasa. Gdy szef rancza odmówił ich wydania i zażądał, aby baca sam przyszedł na rozmowę, juhas przed odejściem bezczelnie spróbował rozerwać ciupagą kłódkę zamykającą komórkę z krowami, a potem sprawdził wytrzymałość zawiasów. Tego było za wiele i tylko dzięki interwencji szefa uszedł cało. Za dwie godziny przyszedł baca. Najpierw zagroził, że może przegnać owce na naszą stronę i zniszczyć w ten sposób nam pastwiska. Rzeczywiście byłoby to niebezpieczne. Owce idą zwartą ławą, łeb przy łbie, i wygryzają trawę prawie do ziemi; krowy po nich nie mają już co jeść. Ponadto odchody czy ślina, a może też pozostawiony zapach owiec powodują, że krowy nie będą jadły trawy na pastwisku, na którym pały się owce, nawet gdyby trawa tam została. Stąd m. in. znane z westernów, krwawe konflikty między hodowcami bydła a owczarzami. Potem baca wyciągnął pół litra i zadeklarował chęć życia w zgodzie. Potwierdzono dotychczasowy podział pastwisk wzdłuż potoku, jałowki wróciły do właściciela.

Nazajutrz szef w towarzystwie kilku z nas złożył bacy rewizytę. Oczywiście przywieźliśmy ze sobą kilka upominków w płynie, a baca też częstował nie tylko serem i żętycą. Spożywaliliśmy to wszystko przy ognisku snując i słuchając różnorodnych opowieści, aż pewnym momencie jeden z juhasów wyciągnął skrzypki, a pozostali, wraz z tym kilkuletnim syn-

kiem bacy, zaczęli śpiewać, tańczyć, skakać przez ogień. Był to autentyczny śpiew i taniec, podochoconych alkoholem, półdzikich górali, a jego sceneria w postaci rozgwieżdżonej nocy, ognia i płoszących się hałasem koni kojarzyła mi się z opisem wojennego tańca Indian z powieści Karola Maya. Pożegnaliśmy się nad ranem. Jednemu z naszych trzeba było osiodłać konia. Dla żartu założono siodło tyłem do przodu i tak go na nie wsadzono. Dojechał cało na miejsce tylko dzięki temu, że koń znał drogę i nic nie pił.

Wkrótce z Harcerzem i dwoma innymi kowbojami otrzymaliśmy pod opiekę ok. 250 krów i nowy korral usytuowany w bezpośrednim sąsiedztwie bacówki. Odtąd kontakt naszego zespołu z bacą jeszcze bardziej się zacieśnił i nawet nabrał handlowego charakteru. Jak wspominałem nasza aprowizacja była bardzo uboga. Po przeniesieniu się z rancza było jeszcze gorzej, bo sami musieliśmy sobie gotować i zdobywać prowiant. Prowadziliśmy więc z bacą handel wymienny. Część otrębów przydzielanych do dokarmiania krów wymienialiśmy z nim na pyszne owcze sery. Temu celowi służyły też bloki czarnej soli tak chętnie lizanej przez krowy. Tymi blokami soli, które krowie języki rzeźbiły nadając im surrealistyczne kształty, dysponowaliśmy w nadmiarze. I krowy, i owce są bardzo łase na sól, która pomaga im w zatrzymywaniu wody w organizmie. Zanim je nam dostarczono karmiliśmy z ręki zwykłą solą mleczną krowę, która dostarczała nam mleka. Gdy chcieliśmy ją wydoić wystarczył okrzyk „Ne, ne, ne”, który zawsze powtarzaliśmy dając jej sól, aż skojarzyła go z solą na zasadzie odruchu Pawłowa i pędziła do nas co sił w nogach.

Któregoś dnia koledzy wysłali mnie do Komańczy po zakupy, bo dotychczasowe zapasy były na ukończeniu. Dosiadłem konia i pojechałem skracając sobie drogę przez teren bacówki, czego omal nie przypląciłem życiem. Nie wiedziałem, że ogromne owczarki podhalańskie – tak przyjazne i łaszące się do nas, gdy baca odwiedzał nasz namiot w ich towarzystwie – na swoim terenie nie tolerowały nikogo obcego. Kilka psów zaatakowało mojego konia, który na przemian bił zadem i stawał

dęba, aż wreszcie puścił się galopem. Psy goniły nas do wyimaginowanej granicy ich terytorium, na której się zatrzymały. Nie wiem, jakim cudem zdołałem utrzymać się w siodle; gdybym spadł z konia psy rozszarpałyby mnie na kawałki.

Droga do Komańczy wiodła przez sporą wieś Rzepedź. Zamieszkiwali ją Ukraińcy, którzy podpisali tzw. lojalkę i uniknęli w ten sposób wysiedlenia na Ziemię Odzyskane w ramach Akcji Wisła. Nasz sejm przeprosił w pierwszych latach XXI w. za przeprowadzenie tej akcji; moim zdaniem, przeprosił niesłusznie. To nie był błąd, ani represje, ale konieczność. Zbrodnie bandyckich oddziałów Ukraińskiej Armii Powstańczej w Bieszczadach i Beskidzie Niskim zaraz po wojnie wołały o pomstę do nieba, a na partyzanckie działania nie ma innej rady, jak odcięcie od zaplecza, jakie stanowi miejscowa ludność. Przesiedlenie ludności, choć przykre i dotyczące też niewinnych, zwłaszcza Łemków z Beskidu Niskiego, było jedyną i skuteczną metodą likwidacji band UPA. Teraz jechałem przez lojalną wobec Polski i Polaków ukraińską wieś, a pracujące w przydomowych ogródkach kobiety, czy siedzący przed domami mężczyźni na mój widok chowali się do chałup. Zrobiło mi się niemiło. Z podobną reakcją spotkałem się kilka lat później, gdy wędrując we dwójkę z żoną po Bieszczadach i Beskidzie Niskim przechodziliśmy przez małą, ukraińską wieś. Na nasze „dzień dobry” spotkaliśmy się z tak wrogą reakcją, że po minięciu wsi zacieraliśmy po sobie ślady z obawy, by nas nie zarżnięto podczas noclegu w namiocie. Tu byłem w lepszej sytuacji, bo w razie czego mogłem dać ostrogę koniowi i uciec. W środku wsi droga się rozwidła. Nie wiedziałem czy do Komańczy jechać w lewo, czy w prawo i nie miałem kogo zapytać w zaludnionej wsi. Okazało się, że było wszystko jedno, bo kawałek dalej obie drogi się łączyły.

W drodze powrotnej spotkałem bacę. Wracał z żoną wozem też z zakupów w Komańczy. Baca zauważył, że mój koń „się podbił” i omija kamieniste odcinki drogi. Zaproponował, bym przesiadł się na jego wóz, a konia przywiązał z tyłu. Rzeczywiście, koń nie był podkuty. Brak podków nie przeszkadzał w codziennej pracy na pastwiskach, ale twarde podłoże nie

służyło bosym kopytom. Większość koni jednak otrzymaliśmy już podkutych i w razie potrzeby wymiany podkowy czy powtórnego umocowania obluzowanej, trzeba było doprowadzać je do kowala aż w Baligrodzie. Skorzystałem z propozycji bacy, który zaraz wyciągnął butelczynę i wypiliśmy „z gwinta” na przywitanie. Po drodze zatrzymaliśmy się w zagrodzie, gdzie mieszkał sąsiad bacy z Podhala, który przeniósł się w Bieszczady. Powitanie było serdeczne. Gospodarz postawił na stole butelkę, baca też, ale tu piliśmy już kulturalnie, z kieliszka. Dokładniej: z jednego kieliszka, bo taki jest podobno góralski obyczaj. Gospodarz napełnił kieliszek, wypił zdrowie bacowej i postawił pusty kieliszek przed nią. Teraz ona napełniła kieliszek, wypita moje zdrowie i kieliszek stanął przede mną. Wypiłem zdrowie bacy, on z kolei zdrowie gospodarza itd. Ale najczęściej pito moje zdrowie, więc i ja musiałem pić najczęściej. Nie przypominam sobie, czy była jakaś zakąska, ale jeśli tak, to w symbolicznej ilości. Po opróżnieniu w sumie chyba półtora litra wódki pożegnaliśmy gospodarza i przyjechaliśmy do bacówki. Tu baca musiał mnie wsadzić na konia. Tym razem psy wiedziały, że jestem gościem bacy i zachowywały się przyjaźnie. Do korralu było już blisko, a koń zupełnie trzeźwy. Pamiętam jeszcze, że przewiózł mnie przez potok. Dalsza część mego życiorysu obejmującego ten dzień nie zakotwiczyła się w mej świadomości. Podobno samodzielnie zszedłem z konia, odwiązałem juki z zakupami i nawet starałem się pomagać we własnie zaczynającym się, wieczornym zaganianiu bydła do korralu. Wyrozumiali kowboje położyli mnie spać. Obudziłem się dopiero następnego dnia w południe.

Tematyka związana z wypasem bydła w Bieszczadach została nagłośniona filmem pt. „Ranczo Teksas”, który wszedł na ekrany tuż przed powstaniem naszego rancza. Swoje zrobiły też artykuły w „Dookoła Świata”. Zatem budziliśmy zainteresowanie masmediów i od czasu do czasu docierali do nas reporterzy różnych gazet oraz telewizji. Robili wywiady, kręcili filmy. Pomagaliśmy im, początkowo bardzo chętnie, potem mniej. Niestety, nie mam o nich najlepszego zdania. Dążąc do

realizacji swych celów nie brali w ogóle pod uwagę trudności, jakie sprawiali, wykazywali się brakiem wyobraźni i zrozumiałstwem. Żądali na przykład przepędzania bydła przez konkretną łąkę, bo tam była wysoka trawa, i nie przyjmowali argumentów, że trawa ta była przeznaczona do skoszenia na siano potrzebne na planowany, zimowy opas części krów, a przepęd zniszczy trawę. Chcieli mieć większą liczbę krów przed obiektywem, więc żądali połączenia dwóch stad i nie obchodziło ich, jaką pracę trzeba by było wykonać przy ich późniejszym rozdzieleniu, zgodnie z wypalonymi na kopytach numerami. Tu wybrnęliśmy odgradzając dwa stykające się ze sobą stada rozciągniętą między nimi, niewidoczną dla kamery linią. Kiedyś samochód z reporterami został zablokowany przez ciągnące drogą stado. Usiłowali przegonić je sygnałem klaksonu i niewiele brakowało, by wywołali to, co amerykańscy kowboje określają mianem „stampede”, czyli groźący nieprzewidywalnymi skutkami popłoch stada. Zarozumiałstwo szefa jednej z takich ekip było tak duże, że postanowiliśmy mu dać lekcję pokory, co się bez trudu udało. Przy wieczornym ognisku sprowokowano rozmowę na zagadnienia związane z psychologią i gdy redaktor począł się wymądrzać również na ten temat, zapytano go, czy byłby w stanie odgadnąć, kto z zebranych ukrywa w zaciśniętej dłoni zapałkę. Powiedział, że spróbuje. Odprawiono go na bok, żeby nie widział, komu szef rancza daje zapałkę. Po powrocie redaktor przedfilował przed siedzącymi dookoła ognia kowbojami, z których każdy trzymał przed sobą zaciśniętą pięść, popatrzył nam w oczy i wskazał na szefa. Szef otworzył dłoń. Na niej leżała zapałka.

– Nie, to niemożliwe! Musiał pan widzieć! – odezwały się głosy.

– Nie widziałem – wyjaśnił redaktor – tylko pomyślałem logicznie. Komu z was wszystkich, z psychologicznego punktu widzenia, powinno się powierzyć ten fant do schowania? To proste: tylko szefowi.

– No rzeczywiście! Zrobiliśmy błąd. Ale spróbujemy jeszcze raz.

Redaktor się zgodził. Tym razem dłużej się zastanawiał. W końcu wskazał na jedną z wchodzących w skład jego ekipy pań. Okazało się, że znów trafił. Też uzasadnił to logicznie: wśród dwudziestu kowbojów siedzących wokół ogniska była trójka gości, wśród nich jedyne w tym gronie dwie kobiety, więc to musiała być jedna z nich. Jedyne problemy leżały w tym, która z nich. Prawdopodobieństwo wskazywało na tę, która siedziała bliżej szefa. Dostał brawa i zgodził się na trzecią próbę. Tym razem też zgadł wskazując na drugą z pań i z lekceważeniem zarzucił nam, że przecież powinniśmy to przewidzieć, że należało zapałkę dać do schowania jakiemuś anonimowemu kowbojowi, co zmusiłoby go do trudnej analizy wyrazów naszych twarzy. Wtedy wszyscy otworzyli zaciśnięte dłonie i okazało się, że na każdej z nich leży zapałka.

Wizyta jednej z telewizyjnych ekip była mimowolnym powodem mojego rozstania z ranczem. Sprowadzając dla potrzeb filmu konia pasącego się bez siodła i cugli dosiadłem go na oklep, a gdy koń puścił się galopem ze wzgórza i wierzgnął zadem, spadłem łamiąc lewą rękę w nadgarstku. Miałem szczęście, bo jeszcze tego samego dnia jechała do Sanoka ciężarówka, więc koledzy osiodłali mi konia i jeszcze zdążyłem ją złapać, gdy właśnie ruszała z rancza. W poczekalni sanockiego szpitala doznałem szoku patrząc na zgromadzonych tam połamanych. W porównaniu z nimi byłem właściwie zdrowy. Jeden z pacjentów miał połamane w kilku miejscach obie ręce i nogi oraz żebra.

- Co się Panu stało? – zapytałem.
- Nic takiego, spadłem z roweru.
- Z roweru? I tak się Pan połamał?
- No, tu są góry, poleciałem 20 metrów w dół, w przepaść.

Dość szybko prześwietlili mi rękę, nałożyli gips na 3 tygodnie i dali zwolnienie lekarskie. Tego samego dnia wieczorem różnego rodzaju transportem dowlokłem się na ranczo. Zdecydowałem się wrócić do domu, chociaż namawiano mnie,

bym zastał, przekonywali, że mimo ręki w gipsie będę przydatny przy różnego rodzaju pracach. Jednak ten wypadek odbierał mi największą radość, jaką dawało ranczo w postaci możliwości pracy w siodle. Bałem się też nadwreżenia ręki, choć może była to przesadna ostrożność. Bo w drodze do domu, którą odbywaliśmy we cztery autostopem, gdy ładowaliśmy się w Lesku na ciężarówkę zaatakowała nas banda miejscowych chuliganów i wtedy moja ręka w skamieniałym gipsie okazała się bardzo przydatna. Mocno nadwreżyłem przy tym komuś szczękę, ręki nie nadwreżyłem.

Po zdjęciu gipsu objechałem jeszcze we wrześniu z mym przyjacielem, Tadeuszem Wróblewskim, pół Polski na jego motocyklu, ale to zupełnie inna historia.

Gdy pojawiłem się w październiku na uczelni, promotor mojej pracy magisterskiej, doc. Stefan Lebson, zły, że pracy jeszcze nie zacząłem, zapytał krótko:

- Panie! Gdzie Pan był przez tyle miesięcy?
- W Bieszczadach.
- Co Pan tam robił?
- Pałem krowy.

Docent zaniemówił, puknął się dłonią w czoło i odszedł. Dopiero po kilkunastu dniach, gdy zobaczył, że zabrałem się serio do pracy, zaczął wypytywać o szczegóły i wybaczył mi opóźnienie dyplomu.

Późną jesienią odbyła się na ranczo impreza nazwana „Dniem krowy”. Przeprowadzono szereg konkursów kowbojskiej sprawności, wybór Miss Ranczo (została nią dorodna krowa Brygitka, bo kobiet – kowbojek nie było) i oficjalnie zamknięto ranczo. Jak później doniosła prasa przyniosło ono 600 tys. zł strat.

Kilku kowbojów z szefem na czele pozostało jednak w Bieszczadach. Przejęli ziemię, zabudowania, bydło, zdezelowany sprzęt i długi upadłej spółdzielni produkcyjnej we wsi Moczary, zaciągnęli kredyt i założyli własną spółdzielnię. Określili ją mianem Bieszczadzkiego Zespołu Młodzieżowego, zwanego też Komuną Bieszczadzką. Tam pojawiły się też dziewczęta, jedna nawet wyszła za mąż za kolegę – kowboja, co było okazją

do wyprawienia hucznego weseliska. Podobno początkowo spółdzielnia inwestowała i pomnażała majątek, ale chyba była solą w oku wielu miejscowych notabli. Odmówiono im kolejnego kredytu i mnożono biurokratyczne trudności. Wewnątrz spółdzielni też nie działało się najlepiej, kiepsko wypadła lustracja, aczkolwiek nie można było jej odmówić tendencyjności, i spalił się budynek zawierający dokumenty finansowe. Szefa oskarżono o malwersację oraz podpalenie i aresztowano go. W procesie wytoczonym po 9 miesiącach więzienia skazano go na podstawie nieprzekonujących dowodów na 1 rok i 3 miesiące z zaliczeniem pobytu w areszcie śledczym.

Szkoda, że tak się to skończyło, bo idea była wspiania, a wołowiny w kraju wciąż brakowało. Wędrując w następnych latach po Bieszczadach spotykałem pasące się, niewielkie stada bydła, ale była to chyba prywatna inicjatywa przedsiębiorczych ludzi prowadzona na dużo mniejszą skalę.

ANEKSY

MÓJ ŻEGLARSKI ŻYCIORYS

Pierwszy kontakt z żeglarstwem umożliwiła mi w 1948 r. Polska YMCA, gdzie w 1949 r. uzyskałem stopień młodszego żeglarza. W tym samym roku YMCA została zlikwidowana, więc na stopień żeglarza zdałem w 1950 r. w Yacht Klubie Polski, który przekształcono w Sekcję Żeglarską CWKS. Stopień młodszego sternika uzyskałem w 1951 r. w Międzynarodowym Ośrodku Sportów Wodnych, który też zlikwidowano łącząc go z Młodzieżowym Domem Kultury, powstałym po Ośrodku Polskiej YMCA. Przeniósłem się do Ligi Morskiej, założyłem jej Koło w szkole przy ul. Smolnej 30 w Warszawie (dawnym Liceum Górskiego), do której uczęszczałem i zorganizowałem tam kurs żeglarski. Gdy w 1953 r. zlikwidowano również Ligę Morską wcielając ją do Ligi Przyjaciół Żołnierza, a gdy jeszcze wcześniej uniemożliwiono pływanie po morzu, zrezygnowałem na prawie 10 lat z żeglarstwa. Uprawiałem przez ten czas czynnie inne sporty: szermierkę, wioślarstwo, pływanie. Do żeglarstwa wróciłem po skończeniu studiów zdając od początku na wszystkie stopnie żeglarskie: 1963 – żeglarz, 1964 – sternik jachtowy, 1966 – jachtowy sternik morski, 1969 – rozszerzone uprawnienia j.s.m. przekształcone w 1970 r. w stopień jachtowego kapitana. bałtyckiego, 1979 – jachtowy kapitan żeglugi wielkiej, 1983 – dodatkowe uprawnienia do prowadzenia dużych żaglowców. Uzyskałem też patent sternika lodowego w 1969 r. i instruktora żeglarstwa w 1970 r. oraz w 1982 r. patent jachtowego kapitana motorowodnego żeglugi wielkiej.

Uprawiałem głównie żeglarstwo turystyczne, morskie i śródlądowe, wiele czasu poświęcałem szkoleniu żeglarskiemu jako instruktor i kierownik wyszkolenia żeglarskiego na wielu obozach. W latach 1978–79 brałem udział w szkole-

niu żeglarzy libijskich w Libii i w Polsce. Dwukrotnie udało mi się odnieść również sukces w regatach: w 1973 r. dowodząc jachtem „Iskra 70” zwyciężyłem w trzyetapowych XI Morskich Regatach Turystycznych z udziałem jachtów z NRD, a w 1977 r. zająłem II miejsce w regatach Dezet o Błękitną Wstęgę Mazur.

Byłem członkiem Żeglarskiego Klubu Turystycznego „Rejsy” i Jacht Klubu Politechniki Warszawskiej, którego byłem współzałożycielem i wieloletnim działaczem (członkiem zarządu i komisji rewizyjnej, sądu koleżeńkiego).

W 1971 r. zostałem wybrany członkiem Zarządu Warszawskiego Okręgowego Związku Żeglarskiego, przy czym faktycznie pełniłem obowiązki wiceprezesa ds. Morskich, na które to stanowisko zostałem wybrany formalnie w następnej kadencji 1973–75. W latach następnych przez kilka kadencji byłem członkiem Komisji Rewizyjnej WOZZ oraz w jednej kadencji rzecznikiem dyscyplinarnym. Byłem też rzecznikiem dyscyplinarnym PZZ oraz członkiem Komisji Morskiej i Komisji ds. Awarii i Ubezpieczeń Jachtów Morskich. Aktualnie jestem członkiem Komisji Etyki, Kultury, Historii i Wydawnictw.

W trakcie działalności w Zarządzie WOZZ powołałem do życia Społeczny Komitet Budowy Jachtu Morskiego „Dar Warszawy” i zostałem wiceprezesem tego Komitetu. Jego zadaniem było wybudowanie dużej jednostki o powierzchni ożaglowania 200–300 metrów kwadratowych, ale żadna polska stocznia nie chciała się wówczas tego podjąć. Za zdobyte środki wybudowano szereg mniejszych jachtów. Były nimi Opale „Mokotów” i „Wars”, Carina „Barbara” oraz finansowany z tego funduszu jacht „Tadeusz” przejęty (bez zgody Komitetu) przez Yacht Klubu Polski.

W okresie wrzesień 1983 – czerwiec 1984 odbyłem wyprawę barkentyną „Pogoria” na Cejlon (dookoła Europy i Afryki) w roli pierwszego oficera, nauczyciela fizyki i dyrektora tzw. „Szkoły pod Żaglami”, której byłem współorganizatorem. W latach późniejszych prowadziłem wiele rejsów, głównie na brygantynie „Henryk Rutkowski” przemianowanej

później na „Kapitana Głowackiego”, pływając z młodzieżą Szczecińskiej Szkoły pod Żaglami oraz z nietypowymi załogami niepełnosprawnych, głuchoniemych, narkomanów. Rejsy morskie ostatnich kilkunastu lat odbywałem na dużych żaglowcach, np. na „Fryderyku Chopinie” i profesjonalnie jako oficer wachtowy na „Oceanii” (m.in. w 2000 r. na Spitsbergen). Suma przepłyniętych przeze mnie mil morskich to w przybliżeniu czterokrotna długość równika. Ale zdarzyło mi się również spłynąć w 2001 r. Biebrzą na tratwie, a w 2002 i 2003 r. Wisłą od Krakowa do Elbląga i Hawy na Sportinie.

Jestem autorem i współautorem wielu książek o tematyce żeglarskiej. Za 5 z nich otrzymałem Nagrodę im. L. Teligi przyznawaną przez Redakcję miesięcznika „Żagle”. Z miesięcznikiem tym współpracuję od 1974 r. Kierowałem w nim (społecznie) w pewnym okresie działem marynistyki, zamieszczając setki artykułów, głównie recenzji książek. Za tę działalność również otrzymałem Wyróżnienie Specjalne Nagrody im. L. Teligi. Byłem też recenzentem dla różnych wydawnictw kilkudziesięciu książek o tematyce żeglarskiej, a także recenzentem dwóch rozpraw doktorskich o tematyce żeglarskiej i jednej dotyczącej radionawigacji.

W latach 1981–1988 byłem członkiem kolegium redakcyjnego Świata Żagli – rocznika PZŻ, a w końcowym okresie jego wydawania – wiceprzewodniczącym kolegium.

Kilka z moich utworów o tematyce żeglarskiej uzyskało nagradzane miejsca w konkursach literackich, np. opowiadanie „Wspomnienie z przyszłości” i przekład wiersza Masefielda „Roads” uzyskały III nagrodę i wyróżnienie w konkursie literackim „Żagli”, a w 1994 r. za opowiadanie „Sztorm” otrzymałem I nagrodę w kategorii prozy konkursu Polskiego Klubu Żeglarskiego w Nowym Jorku.

Za działalność żeglarską otrzymałem Odznaczenie Zasłużonego Działacza Żeglarstwa Polskiego, Srebrną Odznakę „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”, Honorową Srebrną Odznakę TKKF, Odznakę Honorową COŻ w Trzebieży, Odznakę Honorową Oddziału Stołecznego PTTK i Medal „Za Szczególne Zasługi Dla Żeglarstwa Polskiego”, Odznakę „Za

Zasługi dla m.st. Warszawy”. Jestem Honorowym Członkiem Warszawskiego Okręgowego Związku Żeglarskiego i Polskiego Związku Żeglarskiego.

„W cywilu” byłem profesorem nadzwyczajnym Politechniki Warszawskiej, nauczycielem akademickim Wydziału Elektrycznego, prodziekanem (1988 – 93) i dziekanem tego Wydziału (1993 – 99). Do przejścia na emeryturę i półetat w 2006 r. kierowałem Zakładem Miernictwa Elektrycznego. Od 2009 r. już nie pracuję na etacie, choć udzielam się jeszcze w pracy, m.in. jako członek Senackiej Komisji Historii i Tradycji Politechniki Warszawskiej, Rady Muzeum P.W. i przewodniczący Rady Programowej Zeszytów Historycznych Oficyny Wydawniczej P.W. Ślad mych żeglarskich, nawigacyjnych i morskich zainteresowań znajduje swe odbicie również w niektórych patentach, artykułach i referatach naukowych, np. związanych z badaniami nad dokładnością GPS.

Moja żona Wanda (lekarz – pediatra, od kilku lat na emeryturze, wytrzymuje w małżeństwie ze mną od 1963 r.) jest sternikiem jachtowym z dużym morskim stażem. Młodszy syn Zbigniew jest jachtowym kapitanem morskim. Starszy syn Witold jest sternikiem jachtowym i opłynął nawet Horn. Obaj są instruktorami żeglarstwa. Mam nadzieję, że żeglarzami będą też moje wnuki, których mam czterech.

BIBLIOGRAFIA MOICH KSIĄŻEK

- Czajewski J., Poniński M. – *Zadania z miernictwa elektrycznego*. WPW 1967, 1969
- Czajewski J., Poniński M. – *Zbiór zadań z miernictwa elektrycznego*. PWN 1971, 1974
- Czajewski J., Poniński M. – *Zadania z metrologii elektrycznej*. WPW 1978, 1982, 1983, 1992
- Czajewski J., Poniński M. – *Zbiór zadań z metrologii elektrycznej*. WNT 1995, 2000
- Czajewski J. – *Chemotronika*. WNT 1973
- Czajewski J. – *Kemotronika*. Műszaki Könyvkiadó, Budapest 1978
- Czajewski J. – *Własności elementów solionowych i ich wykorzystanie do pomiarów temperatury*. WPW 1977
- Chwaleba A., Czajewski J., Poniński M., Siedlecki A. – *Miernictwo elektryczne*. WPW 1979
- Chwaleba A., Czajewski J., Poniński M., Siedlecki A. – *Zarys metrologii elektrycznej*. WPW 1989, OWPW 1997
- Chwaleba A., Czajewski J. – *Przetworniki pomiarowe wielkości fizycznych*. OWPW 1993
- Chwaleba A., Czajewski J. – *Przetworniki pomiarowe i defektoskopowe*. OWPW 1998
- Praca zbiorowa, współautorstwo – *Encyklopedia Podstawy Techniki*. PWN 1994
- Praca zbiorowa, współautorstwo – *Nowa Encyklopedia Powszechna* (6-tomowa) PWN 1995
- Czajewski J., Czajewski W. – *Podstawy miernictwa – podręcznik multimedialny*. OKNO 2003, 2004
- Czajewski J. – *Podstawy metrologii elektrycznej*. OWPW 2003, 2004, 2008
- Czajewski J. – *Radionawigacja*. SiT 1978, 1985
- Czajewski J. – *Żagle wracają na oceany*. KAW 1984
- Czajewski J. – *Nawigacja żeglarska*. WKiŁ 1985, 1986
- Czajewski J. – *Szkoła pod żaglami*. KAW 1984
- Czajewski J. – *Meteorologia żeglarska*. WKiŁ 1988

- Czajewski J. – *Locja śródlądowa i morska*. WKiŁ 1991
- Czajewski J. – *Locja dla żeglarzy*. Almapress 2009
- Praca zbiorowa, redakcja i współautorstwo – *Encyklopedia żeglarstwa*. PWN 1996
- Czajewski J. – *Manewrowanie dużymi żaglowcami*. Almapress 1997
- Czajewski J. – *Morskie opowieści*. OWPW 2000, Wielki Błękit 2009
- Czajewski J. – *Meteorologia dla żeglarzy*. Almapress 1997, 2001, 2006, 2010
- Czajewski J., Dziewulski J., Tulo-Dziewulska M.- *Manewrowanie jachtem żaglowym. Jacht pod żaglami*. Almapress 1998
- Praca zbiorowa, współautorstwo – *Manewrowanie jachtem żaglowym*. Almapress 2004
- Czajewski J. – *Nawigacja dla żeglarzy*. Almapress 2002, 2007, 2011
- Czajewski J. – *Etykieta żeglarska*. KOZZ 2002
- Czajewski J. – *Podręcznik etykiety żeglarskiej*. Wielki Błękit 2009
- Praca zbiorowa, współautorstwo – *Etyczne paradygmaty żeglarstwa*. KKiE PZZ 2009
- Współautorstwo – *Opowieści wiatru i morza*. Navigare 2009
- Czajewski J. – *Astronawigacja dla żeglarzy*. Almapress 2010
- Czajewski J. (redakcja). – *Morze i żagle w poezji polskiej. Antologia*. OW Miniatura 2010
- Czajewski J. – *Wspomnienia 1939 – 1960*. Tempus Fugit 2011
- Czajewski J. – *Niezbędnik żeglarza. Śródlądowe znaki, światła i sygnały nawigacyjne*. Almapress 2011
- Czajewski J. – *Meteorologia*. Almapress (w druku)

SPIS TREŚCI

WSTĘP	3
1. WOJNA	5
Getto	6
Granatowa policja.....	11
Szkoła	14
Śmierć brata.....	17
Życie codzienne.....	19
Egzekucje	24
Powstanie	27
Wygnanie	34
2. TUŻ PO WOJNIE	51
Okres szkoły podstawowej	53
YMCA	66
3. SZKOŁA ŚREDNIA	73
Zabawa w konspirację	84
Przygoda z szermierką.....	87
Służba Polsce.....	90
4. STUDIA	101
Podstawy Marksizmu – Leninizmu	107
Przypadek Jurka Stokowskiego.....	110
Październikowa odwilż 1956 r.	112
Rok 1957	118
Wydarzenia marcowe 1968 r.....	119
Stan wojenny 1981 r.....	122
Praktyki	123
4.1. SZKOLENIE WOJSKOWE	130
Studium wojskowe	130
Obóz	135
Szkoła Oficerska.....	153
Ćwiczenia	164
4.2. RANCZO W WILCZEJ DOLINIE.....	172
Krowy.....	174
Konie	177
Ludzie.....	178
Wydarzenia.....	190
ANEKSY	199
MÓJ ŻEGLARSKI ŻYCIORYS	199
BIBLIOGRAFIA MOICH KSIĄŻEK.....	203

